



HARD SCIENCE - FICTION

JANUSZ SZABLICKI
KOOPERACJA

ADRIANNA KRAJEWSKA
ŚRODA

ANGELIKA FRONCZYK
ŻYCIE KONCZY SIĘ WRAZ Z TECHNOLOGIĄ

KINGA ZURAŃSKA
LUDZIE JAK BOGOWIE

AGNIESZKA MUTH
CYFROWA SAMOSWIADOMOŚĆ

DOMINIK PIECHOWIAK
PROJEKT DEMINI

IGOR WITASZEK
JAK ZA STARYCH DOBRYCH CZASÓW

WERONIKA NOWAK
TO NIE TAKIE PROSTE

SZYMON KALISTA
ZAGINIONY W AKCJI



WSTĘPNIAK

Witajcie w świecie wyobraźni!

Rok 2025 to czas dynamicznych zmian, nowych technologii i niesamowitych możliwości. Fantastyka, zarówno naukowa, jak i magiczna, nie przestaje inspirować kolejnych pokoleń twórców i czytelników. Od epickich sag w filmach i serialach po niezliczone światy kreowane w grach – nigdy wcześniej wyobraźnia nie miała tak wielu form wyrazu.

To właśnie w takim duchu rodzi się konkurs literacki „Fantastyczne Światy”. Chcemy zaprosić Was, młodych autorów, byście podzielili się swoimi wizjami światów pełnych magii, technologii, wyzwań i przygód. Ten projekt to coś więcej niż zwykły konkurs – to szansa na stworzenie czegoś trwałego, na opublikowanie swojej twórczości i dotarcie do szerokiego grona czytelników.

Każde opowiadanie, które spełni wymagania, ma szansę znaleźć się w naszej wyjątkowej antologii, wydanej zarówno w formie ebooka, jak i książki drukowanej. Wyobraźcie sobie trzymanie w rękach swojej własnej publikacji – efektu pracy, marzeń i talentu!

Pisanie to sztuka, ale i zabawa. Odkrywajcie nieznanne światy, budujcie wielowymiarowe postaci i opowiadajcie historie, które poruszą czytelników. Nasza inicjatywa to nie tylko platforma do publikacji, ale także zaproszenie do wspólnego tworzenia nowej jakości w polskiej literaturze fantastycznej.

Życzymy Wam miłej lektury archiwalnego numeru Hard Science Fiction, który możecie pobrać za darmo – być może to właśnie Wasze opowiadanie już niedługo zabłyśnie w kolejnych antologiach „Fantastyczne Światy”!

OPOWIADANIA POLSKIE

- 3 | KOOPERACJA** [Janusz Szablicki](#)
- 37 | ŚRODA** [Adrianna Krajewska](#)
- 41 | ŻYCIE KOŃCZY SIĘ WRAZ Z TECHNOLOGIĄ**
[Angelika Fronczyk](#)
- 47 | LUDZIE JAKBOGOWIE** [Kinga Rurańska](#)
- 55 | CYFROWASAMOŚWIADOMOŚĆ** [Agnieszka Muth](#)
- 67 | PROJEKTDEMINI** [Dominik Piechowiak](#)
- 77 | JAKZA STARYCHDOBRYCHCZASÓW** [Igor Witaszek](#)
- 107 | TO NIE TAKIE PROSTE** [Weronika Nowak](#)
- 113 | ZAGINIONYW AKCJI** [Szymon Kalista](#)





Kooperacja

Janusz Szablicki

Moje wkroczenie do królestwa trenera z całą pewnością nie miało wiele wspólnego z wejściem smoka. Już raczej można by je było przyrównać do ostrożnego wślizgnięcia się kundla, któremu dopiero co zdarzyło się napaskudzić na dywan stanowiący chlubę pani domu i mającego pełną świadomość nieuchronności kary, jaką mu przyjdzie ponieść za tę nieszczęsną chwilkę utraty kontroli nad swoim pęcherzem. Kopylak krótkim, niecierpliwym gestem wskazał mi jedno z krzeseł stojących troszeczkę bez ładu i składu na samym środku pokoju. Potulnie przysiadłem połówką pośladka na jego brzeжку, w pozycji umożliwiającej natychmiastowe zerwanie się w razie zaistnienia takiej potrzeby na równe nogi, nurtowały mnie bowiem poważne wątpliwości, czy aby w ogóle dane mi będzie bawić tutaj przez czas dłuższy od absolutnie niezbędnego do wywalenia mnie ze zgrupowania na tak zwany zbity pysk. W owych wątpliwościach dodatkowo utwierdzał mnie wyraz twarzy gospodarza, która w tym momencie najbardziej mi się kojarzyła z ponurą gradową chmurą wieszczącą same nieszczęścia. Nim trener wbił się we mnie oczyma, które natychmiast, niczym dwa sprzężone ze sobą wysokoobrotowe wiertła nieomal przeniknęły mnie na wskroś, przez dłuższą chwilę błędził nimi w zadumie po ścianach wyklejonych zmywalną tapetą. Zupełnie jakby liczył na to, że mu się w końcu uda utkać z jej wielce

zawiłego wzorku pełnego fantazyjnych zakrętasów i najrozmaitszych arabesek optymalną receptę na to, jaką właściwie powinien obrać wobec mnie linię postępowania.

– No i co się z tobą, chłopcze, właściwie dzieje?! – odezwał się wreszcie prawdę powiedziawszy zupełnie dla mnie nieoczekiwanie tonem rodzica ogromnie zatroskanego dalekim od poprawności prowadzeniem się swojej latorośli. Nie udało mu się jednak tym mnie zwieść. Mój wyostrzony w tym momencie nieomal aż do granic bólu zmysł słuchu bezbłędnie wyłowił z owych życzliwych na pozór słów nutki twardej, bezwzględnej determinacji. Z całą pewnością nikt się tutaj nie zamierzał ze mną cackać, głaskać mnie pieszczotliwie po główce! Chociaż wydawało się to zgoła niemożliwe, jakby pod brzemieniem jego głębokiego, rozłożonego na parę nierównych taktów westchnienia skuliłem się na krześle jeszcze bardziej, przyjmując nieledwie embrionalną pozycję stwarzającą niewyraźną ułudę względnego bezpieczeństwa. Krótko mówiąc czułem się nad wyraz podle!

– Nie mam... pojęcia – nie podnosząc oczu zamamrotałem bezradnie do podłogi pokrytej mocno już wyblakłym ze starości sztucznym dywanikiem. – Chociaż naprawdę starałem się jak chyba jeszcze nigdy dotąd, nic więcej nie potrafiłem z siebie wykrzesać!

Trener znowu wwiercił się we mnie badawczym

spojrzeniem. Tym razem dla odmiany poczułem się tak, jakby mnie siłą, wbrew mej woli, zapędzono nie wiadomo po co do rentgenowskiej kabiny. Przez ładne parę sekund zastanawiał się nad czymś ze zmarszczonym czołem, marsowo ściągniętymi brwiami, a następnie – uniósłszy się nieco z krzesła – pochylił się ku mnie tak głęboko, że raptem znalazłem się w samym centrum wartkiego nurtu jego nie nazbyt świeżego, jakby zakwaszonego niedawnymi emocjami oddechu.

– A jakiegoś kielonka... gdzieś przypadkiem na boczku nie było? – zagadnął dobrotliwie, a nawet jakby z niezbyt umiejętnie odgrywaną żartobliwością.

Pierś uniosło mi głębokie westchnienie. Od razu pojąłem, do czego zmierza. Sam także dałbym wiele za to, aby ta moja poranna niedyspozycja dała się wytłumaczyć w tak trywialny sposób! Nawet gdyby miało to pociągnąć za sobą nałożenie na mnie najdotkliwszych nawet sankcji, jakie tylko były przewidziane w regulaminie. Niestety, tego rodzaju furtka zarówno dla mnie, jak i dla niego była zamknięta na głucho!

– Od kiedy tu jestem, w ustach nie miałem nawet kropli piwa! – wyjaśniłem markotnie.

Kopylak nie potrafił się powstrzymać od grymasu rozczarowania. Uciekł spojrzeniem gdzieś w bok, na chwilę zagłębił się w jakąś niedostępną dla mych zmysłów przestrzeń; potem wykonał taki ruch, jak gdyby zamierzał wyjść zza biurka, ale skończyło się tylko na energicznym wtłoczeniu pleców w twarde, nieskore do oddawania pola oparcie krzesła. Milczał czas jakiś z

zaciśniętymi w wążuteńką sinawą kreseczkę ustami, a następnie przejechał rozcapierzonymi palcami dłoni po twarzy. Wyglądało to tak, jakby pragnął się uwolnić od jakiejś co prawda wyimaginowanej, ale pomimo to całkiem realnie tamującej mu oddech pajęczyny.

– No i co ja mam właściwie teraz z tobą począć?! – tembr jego głosu niedwuznacznie wskazywał, że wcale nie oczekuje po mnie jakiejś konstruktywnej, możliwej do zaakceptowania, a przynajmniej w miarę rozsądnego przedyskutowania propozycji. Jeśli mam być szczery, bardzo mi to odpowiadało, albowiem w tym momencie w głowie nie miałem niczego prócz lepkiej kaszy. Po tych jego słowach pomiędzy nami na dłuższą chwilę zapadła więc, zupełnie niczym solidna dźwiękoszczelna kurtyna, martwa cisza.

– Chyba sam rozumiesz... – naruszył ją w końcu jakby zmatowiałym, przesiąkniętym zniechęceniem głosem. – że po tym, czym nas tu dzisiaj uraczyłeś, raczej nie mam dużego wyboru?

To zabrzmiało jak usprawiedliwianie się, co miało niezmiernie złowróżbną wymowę. Krótko mówiąc raptem zdałem sobie sprawę, że jeżeli natychmiast czegoś nie uczynię, trener za chwilę może podjąć jakąś zdecydowanie mało dla mnie atrakcyjną decyzję, z której trudno mu się już będzie później wycofać. Chyba po raz pierwszy od przycupnięcia na krześle odważyłem się otwarcie spojrzeć mu w oczy.

– Proszę mi dać ... – odezwałem się chropowato, z niejakim trudem, albowiem gromadząca mi się w ustach ślina zdawała się gwałtownie przemieniać w

błyskawicznie twardniejącą cementową zaprawę – jeszcze jedną szansę!

Trener Kopylak z umiejętnością, jakiej by się pewnie nie powstydził nawet bardzo wysokiej klasy aktor, odegrał scenę, że takiej ewentualności dotąd w ogóle nie brał pod uwagę. A zresztą kto go tam wie, może i faktycznie tak było!? Zerknął na mnie spod oka.

– Jak to sobie mianowicie wyobrażasz? – zapytał surowo, nieledwie inkwizytorskim tonem.

– No, na przykład... – zwilżywszy nerwowo samym koniuszkiem jakby troszeczkę zeszywniałego języka nagle zupełnie wyschłe wargi, zacząłem niepewnie – jeszcze jeden test. Jeżeli i tym razem by się okazało, że jestem do kitu... – zawiesiłem wymownie głos. No bo czyż w tej konkretnej sytuacji trzeba było dodawać do tego coś jeszcze?

Kopylak przez parę sekund zastanawiał się, a potem poruszył sceptycznie ramionami: najwyraźniej nie zamierzał kamuflować nurtujących go wątpliwości.

– No, sam nie wiem – burknął. Znów niczym szydłem przeszył mnie na wskroś twardym wzrokiem. – Jeżeli chcesz wiedzieć, dla mnie najbardziej bulwersujące w całej tej historii jest to, że przecież jeżeli wierzyć результатам wszystkich przeprowadzanych w ostatnim czasie medycznych analiz... – ukazał nonszalanckim gestem usytuowany pod samym oknem stoliczek, na którego blacie spoczywały pedantycznie uformowane w niewysoki stosik znajome każdemu, kto tylko z nim na jakiegokolwiek płaszczyźnie choćby sporadycznie współpracował, karteluszeki w rozmaitych

kolorach – powinien to być dla ciebie wprost wymarzony okres do bicia wszelkich życiowych rekordów. Dajmy na to już dawno u nikogo nie widziałem tak imponującej pojemności tlenowej! Tymczasem co się dzieje? – zawiesił na moment głos, jakby się spodziewał, że ktoś udzieli mu na to pytanie kompetentnej odpowiedzi, a potem machnął z rezygnacją ręką. – A no to, że na szosie nie potrafisz dotrzymać koła nawet zupełnie przeciętnym kolegom teoretycznie odstającym od ciebie pod względem umiejętności o mile całe! I to po wpompowaniu w siebie tylu treningowych kilometrów, tuż przed tak ważną, praktycznie decydującą o wszystkim imprezą!

Całej tej zaprawionej potężną porcją goryczy tyrady wysłuchałem z pokornie opuszczoną głową. Tym niemniej, paradoksalnie, w owej mało smakowitej pigule, jaką dopiero co chcąc nie chcąc musiałem bez protestu przełknąć, raptem dostrzegłem także maciupeńki załazek szansy dla siebie. Trzeba to było tylko jakoś umiejętnie zaprezentować, przetransponować na właściwy, to znaczy możliwy do przełknięcia wniosek. Ściągnąwszy brwi przez chwilę gorączkowo kompletowałem najbardziej według mnie nadające się do takiej wielce delikatnej operacji słowa.

– Moim zdaniem właśnie to, co raczył pan przed chwilą powiedzieć, uprawdopodobnia wersję, że u podstaw mojej dzisiejszej niedyspozycji mogły leć jakieś czynniki zewnętrzne, niezwiązane bezpośrednio z moją aktualną formą – zamamrotałem, sam jeszcze nie do końca przekonany do wartości swego argumentu. Ale na

dokonywanie jakichkolwiek korekt było już zdecydowanie za późno, gdyż Kopylak już mi się bacznie przypatrywał swoimi stalowymi bładoniebieskimi oczami z wyraźnie budzącym się zaciekawieniem.

– I co z tego według ciebie miałoby dla naszej sprawy konkretnie wynikać? – burknął.

Właściwie nie wiadomo dlaczego poczułem się odrobinę pewniej; poruszyłem ramionami.

– No bo przecież nigdzie nie jest powiedziane, że tego rodzaju czynniki, niezależnie od tego, czy jest, czy też nie jest możliwe zidentyfikowanie ich natury, muszą się zmanifestować ponownie! – powiedziałem na tyle sugestywnym tonem, na jaki się tylko potrafiłem w tym momencie zdobyć.

Teoryjkę tę ukułem ad hoc, na kolanie, właściwie na zasadzie uchwycenia się choćby brzytwy w razie braku czegoś solidniejszego w zasięgu ręki. I prawdę mówiąc specjalnie nie liczyłem na to, iż przy jej pomocy uzyskam jakąś znaczącą poprawę mej doprawdy arcynieuwesołej sytuacji czy choćby tylko odroczenie wyroku. Toteż troszeczkę się nawet zdziwiłem, konstatując, że na trenerze Kopylaku wywarła ona jednak pewne wrażenie. Z pięć sekund mierzył mnie osobliwym, jakby nieobecny wzrokiem, a potem otarłszy dłonią czoło zerwał się gwałtownie z krótkim, ale za to dość głośnym sapnięciem z krzesła, zupełnie jakby go coś boleśnie ukąsiło w siedzenie, i w iście sprinterskim tempie przemierzył kilkakrotnie wzdłuż i wszerz pokój. Kiedy wreszcie zastopował naprzeciwko mnie i zakotłosał się energicznie na obcasach, na jego

twarzy malowała się już pełna determinacja.

– Eliminacje odbędą się w piątek. Na zabawę w jakieś tam bzdety z dodatkowymi testami nie pozostaje nam już zatem nazbyt wiele czasu. To znaczy, praktycznie w ogóle go nie ma! – wyrzucił jednym tchem jakby z odcieniem żalu, lecz kiedy zaczęła mi już rzędnąć mina, uzupełnił całkiem innym, na wskroś rzeczowym tonem: – Ale niech będzie, to ryzyko jestem skłonny wziąć na swoje barki! Chłopców nie będę już jednak naturalnie więcej gonił. Zarówno ze względów psychologicznych, jak i czysto fizjologicznych. Nie mogę i nie chcę wypruwać z nich resztek tak im przecież potrzebnych sił. Dzisiaj w odróżnieniu od niektórych spośród nas – krzywy uśmieszek, jaki mu w tym momencie leciuteńko wygiął wargi, nie pozostawiał ni cienia wątpliwości, kogo ma mianowicie na myśli – naprawdę dali z siebie wszystko!

Następnie przygważdżając mnie niemal w dosłownym tego słowa znaczeniu surowym wzrokiem do krzeselka, w paru słowach wyłuszczył swe zamiary względem mojej osoby. W dniu jutrzejszym miałem wyłącznie w jego towarzystwie, to znaczy pod jego osobistym nadzorem, przepedałować taki odcinek trasy, jaki w zależności od wykazywanej przeze mnie formy uzna za stosowny.

– No i jeżeli uda ci się uzyskać w miarę przyzwoity rezultat, to będziemy jeszcze ewentualnie mogli powrócić do tematu. Żeby już jednak wszystko było pomiędzy nami jasne: osobiście radziłbym, abyś póki co nie obiecywał sobie po tym nazbyt wiele! Gra idzie o

zbyt dużą stawkę, w grę wchodzi dobro całej drużyny, więc będę musiał sobie jeszcze to wszystko gruntownie przemyśleć, dokładnie zważyć wszelkie za i przeciw – w jego oczach zapaliły się ironiczne ogniki. – Masz jakieś uwagi?

Fala odprężenia, jaka w tym momencie wezbrała mi w piersi, była tak potężna, że nieomal całkowicie sparaliżowała mi na parę sekund aparat mowy. Przyszło mi zatem z konieczności ograniczyć się jedynie do potrząśnięcia głową na znak zaprzeczenia. W tejże samej chwili nie wiadomo dlaczego wydało mi się ponadto, że w Kopylaku zaczynają z wolna wzbierać wątpliwości co do tego, czy dopiero co podjętą przezeń decyzję rzeczywiście można uznać za optymalną, więc autentycznie przeraziwszy się, iż to może lada chwila zaowocować fatalnymi dla mnie konsekwencjami, zerwałem się w prawdziwym popłochu z krzesła i nie czekając na przyzwolenie, ale też nie zderzając się z wyartykułowanym w jakikolwiek sposób sprzeciwem, ręczno pocwalałem ku drzwiom.

Na temat tego, w jaki sposób zagospodarować swój czas pozostający jeszcze do najbliższego obowiązkowego wspólnego posiłku, zacząłem się zastanawiać dopiero po znalezieniu się za względnie bezpiecznym załomem korytarza, w bezpośrednim sąsiedztwie windy. Nie żywiłem najmniejszych złudzeń co do tego, że powrót do zajmowanego przeze mnie pokoiku prędzej lub później musiałby się zakończyć osaczeniem mnie przez nie na żarty rozeźlonych kolegów kąśliwymi wymówkami. Już w drodze

powrotnej z dzisiejszego ostrego treningu bardzo dobitnie dawali przecież wyraz temu, co sądzą o tej mojej nieszczęsnej „współpracy” na trasie. Właściwie tylko obecności Kopylaka powszechnie znanego z braku tolerancji dla jakichkolwiek ekscesów pośród zawodników akurat prowadzonych przezeń zespołów można było zawdzięczać, że obyło się jednak bez większej na tym tle awantury. Szczególną agresywnością wykazał się przy tym nieoczekiwanie Frątczak, pierwszy rezerwowy. Zupełnie jakby miał mi za złe, że wykazując się słabiuteńką formą otwieram mu przecież na oścież furtkę do sukcesów, stwarzam możliwość pokazania, na co go naprawdę stać. To już doprawdy było faryzeuszostwo w najczystszej postaci! Biorąc to wszystko pod uwagę postanowiłem więc niepostrzeżenie wymknąć się na zewnątrz, ażeby dać im troszkę czasu na ochłonięcie z tych niezdrowych, przynajmniej z mojego punktu widzenia, emocji.

Przysadziście, białe tynkowane gmaszysko hotelu wybranego przez Kopylaka według tylko jemu wiadomych kryteriów na nasze locum na czas trwania imprezy było usytuowane w samym centrum niezbyt rozległego parku dość gęsto dla wygody gości poprzerzynanego szarawymi strumykami wyasfaltowanych alejek. Dla zwiększenia prawdopodobieństwa, że żadnemu z moich koleżków nie uda się mnie zbyt łatwo wytropić, zdecydowałem się na tę jego partię, która cieszyła się najmniejszą popularnością pośród hotelowych gości ze względu na zwykłe rozwarte na roścież okna kuchni niemal bezustannie rozsiewające

N 1

intensywne aromaty, nie zawsze rzecz oczywista najatrakcyjniejsze dla zmysłu ludzkiego powonienia. Dotarłszy do krańca posesji, który przybierał tutaj postać dosyć wysokiego murku z brunatnawych, tu i ówdzie nadłupanych cegieł, wypatrzyłem pośród kępy na poły już przekwitłego fioletowawego bzu najwyraźniej zapomnianą przez hotelową obsługę, zapewne od niepamiętnych już czasów niepotraktowaną ni gramem lakieru rachityczną ławeczkę. Uznawszy, że w obecnej sytuacji jest to coś w sam raz dla mnie, opadłem na nią z głębokim westchnieniem ulgi, albowiem nadal mi niemiłosiernie dokuczały wszystkie stawy, kości i mięśnie, zupełnie jakby dopiero co przejechał po mnie wte i wewte solidny walec drogowy. Mimo że wcale nie miałem takiego zamiaru, niemal od razu pogrążyłem się po same uszy w niewesołym rozpamiętywaniu szczegółów dzisiejszego iście feralnego dla mnie przedpołudnia.

Na ile tylko potrafiłem sięgnąć wstecz pamięcią, nigdy mi się jeszcze nic podobnego nie przydarzyło. To było, mówiąc najogólniej, po prostu potworne! Miało w sobie coś z najokropniejszych sennych koszmarów, kiedy to pomimo zaangażowania całej woli, podejmowania rozpaczliwych, nadludzkich wprost wysiłków zupełnie nic na to, co się z nami wyprawia, nie jesteśmy w stanie poradzić. Wszystkie mięśnie, a wraz z nimi także płuca jakby biorąc srogi odwet za tę ich wieloletnią, nader lekkomyślną, a niekiedy nawet wręcz rabunkową eksploatację, parę razy, bez jakiegokolwiek widocznej po temu przyczyny, zupełnie odmówiły mi

posłuszeństwa, co naturalnie natychmiast odbiło się na funkcjonowaniu zespołu, całkowite wybiecie z rytmu trójki pozostałych jego członków dotąd współpracujących ze sobą i ze mną z taką precyzją, że śmiało można było nas wszystkich przyrównać do doskonale dopasowanych elementów jednego wyśmienicie wyregulowanego, uporczywie zmierzającego do wyznaczonego sobie celu mechanizmu. Ponieważ w miarę upływu czasu mój nie wiadomo czym spowodowany kryzys zaczął wykazywać – niestety! – wyraźną tendencję do pogłębiania się, wkrótce runęły wszystkie taktyczne założenia wypracowane w oparciu o rzetelną ocenę naszych aktualnych możliwości, uwzględniające tlenowy oraz beztlenowy metabolizm każdego z nas, nowoczesne zasady psychologii i tym podobne instrumenty będące we współczesnym naukowym świecie do dyspozycji sportowej maszyny. W rezultacie takiego obrotu sprawy trener Kopylak bardzo prędko osiągnął stan niebezpiecznie zbliżony do apopleksji. Trudno się zresztą było temu dziwić: wszak już od wielu lat nie bez kozery zaliczano go do najściślejszej światowej trenerskiej elity, musiał więc w pełni zdawać sobie sprawę, że budowana przezeń uporczywie od samych podstaw, to znaczy od momentu przywrócenia przez UCI do łask szosowego wyścigu na czas na sto kilometrów, drużyna w tym sezonie stanowi siłę zdolną do przebicia się do strefy medalowej tylko i wyłącznie z jej – mówiąc bez fałszywej skromności – niekwestionowanym liderem, to znaczy ze mną we względnie normalnej kondycji.

Według mnie jednym z dowodów dobitnie poświadczających jego doprawdy niepospolite kwalifikacje było między innymi i to, że w końcu zdołał jednak okiełznać swoją w pełni skądinąd uzasadnioną, nader delikatnie to ujmując, irytację i po dokonaniu wnikliwej, ze wszech miar racjonalnej oceny sytuacji zdobył się na zaofiarowanie mi – a tym samym, co tu owijać w bawełnę, w gruncie rzeczy także i samemu sobie – jeszcze jednej szansy. Czy jednak w ogóle będę ją w stanie wykorzystać?

Dla ułatwienia sobie tego uniosłem się nieco z ławeczki i wydobyłem z kieszeni dużą kraciatą chusteczkę. Bardzo starannie zebrałem w nią pot z czoła. To rzeczywiście było niezłe pytanie! Z gatunku tych za pełne dziesięć punktów. Poza samą możliwością nawrotu kryzysu obecnie czyhały na mnie przecież jeszcze inne, nie mniej podstępne niebezpieczeństwa. Wszak jazda w pojedynkę to zupełnie inna para kaloszy, aniżeli zmaganie się z dystansem i z paraliżującym członki zmęczeniem w zespole, kiedy zawsze można przecież liczyć na wspomnienie przez któregoś z akurat lepiej dysponowanych w danym momencie partnerów mocniejszą zmianą umożliwiającą pozostawanie troszeczkę dłużej w powietrznym tunelu czy też na nieco dłuższą osłonę przed dokuczliwym naporem bocznego wiatru. No cóż, pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że trener doskonale się przecież orientując w tych wszystkich niuansach niełatwego kolarskiego fachu, odpowiednio zmodyfikuje swoje oczekiwania w stosunku do mojej skromnej osoby!

Znalazłszy się na tym etapie niezbyt wesołych rozważań raptem uzmysłowiłem sobie, że oto znów zaczyna się ze mną dzieć coś dziwnego, a zarazem wielce niepokojącego. Od pewnego czasu – momentu, w którym się to rozpoczęło, ani rusz nie potrafiłbym nawet w przybliżeniu określić – wokół mnie zalegała martwa, iście surrealistyczna cisza, pomimo że przecież jeszcze tak niedawno temu zza murku nieustannie atakował mnie zgiełk i jazgot z obwodnicy charakteryzującej się wyjątkowo dużym natężeniem samochodowego ruchu. Wyglądało to tak, jak gdyby cały przewód słuchowy ni z tego, ni z owego wypełniło mi bardzo szczelnie jakieś obce, nadzwyczaj spoiste ciało. Jakby tego było jeszcze mało, odczułem jednocześnie leciusieńki zawrót głowy, a przed oczami zapląsał w dynamicznym tańcu o zupełnie nieznanym mi choreograficznym układzie gęsty rój powyginanych na najrozmaitsze sposoby smolisto-czarnych przecinków. Instynktownie, w obawie przed bezwładnym osunięciem się na akurat dość tutaj anemiczny, pewnie z powodu chronicznego braku dostatecznego nasłonecznienia, dywan trawy, zwarłem kurczowo palce na tworzących siedzisko, poznaczonych rozległymi liszajami ubytków lakieru deskach ławeczki.

Po parunastu sekundach trwania w wyczekującym nie wiadomo na co, przepełnionym trwożliwym napięciem bezruchu wszystko poczęło z wolna powracać do normalności. Nie było to jednak bynajmniej równoznaczne z kresem moich kłopotów. Teraz przede mną, obok mnie albo też i we mnie samym, jakby gdzieś w przepastnych, wciąż jeszcze nader

niedokładnie spenetrowanych czeluściach zwojów mózgowych, drgał i skręcał się na wszelkie możliwe i zgoła nieprawdopodobne sposoby, to się wyostrażając, to znów niemal zupełnie rozmywając, zlewając w nieregularną szaro-różowawą plamkę, kształt jakiś, który momentami i przy zaangażowaniu doprawdy niemałej dozy wyobraźni można było poczytać za dziwaczny, mocno uproszczony zarys ludzkiej twarzy ze wszystkich stron naraz wściekle atakowany przez potężne wichrowe furie.

Przez głowę przemknęła mi niepokojąca myśl, że ulegam jakiejś osobliwej halucynacji. Próbując się od niej uwolnić, z całą mocą zacisnąłem na parę sekund powieki. Dla spotęgowania efektu dodatkowo wymasowałem je bardzo energicznie opuszkami dwóch palców. Jednak ku mojemu ogromnemu rozczarowaniu kształt ów zamiast zniknąć po owych zabiegach, stał się jeszcze bardziej wyrazisty, wyszły na jaw jego dotąd zupełnie niedostrzegalne szczegóły. W pewnym momencie odniosłem nawet nie nazbyt sympatyczne wrażenie, że twarz – czy co to tam w rzeczywistości było – mruga do mnie ni to łobuzersko, ni to porozumiewawczo, zupełnie jakby łączyła nas nić jakichś intymnych, nam tylko znanych sekretów, dość dużym, z lekka przekrwawionym okiem jak gdyby specjalnie utworzonym na tę okazję. Nim zdążyłem się z należytą powagą zastanowić nad możliwą genezą tego zjawiska, dał się słyszeć dochodzący nie wiadomo skąd, bardzo cichy, tym niemniej zupełnie wyraźny głos całkowicie wyprany z jakiegokolwiek intonacji:

– Niepotrzebnie się niepokoisz. Chwilowo mamy jeszcze co prawda pewne kłopoty z kompleksowym zestrojeniem się z niektórymi twoimi receptorami, ale wszystko znajduje się już na jak najlepszej drodze. Jesteśmy przekonani, że wkrótce sobie z tym poradzimy bez najmniejszego uszczerbku dla funkcjonowania twojego organizmu.

W pierwszym momencie naturalnie ani mi postało w głowie, że te dziwaczne słowa mogą się odnosić właśnie do mnie. Po prostu pomyślałem, iż są to okruchy rozmowy prowadzonej przez jakichś spacerowiczów zabłąkanych w pobliże mojej kryjówki. Raczej z zaniepokojenia – wszak nie można było wykluczyć, iż to właśnie moi koledzy chcąc sobie troszeczkę rozprostować kości zapuścili się aż tutaj – aniżeli z ciekawości rozglądałem się uważnie dookoła, ale nie udało mi się absolutnie nikogo wypatrzeć. Dźwignąłem się zatem odrobinę z zachowaniem należytej ostrożności, ażeby sobie otworzyć pole widzenia także na ten skrawek parku, jaki się rozciągał poza równiuteńko przyciętym złocistożółtym parkanikiem utkanym z żywotników i właśnie zamierzałem zapuścić jeszcze żurawia za tkwiącą za moimi plecami mocno rozrośniętą kępę bzu, kiedy me detektywistyczne zapędy raptem skutecznie wystudził w samym zarodku niewątpliwie ten sam co uprzednio głos, tyle że tym razem dało się w nim jednak dodatkowo wyczuć nutki jakby leciuteńkiego zniecierpliwienia:

– Im bardziej będziesz się wiercił, tym dłużej to

wszystko potrwa.

Ogromnie skonsternowany, z głuchym stęknieniem opadłem tak gwałtownie na ławeczkę, że aż mnie coś boleśnie zakłuło w okolicy kości ogonowej. Te bezsensowne na pozór odzywki były nazbyt dokładnie skorelowane z akurat wykonywanymi przeze mnie czynnościami, ażebym nadal mógł sobie pozwalać na całkowite ich ignorowanie, wmawianie sobie, iż dotyczą one nie mnie, ale kogoś zupełnie innego. W tej sytuacji byłoby to przecież tylko zwykłym, bezrozumnym chowaniem głowy w piasek, co jest wprawdzie najprostszą metodą samouspokojenia, ale w ostatecznym rozrachunku zwykle skutkuje nader opłakany dla uciekającego się do niej osobnika rezultatami.

– Kto tam, do cholery, jest?! – zakrzyknąłem, dokładając starań, aby zabrzmiało to w miarę zdecydowanie, a nawet groźnie. – Stanowczo wypraszam sobie tego rodzaju dowcipasy!

Brak jakiegokolwiek reakcji; co więcej, cisza jakby się jeszcze bardziej zagęściła, opatulając mnie zwiewnym, ale pomimo to całkowicie nieprzenikliwym dla jakichkolwiek dźwięków całunem: obecnie nie tylko że nie docierał do mnie najniklejszy nawet odgłos z sąsiadującej z parkiem obwodnicy, ale nadto odniosłem osobliwe wrażenie, iż nie słyszę nawet własnych słów, pomimo że wypowiedziałem je przecież głosem dalekim od szeptu. Cóż to, u diaska, mogło znaczyć, jak należało interpretować te wszystkie bądź co bądź niecodzienne zjawiska? Czy tu aby przypadkiem nie chodziło o to, że

zarówno ten docierający do mnie nie wiadomo skąd głos, jak i owa nadal uporczywie atakująca mnie wizja maskary daremnie usiłująca upodobnić się do ludzkiej twarzy tkwią jedynie we mnie samym, stanowią osobliwe produkty mojego rozregulowanego czymś od pewnego czasu systemu nerwowego?

Od takiego przypuszczenia dzielił mnie już tylko niewielki kroczek do powzięcia podejrzenia, iż w tak niezwykle sposób mogą się przecież objawiać załążki szaleństwa. Na samą myśl o tym pomimo niezbyt wysokiej w dniu dzisiejszym temperatury oblałem się lodowatym potem, skuliłem niczym po przyjęciu na żołądek nieoczekiwanego morderczego ciosu. Po chwili słabości zdołałem się jednak wziąć jakoś w garść. Zadałem sobie pytanie, czy majaczenia szwankującego umysłu rzeczywiście mogłyby przybierać taką właśnie postać. Co prawda dziedzina nauki zwana psychiatrią była mi najzupełniej obca, tym niemniej na temat przedmiotu jej zainteresowań wiedziałem mniej więcej tyle, ile prawdopodobnie jest znane każdemu przeciętnemu, średnio inteligentnemu zjadaczowi chleba. Wszak obłąd to w końcu nic innego, jak tylko zespół zwartych, w jakimś tam sensie dostatecznie usystematyzowanych urojeń z reguły uchodzących w oczach dotkniętego nim osobnika za części składowe świata jak najbardziej realnego, ze wszech miar autentycznego. Gdyby więc faktycznie miało mnie już dopaść to nieszczęście, to najprawdopodobniej w ogóle uszłoby to mej uwagi. Co więcej, zapewne w takim przypadku ochoczo włączyłbym się do tej niezmiernie

zawiłej gry szwankującej wyobraźni przepętnionej mniejszymi bądź większymi niekonsekwencjami, nieskrępowanej przyciasnawym na ogół gorsetem rzeczywistych możliwości danego środowiska, a tym samym oferującej niedostępne dla normalnego człowieka doznania, niekiedy zaskakujące szanse, choć tak naprawdę wszystko to istniałoby jedynie subiektywnie, tylko i wyłącznie w sferze imaginacji. Tymczasem w moim przypadku sprawy miały się jednak przecież nieco inaczej!

Konkluzja, do jakiej w rezultacie tej przeprowadzonej naprędce, a przy tym troszeczkę nerwowo analizy doszedłem, co prawda nieco podreperowała moje samopoczucie, tym niemniej nie zmieniało to w niczym deprymującego faktu, iż nadal nie miałem zielonego pojęcia, kto i w jaką próbuje mnie tutaj wciągnąć zabawę. Czy jednak w ogóle warto było zaprzętać sobie tym głowę? Może należało po prostu wziąć tyłek w troki, to znaczy jak najszybciej odejść z tego miejsca, wyszukać sobie jakiś inny, bardziej zaciszny kącik? I pewnie tak bym właśnie postąpił, gdyby mnie tak bardzo nie zaintrygowała owa nie wiadomo co sobą reprezentująca i skąd się biorąca, wciąż mnie raczej nieudolnie kokietująca maskara. Słowem, jak to nazbyt często w życiu bywa, zwykła ludzka ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem i postanowiłem podjąć próbę rozwikłania przynajmniej tej zagadki. Szansy na to upatrywałem przy tym w nakłonieniu nie wiadomo gdzie przyczajonego żartownisia do czegoś w rodzaju towarzyskiej pogawędki. Akurat się głowiłem, jak się

powinienem do tego zabrać, kiedy znowu dał się słyszeć już znajomy mi w pewnym sensie głos:

– Nie jest wskazane, abyś krzyczał. Taki sposób wyrażania swoich emocji powoduje bardzo głębokie zaburzenia w strukturach pól molbinarnych i w konsekwencji w znaczącej mierze utrudnia nam realizację absolutnie nieodzownej przystosowawczej procedury. Dopóki nie zdołamy się w pełni zestroić ze wszystkimi twoimi receptorami, dopóty w naszym wspólnym dobrze pojmowanym interesie leży bezkonfliktowa i harmonijna współpraca.

Nieoczekiwanie podziałało to na mnie niczym podanie muzykowi przez dyrygenta inauguracyjnego taktu. W każdym razie stało się dla mnie jasne, w jaki sposób i od czego powinienem rozpocząć akcję. Bardzo starannie, jak gdyby wyłącznie od sposobu wykonania tej czynności zależało, czy istotnie ziszcza się moje rachuby, odchrząknąłem w zwiniełą w trąbkę dłoń.

– Jeżeli już rzeczywiście mielibyśmy podjąć ze sobą jakąś tam formę współpracy – zarówno tonem, jak i całą swą postawą dawałem teraz dobitnie do zrozumienia, że to bynajmniej nie ja jestem tym petentem, który się uporczywie o nią dobija się – to najprzód musiałbym wiedzieć, z kim mam właściwie przyjemność i czego się tu po mnie oczekuje. Chyba nie można tego zaliczyć – w tym miejscu zdobyłem się nawet na coś w rodzaju ironicznego chichociku – do wymagań nadmiernie wygórowanych?

Zawiesiwszy głos rozglądałem się uważnie dokoła, albowiem nie wykluczałem, iż teraz mój

N 1

przyczajony nie wiadomo gdzie interlokutor może wreszcie gruchnąć śmiechem i się w końcu zdematerializować. Miast tego jednak raptem poczułem w uszach bardzo gwałtownie narastający ucisk, zupełnie jakbym nie wysiadywał teraz ławeczki na poły przeżartej przez niezliczone pokolenia pracowitych korników, ale wprost błyskawicznie opadał ku dnu jakiegoś gigantycznego, nie wiadomo jakich głębin dościgającego akwenu. Wrażenie to było tak realistyczne, że kiedy wreszcie ucisk zanikł równie nagle, jak się uprzednio objawił, odruchowo potrząsnąłem głową, tak jak to zwykle czyni autentyczny nurek po wychynięciu na powierzchnię.

– Podlegamy tym samym co i ty koordynatom przestrzeni, dzieli nas natomiast bezmiar czasu – zostałem wreszcie poinformowany o wiele za lapidarnie jak na mój gust. Rzecz jasna nic a nic z tego bełkotu nie zrozumiałem. Co więcej, odniosłem przy tym zaiste dziwne wrażenie, że w tej wypowiedzi chodziło nie tyle o wzbogacenie mnie jakąś informacją, ile raczej o samą przyjemność sklecenia zdania złożonego. Nieobecny od paru chwil maszkaron znowu pojawił się w jakiejś, zresztą podobnie jak i poprzednio, zupełnie niemożliwej do jednoznacznego zdefiniowania przestrzeni. Tym razem to, co od biedy można było poczytać za usta, rozciągało się jakby w szerokim, lecz pomimo to jakoś ani troszeczkę niekojarzącym mi się z wesołością uśmiechu.

Z głębokim, boleściwym westchnieniem zawodu uniosłem oczy ku leniwie sunącym gdzieś ku wschodowi

po błękitnawym firmamencie wystrzępionym pierzastym obłoczkom, jakbym się spodziewał, że to właśnie stamtąd spłynie na mnie łaska oświecenia. Ponieważ jednak, rzecz jasna, nic podobnego nie nastąpiło, poczułem się zmuszony do powrotu na Ziemię.

– Czy mógłbyś to sformułować w nieco bardziej przystępnej formie?! – rzuciłem już teraz nie na żarty rozdrażniony swą bezradnością wobec tego, co się wokół mnie i ze mną samym działo. Widocznie moja skromna prośba nieoczekiwanie przysporzyła nadal nieskoremu do ujawniania się uczestnikowi tej arcydziwacznej konwersacji niejakich kłopotów, albowiem cisza, jaka po tym moim dość agresywnym wystąpieniu zapadła, przedłużała się zda się w nieskończoność. Wreszcie jednak, kiedy się już zaczęło we mnie z wolna ugruntowywać przekonanie, iż żadnej odpowiedzi prawdopodobnie w ogóle się nie doczekam, znów dał się słyszeć beznamiętny głos:

– Przebywamy dokładnie w tej samej co i ty przestrzeni, ale w zupełnie innym czasie.

Chociaż już od pewnego czasu nurtowały mnie niewyraźne, nie do końca sprecyzowane przeczucia, iż mogę zostać uraczony czymś cudacznym, wyłamującym się z oków elementarnej logiki, tym niemniej to co po-słyszałem wprawiło mnie w prawdziwe osłupienie. Przez dłuższą chwilę wlepiąłem tępy wzrok w mocno przykurzone czubki własnych nieco podniszczonych adidasów, mozolnie usiłując zebrać myśli zdradzające ogromnie irytującą tendencję do rozsypywania się na

podobieństwo miążkiego piasku poddawanego nierównym, porywistym podmuchom wiatru.

– Czyżbym miał przez to rozumieć, że jesteś przybyszem z ... przyszłości?! – wydukałem wreszcie wstrząśnięty nie tyle nawet samą konkluzją, do jakiej dopiero co doszedłem, ile raczej tym, że coś tak piramidalnie absurdalnego, stojącego w tak jaskrawej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem mogło mi się w ogóle załęgnąć w głowie.

To, co z niewiadomych mi powodów usiłowało to mniej, to znów bardziej udatnie uchodzić za co najmniej namiastkę twarzy, w tym momencie niemal zupełnie się zatraciło w niezwykle gwałtownych konwulsjach. To ten, to znów inny fragment coraz to jakby się rozmywał, zupełnie zanikał na całe sekundy, pozostawiając po sobie jedynie coś w rodzaju migotliwego, słabutkiego halo. Tak jakoś mimochodem przeszło mi przez myśl, iż pod wieloma względami przypomina to odbicie w lustrze wody, którego senny bezruch naraz ktoś dla prostej psoty albo z jakiegoś innego, nieznanego mi powodu zaczyna zakłócać bardzo energicznie patykiem, powodując tym tworzenie się niezliczonych zawirowań i rozkołysań o najrozmaitszych amplitudach, ustawicznie zachodzących na siebie i wzajemnie się przenikających pod najróżnorodniejszymi kątami. A potem wszystko równie nagle jak się rozpoczęło, powróciło do stanu wyjściowego. Z tym tylko, że rysy oblicza uległy znacznemu wyostrzeniu, wydatnie zyskały na wyrazistości.

– Jesteśmy z czasu przyszłego, jeżeli patrzeć na to

zagadnienie z twojego punktu widzenia – poinformowano mnie nadzwyczaj łagodnie, przy czym nie wiedzieć czemu odniosłem wielce osobliwe wrażenie, iż dla przekazania mi tej informacji nie korzysta się z odpowiedniego modulowania fal akustycznych, lecz bezpośrednio potrąca się jakieś tam zwoje w głębi mego mózgu – natomiast nasz punkt odniesienia sytuuje ciebie w bardzo odległym czasie przeszłym.

Nie na żarty poirytowany strzeliłem palcami; wyglądało na to, że jednak ktoś się tutaj uparł, ażeby zrobić ze mnie kompletnego durnia. W pierwszym odruchu chciałem kategorycznie przeciwko temu zaprotestować, jednak w porę ugryzłem się w język. Wszak wdawanie się w jakieś tam pyskówki mogło mi tylko co najwyżej skutecznie zablokować dostęp do jakiejkolwiek informacji. No a ponadto w tym właśnie momencie dotarło także do mojej świadomości w całej pełni, że już nie po raz pierwszy zwracano się do mnie, posługując się przy tej okazji wielce niepokojącym zaimkiem „my”. Tak jakbym miał do czynienia nie z jakimś pojedynczym osobnikiem, ale z całą ich nie wiedzieć jak liczną czeredą! Jeżeli rzeczywiście tak by się miały przedstawiać sprawy, to moje szanse w przypadku zaistnienia jakiejkolwiek scysji od samego startu prezentowałyby się przecież nad wyraz mizernie. *Nec Hercules contra plures!* Zwykła roztropność podpowiadała zatem, iż nadal najwłaściwszym będzie robienie dobrej miny do złej gry. No i zachowanie przy tym jak najdalej posuniętej ostrożności.

– No dobrze, niech wam będzie – powiedziałem ugodowo. – Nadal jednak zupełnie nie pojmuję, na czym ta nasza współpraca miałaby konkretnie polegać?

Tym razem odpowiedź nadpłynęła bezzwłocznie. Co więcej, odniosłem przy tym wrażenie, iż przystąpiono do jej udzielania, zanim jeszcze na dobre przebrzmiała końcówka mego pytania. I nie można jej było absolutnie nic zarzucić ani pod względem logicznym, ani też stylistycznym.

– Chodzi jedynie o to, abyś się zechciał całkowicie rozluźnić i zachowywać jak najspokojniej. O całą resztę zadbamy my sami.

– Dopóki się nie dowiem, o co w tym wszystkim właściwie idzie, będzie to niezwykle trudne, a może nawet wręcz niemożliwe do spełnienia! – postawiłem się hardo.

– Na pewno potrafisz, o ile tylko zechcesz – wyglądało na to, że zupełnie błędnie pojęto intencję przyświecającą mojej wypowiedzi. Postanowiłem jednak nie wyprowadzać ich na razie z błędu. Miast tego zagadnąłem:

– I co byście na tym zyskali?

– Umożliwi nam to szybkie całkowite zestrojenie się z twoim wyposażeniem sensorycznym.

– Z czym?! – perspektywa zestrzajania się z nimi czymkolwiek jakoś mnie nie przyprawiała o euforię. Trochę nerwowo przełknąłem ślinę. – Czyżby wam chodziło o... moje oczy?

– Między innymi. Aby dokładnie zrozumieć istotę i zakres postrzegania przez was świata, musimy uzyskać

pełny dostęp do wszystkich zmysłów, w jakie zostaliście wyposażeni w toku długotrwałego procesu ewolucji.

– A co, czyżbyście wy sami nie dysponowali tego rodzaju zmysłami, jesteście ślepi i głusi?! – w moim zamyśle miało ich to po prostu zdruzgotać potężnym ładunkiem ironii, kompletnie wdeptać w ziemię, ale w rzeczywistości zabrzmiało – niestety! – tylko żałośnie.

Gdzieś coś przeciągle mlasnęło, zupełnie jakby właśnie uległa brutalnej perforacji jakaś cienusieńka, elastyczna błona napięta do granic wytrzymałości tworzących ją molekuł, a następnie pouczono mnie beznamiętnie:

– Nasze zmysły są odmienne od twoich. Ukształtowały się w toku ewolucji świata, w którym obecnie funkcjonujemy my. Od twojej epoki zaszły w nim na tyle głębokie przemiany, że za ich pośrednictwem nie jesteśmy już w stanie odcyfrować z niezbędną precyzją charakteru procesów zachodzących w twoim świecie.

Przez dobrą chwilę bezmyślnie pocierałem wierzchem dłoni mocno rozpalone niecodziennymi emocjami czoło; w tym momencie czułem się jak mierny aktorzyzna w nędznawym bulwarowym teatryku; tyle tylko, że aktorzy obsadzeni w rolach moich partnerów odgrywali je na planie tak sugestywnie, z taką pewnością siebie, iż powoli, aczkolwiek nader niechętnie, z przeogromnymi oporami, zaczynałem dawać ich słowom wiarę. Przynajmniej niektórym. A i to pod pewnymi warunkami. Znów z niemałym trudem przełknąłem ślinę.

– Czyżbyście chcieli przez to powiedzieć... – pomimo tego zabiegu zapytałem dość chropowato – że wy jesteście... – i tu beznadziejnie utknąłem w połowie zdania, zupełnie utraciwszy wątek, nie mając zielonego pojęcia, jak tę frazę zakończyć, aby nie wyjść na stuprocentowego durnia; wreszcie zdecydowałem się na całkowitą jej zmianę – że różnicie się od nas?

– Taka forma materii ożywionej, jaką reprezentowaliście niegdyś wy, stanowiła jedynie pewien etap rozwoju – emocje, jakie od pewnego czasu mną targaly, zdawały się nie być przez mego rozmówcę albo w ogóle dostrzegane, albo też całkowicie ignorowane, albowiem ów nadal nie wiadomo skąd i w jaki sposób dobiegający do mnie głos był tak monotonny, jak gdyby po prostu chodziło o zwykłe przekazanie receptury na jakąś nie nazbyt skomplikowaną potrawę – podobnie jak i my niewątpliwie nim jesteśmy. Dopóki w danym środowisku istnieją warunki sprzyjające trwaniu materii ożywionej, dopóty jej postać w każdym przypadku stanowi tylko formę przejściową, przystosowaną do jak najpełniejszego wykorzystania określonych atrybutów tego środowiska, jego ożywioną i wraz z nim nieustannie zmieniającą się replikę. Chociaż niewątpliwie wywodzi się z tego samego pnia, teraz już wiemy z całą pewnością, że różnice istniejące pomiędzy nami i wami są wprost proporcjonalne do czasu, jaki nas oddziela. Jak już ci zakomunikowano, ten dystans jest bardzo duży.

Coś mi się tutaj w tym wszystkim nie zgadzało, jakby nagle zapachniało osobliwym dysonansem. Cóż to

jednak, u diaska, mogło być takiego? Cierpliwie, niemal słowo po słowie, odtworzyłem sobie parę razy w myślach dopiero co otrzymaną informację. No tak, już wiedziałem, w czym rzecz!

– Jednak nie na tyle... – zauważyłem z niezbyt starannie zamaskowaną ironią – ażeby mogło to nam przeszkadzać w całkiem swobodnym porozumiewaniu się?

– Taki stan rzeczy mamy do zawdzięczenia jedynie temu, że uzyskaliśmy już zdolność operowania zbiorem podstawowych jednostek semantycznych wyekstrahowanych z twojego integralnego neurosystemu – poinformowano mnie jak zwykle beznamiętnie. – Nie przysporzyło nam to zresztą specjalnych kłopotów, ponieważ okazał się on nadzwyczaj ubogi.

Przygryzłem dolną wargę z taką mocą, jak gdyby właśnie dojrzała we mnie niezłomna decyzja bezzwłocznego skonsumowania jej na surowo. A więc znów doczekałem się dotkliwego prztyczka w nos!

– No a ta... twarzyczka? – rzuciłem po paru sekundach milczenia troszeczkę przygaszonym głosem. – Czyżbyście byli... takimi właśnie piękniszami?

– Projekcja nie posiada żadnych punktów zbieżnych z charakteryzującymi nas parametrami. Wszystko, z czym się obecnie stykasz, jest odwzorowywane tylko i wyłącznie z twojego własnego neurosystemu. Ten fantom przywołał się jedynie w tym celu, aby zaoszczędzić ci konieczności komunikowania się z zupełnie niezagospodarowaną przestrzenią. Z naszych analiz niezbicie wynika, że dla

istot na twoim poziomie psychofizycznego rozwoju mogłoby się to okazać nazbyt stresogenne. W miarę możliwości staramy się eliminować wszystkie potencjalne przyczyny zakłóceń w realizacji kontaktu.

Zmarszczyłem brwi; ze swojej aparycji byłem raczej zadowolony i nie miałem zamiaru przechodzić nad tego rodzaju niedoróbkami do porządku dziennego.

No to muszę wam zakomunikować, że ta paskuda niespecjalnie się wam udała! – oznajmiłem surowo z błyskiem autentycznej satysfakcji w oczach. – W każdym razie z moją facjatą ma doprawdy niewiele wspólnego.

– W pełni zdajemy sobie sprawę, że osiągnięte przez nas efekty są jeszcze dalekie od doskonałości – zgodzono się skwapliwie, ale bez choćby cienia zażenowania. – Na tym etapie kontaktu jest możliwe występowanie całego szeregu różnorodnych aberracji, które mogą być w rozmaitym stopniu uciążliwe zarówno dla ciebie, jak i dla nas. Dlatego pracujemy bardzo intensywnie nad jak najszybszym wyeliminowaniem wszelkich potencjalnych ich źródeł. Kompleksowe wysterowanie zasadniczych parametrów obustronnej emisji będzie jednak możliwe dopiero po ostatecznym zestrojeniu się z wszystkimi twoimi receptorami.

Niezbyt wyraźne podejrzenia, jakie mnie już od dłuższego czasu nurtowały, zaczęły się z wolna konkretyzować, przybierać mało sympatyczne w tym konkretnym przypadku kształty pewności. Aby ostatecznie wyjaśnić ten problem arcyważny przecież, jeśli nie wręcz egzystencjalny z mojego punktu widzenia, zagadnąłem na pozór obojętnie, co zapewne troszeczkę

kontrastowało z wyrazem napięcia ścinającym mi twarz:

– Można wiedzieć, od jak dawna tak się ze mną w pocie czoła zestrzajacie?

– Pomimo że pytanie raczej trudno byłoby zaliczyć do kategorii nazbyt skomplikowanych, z uzyskaniem na nie jednoznacznej odpowiedzi nieoczekiwanie wyłoniły się jednak poważne trudności. Wyglądało na to, że pomiędzy wyznawanymi przez uczestników dialogu poglądami na istotę czasu, a zwłaszcza na określające go parametry istnieją dość znaczące różnice. Impas udało się przezwyciężyć dopiero po obopólnym uznaniu za cezurę momentu ostatniego przystąpienia przeze mnie do – jak to według mnie zdecydowanie nazbyt pretensjonalnie określiła druga strona konwersacji – poboru porcji energii niezbędnej dla mego normalnego funkcjonowania, czyli – wyrażając to już kolokwialnym językiem – w tym przypadku śniadania.

A więc teraz nie mogło już być i krzty wątpliwości, iż za tą moją poranną sromotną, wołającą o pomstę do nieba kompromitacją rzeczywiście kryły się ich nieczne machinacje! Co gorsza, najbliższa przyszłość także nie rysowała się w nazbyt różowych barwach: wszak dano mi niedwuznacznie do zrozumienia, że nadal jestem im do czegoś tam potrzebny i że w związku z tym nie mają zamiaru pozostawiać mnie w najbliższym czasie w spokoju. Słowem wszystko bardzo dobitnie wskazywało na to, że także w przyszłości pomiędzy nami nadal będzie się utrzymywać bardzo głęboki konflikt interesów.

Na samą myśl o tym, jakie mnie wobec tego mogą

N 1

jeszcze czekać niespodzianki jutro na szosie, wstrząsnęła mną autentyczna zgroza. Nie miałem jednak najmniejszego zamiaru rezygnować bez walki ze swoich sportowych ambicji. Formułując to nieco dosadniej, guzik mnie obchodziły jakieś tam ich kłopoty. Problem polegał jedynie na tym, że owe dokuczliwe, niewróżące mi nic dobrego towarzystwo przejawiało się w tak dziwacznej, daleko wykraczającej poza wszelkie moje dotychczasowe doświadczenia formie, iż nie miałem zielonego pojęcia, w jaki sposób mógłbym się odeń uwolnić albo przynajmniej uczynić je ociupinkę mniej uciążliwym. Mówiąc brutalnie, na razie mogłem jedynie – niestety! – nadrabiać miną! Godząc się z przygnębiającymi realiami oświadczyłem przeto w miarę uprzejmie, ale tak kategorycznym tonem, na jaki tylko potrafiłem się w tej chwili zdobyć:

– Doprawdy czuję się wielce zaszczycony, iż to właśnie na moją skromną osobę zechcieliście przy realizacji tak pasjonującego eksperymentu zwrócić swą uwagę, ale kierując się pragnieniem zaoszczędzenia wam niepotrzebnej straty czasu powiem krótko, że stanowczo nie piszę się na uczestnictwo w tego rodzaju doświadczeniu. Do tej swojej kooperacji będziecie sobie musieli niestety poszukać kogo innego!

– To jest absolutnie niemożliwe – natychmiast postyszałem w odpowiedzi.

– A to niby dlaczego?! – zaperzyłem się.

– Wybór twojej osoby nie był aktem przypadkowym. To właśnie ty jako ściśle określona, zdefiniowana w czasie i przestrzeni jednostka jesteś

jednym z elementów absolutnie nieodzownych dla zapewnienia powodzenia przedsięwziętej przez nas operacji.

– A cóż ja mogę mieć wspólnego z tymi waszymi igraszkami?! – i głosem, i mimiką twarzy wyraziłem zarówno zdziwienie, jak i głębokie niedowierzanie.

Znów na jakiś czas niczym autentyczny całun opadła na mnie absolutna, niemal fizycznie odczuwalna cisza. Pomyślałem ze smętną satysfakcją, iż pewnie nadal trapią ich jakieś kłopoty z emisją czy z czymś tam, za pośrednictwem czego nawiązali ze mną więzi. A potem całe otoczenie zaczęło jakby nasiąkać nienaturalnie wysokim, odrobinę bełkotliwym, pełnym zaskakujących ech i przedziwnych pozgrzytywań głosem w niewielkim tylko stopniu przypominającym ten, który dotąd prowadził ze mną dyskurs:

– Stanowisz jeden z nielicznych dostępnych dla nas pomostów spinających nasz świat z twoim światem ponad Totalną Eksplozją. Chronomocja na naszym obecnym technologicznym poziomie jest możliwa do zrealizowania jedynie poprzez wykorzystanie bezpośrednich genetycznych zapętleń.

Po dalszych paru sekundach konwersujący ze mną głos odzyskał jednak swoje zwykłe brzmienie na tyle, że potrafiłem już bez specjalnego wysiłku zrozumieć każde słowo. Z dość monotennie deklamowanych fraz niczym spod pędzla na pół oszalałego surrealisty zaczął się z wolna wyłaniać obraz dość daleko – mówiąc jak najogólniej – odbiegający od wszelkich moich dotychczasowych wyobrażeń o

prawach rządzących tym światem.

To właśnie ja miałem wątpliwe szczęście być jednym z nielicznych współczesnych mi, odszukanych z wielkim trudem i przy zaangażowaniu ogromnych środków mieszkańców planety, których potomstwo nie tylko że zdołało przetrwać ten jakiś straszliwy kataklizm ochrzczony w świecie mych rozmówców według mnie nieco dziwnym czy może raczej nazbyt pretensjonalnym mianem „Totalnej Eksplozji”, ale jeszcze w dodatku zachowało zdolności rozrodcze. W efekcie owego wprost nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności zostałem rzekomo wykreowany na wielce szacownego antenata w linii prostej nie tylko obecnych moich rozmówców, ale i całej rzeszy im współczesnych. I chociaż pomiędzy ową nawet przeze mnie dotąd nieprzeczuwaną progeniturą a mną zalegały całe tysiąclecia nieustających przecież ani na moment skomplikowanych ewolucyjnych procesów, owa snująca się poprzez bezmiar czasu wielce zawiłymi meandrami nitka genetycznej tożsamości okazała się na tyle mocna i trwała, aby za jej pośrednictwem można się jednak było pokusić o uchylenie lufcika umożliwiającego wgląd do określonego fragmentu wedle ich punktu widzenia zamierzchłej przeszłości. W szczególności szło im o zrozumienie charakteru przyczyn, jakie legły u podstaw owej katastrofy. Jeszcze do niedawna powszechnie uznawano ją za absolutny początek Wszechrzeczy, nikt nie miał wątpliwości co do jej naturalnego charakteru. Kiedy jednak w rezultacie przejścia potężnej fali gwałtownych procesów tektonicznych zostały nie-

spodziewanie odsłonięte pozostałości konstrukcji z całą pewnością niemające nic wspólnego z jakąkolwiek działalnością podejmowaną kiedykolwiek przez ich bezpośrednich przodków, zrodziły się podejrzenia, iż ich autorów należy poszukiwać po drugiej stronie Totalnej Eksplozji. Co poniektórzy w swoich domysłach poszli przy tym jeszcze dalej, poddając w wątpliwość dotąd powszechnie uznawaną za dogmat samą jej genezę. Według nich to właśnie twórcy owych konstrukcji mogli się przyczynić do jej zaistnienia nieumiejętnym posługiwaniem się nazbyt powierzchownie rozpoznanymi potężnymi mocami drzemiącymi w Naturze.

Od nazbyt długiego nieruchomego wysiadywania ławeczki zdrętwiały mi ociupinkę nogi, więc ostrożnie zmieniłem pozycję. Jak mogło ujść ich uwagi, że przecież ja do tej pory nie doczekałem się jeszcze żadnego potomka?! Co więcej, właśnie przed chwilą, po tych wszystkich rewelacjach, jakimi mnie dopiero co uraczono, złożyłem sobie solenną obietnicę, że choćby to miało mnie kosztować nie wiedzieć jak wiele, uczynię wszystko, aby i w przyszłości owo status quo nie uległo żadnej zmianie. Ponadto trudno mi było także uwierzyć w możliwość spowodowania przez nas owej Totalnej Eksplozji. W tak zwanej światowej polityce wystąpiła przecież ostatnimi czasy wyraźna odwilż i w jej efekcie spore zapasy wszelakiego termojądrowego paskudztwa tudzież środków do jego przenoszenia na mocy porozumień pomiędzy dysponującymi nimi mocarstwami uległy likwidacji. Po zastanowieniu doszedłem

jednak do nieco deprymującego wniosku, iż ten kontrargument akurat nie należy do szczególnie mocnych. Wystarczało przecież, by do władzy w którymś z krajów posiadających jeszcze choćby tylko cząstkę zamrożonego jądrowego potencjału dorwał się jakiś półgłówek ze względu na umysłowe uwarunkowania niezdolny do wyobrażenia sobie skutków swych poczynań, co pośród polityków wcale nie jest przecież aż tak wielkim ewenementem. I wówczas łatwo mogłoby zaistnieć całkiem realne niebezpieczeństwo utracenia wszystkich dotychczasowych rozbrojeniowych traktatów, naturalnie w imię jakichś tam niewątpliwie ze wszech miar szczytnych, patriotycznych czy jakichkolwiek innych hasełek!

Tak czy owak, było dla mnie oczywiste, że zdecydowanie większe korzyści mogę w obecnej sytuacji odnieść z zachowania tych wszystkich wątpliwości na swój własny użytek. Niechaj nadal tkwią sobie w przekonaniu, że moja skromna osoba jest im absolutnie niezbędna do realizacji jakichś tam ich planów. No bo skoro zachowam w ich mniemaniu atrybuty niemożliwego do powielenia unikat, to chyba będę mógł sobie bez większego ryzyka pozwolić na pewne fanaberie, stawianie takich czy innych warunków, pod jakimi byłbym ewentualnie skłonny do łaskawego wyrażenia zgody na czasowe użytkowanie niektórych z moich organów?

Tak czy owak, wnioski, do jakich doszedłem w rezultacie tych dosyć zawiłych przemyśleń, wlały w me serce łut otuchy. Starannie odchrząknąwszy w zwinęta

dłoń powiedziałem z afektowanym ubolewaniem:

– W normalnych okolicznościach może i dałbym się skłonić do pójścia wam na rękę, ale na skutek tych wszystkich waszych dotychczasowych manipulacji poniosłem już tak dotkliwe straty, że doprawdy nie mogę sobie pozwolić na dalsze ich pogłębianie!

– O jakich stratach mówisz? – po chwileczce ciszy zapytano, jednak nie zdradzając przy tym nazbyt nachalnego zainteresowania.

Bardzo starannie dobierając słowa, tak aby zostać zrozumianym jak najlepiej, opisałem wszystkie perturbacje, jakie niewątpliwie za ich sprawą stały się dzisiaj moim udziałem oraz ich wielce prawdopodobne konsekwencje dla mojej dalszej sportowej, dotąd tak wyśmienicie zapowiadającej się kariery. Pozwolono mi łaskawie wyrzucić z siebie wszystko, co mi się tylko przez te parę godzin nagromadziło na wątrobie. Tylko owa groteskowa w gruncie rzeczy namiastka twarzy miotnęła się energicznie parokroć to w tę, to zaś w ową stronę, wykrzywiła w niekojarzącym mi się właściwie z niczym grymasie. Zupełnie jakby ktoś swawolnie podmuchiwał na nią pod najrozmaitszymi kątami i z różnorodną mocą.

– Takie niezamierzone efekty z pewnością nie będą już miały więcej miejsca po uporaniu się z dostrojeniem do wszystkich twoich receptorów – kiedy zakończyłem z przesyconym bezmiernym smutkiem westchnieniem, poinformowano mnie obojętnie, dając tym świadectwo, że moje starania w najlepszym przypadku odniosły tylko połowiczny skutek.

– Nie ma co, bardzoście mnie podnieśli na duchu!
 – wycodziłem lodowato przez zęby, ściągając twarz w sardoniczny uśmieszku. – Można przynajmniej wiedzieć, jak długo to wszystko może jeszcze potrwać?

– W chwili obecnej odpowiedź na tak sformułowane pytanie zdecydowanie przerasta nasze możliwości. Jesteś pierwszym obiektem po tamtej stronie energetycznej bariery, z którym udało nam się nawiązać pełny operacyjny kontakt, więc na razie jeszcze nie dysponujemy wystarczającą wiedzą o wszystkich aspektach przystosowawczych procesów.

– No to cóż... – westchnąłem i zrobiłem krótką przerwę, albowiem pragnąłem dać im jeszcze jedną szansę na dokonanie stosownej korekty stanowiska, a przynajmniej wykazania chęci polubownego, to znaczy uwzględniającego interesy obydwu stron załatwienia problemu. Ponieważ jednak nic w tym guście nie nastąpiło, uznałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko sięgnąć po akcesoria przynależne do zupełnie innego repertuaru. – W takim razie sam będę się musiał zatroszczyć o swoje sprawy. Tylko obawiam się, że w ostatecznym rozrachunku wam nie przypadnie to specjalnie do gustu!

– Dlaczego? – zdziwiono się naiwnie.

– Bo to automatycznie musi oznaczać wykluczenie jakiegokolwiek formy współpracy pomiędzy nami! – dla uzyskania właściwego, to znaczy dostatecznie zdecydowanego tembru głosu starannie odchrząknąwszy w zwiniętą dłoń, postawiłem bezlitośnie kropkę nad „i”.

– Jak już ci wyjaśniono, zrezygnowanie z niej jest dla nas zupełnie niemożliwe – pouczono mnie tym razem z czymś w rodzaju, tak mi się przynajmniej wydało, leciutkiego znudzenia.

Poruszyłem lekceważąco ramionami.

To już na szczęście nie jest moje zmartwienie! – oświadczyłem z ostentacyjną beztroską. – Doprawdy nie widzę żadnego powodu, abym to wyłącznie ja miał ponosić wszystkie koszty tej waszej infantylnej zabawy czy jak to tam nazwać. Krótko mówiąc zrobię wszystko, aby się raz na zawsze od was odseparować!

Doprawdy wiele mnie kosztowało, aby nie dać po sobie poznać, z jak ogromnym niepokojem oczekuję na ich reakcję!

– Czego od nas oczekujesz? – odezwano się wreszcie po chwili niesympatycznie dzwoniącej w uszach ciszy.

Nie miałem pojęcia, czy rzeczywiście udało mi się nimi choć troszeczkę tą groźbą wstrząsnąć, ale nie ulegało wątpliwości, że przynajmniej raczyli wreszcie zauważyć, iż skoro to oni pragną ode mnie coś uzyskać, to i ja także powinienem mieć jednak tutaj to i owo do powiedzenia. Tak czy owak, wyglądało na to, że moment naszego decydującego o wszystkim starcia nieuchronnie się przybliży. Przez chwilę zastanawiałem się, jak to najkorzystniej dałoby się rozegrać, a następnie tak zwięźle, jak to tylko według mnie było możliwe bez uszczerbku dla jasności wyводу, zaznajomiłem ich z kluczowymi punktami dopiero co zawartej z trenerem Kopylakiem umowy oraz z czekającymi mnie

nie trudnymi do przewidzenia nader marnymi perspektywami na najbliższą przyszłość w przypadku niemożności jej dotrzymania przeze mnie.

– A ponieważ obecnie nie może już być ni cienia wątpliwości, że za całym tym ambarasem stoją właśnie wasze poczynania, liczę na to, że w ramach rekompensaty podejmiecie niezbędne starania, abym w tym sprawdzianie nie przepadł z kretesem! – zakończyłem wreszcie na wydechu. Milczałem z pięć sekund, po czym doszedłszy do wniosku, że pokadzenie im troszeczkę, jeżeli nawet w niczym mi to nie pomoże, to w niczym także nie powinno zaszkodzić, przełknąwszy z pewnym trudem ślinę uzupełniłem przypochlebie:

Jestem przekonany, że jeżeli tylko zechcecie, poradzicie sobie z tym bez trudu! No bo przecież jeśli już ktoś nie połamał sobie uzębienia na tak skomplikowanym zagadnieniu, jakim niewątpliwie jest przemieszczanie się w czasie, to sprawa tak błaha jak moja musi być dla niego najzwyczajszą kaszką z mlekiem!

Ku mojemu niekłamanemu rozczarowaniu ten dyplomatyczny zabieg nie na wiele się jednak zdał.

– To w ogóle nie może wchodzić w rachubę – natychmiast brutalnie rozwiano wszelkie moje nadzieje.

– A to niby dlaczego?! – warknąłem dotknięty do żywego nawet nie tyle samą odmową, ile raczej tym, że nawet nie raczono zadbać o zachowanie przynajmniej pozorów, iż są gotowi do rozważenia możliwości dopomożenia mi w wydobyciu się z tego gnoju, w który mnie przecież sami, bez pytania mnie o zdanie, wtrącili.

Zupełnie jakbym był najzwyczajszą hetką-pętelką, z którą w ogóle nie trzeba się liczyć!

– Limit energetyczny wyznaczony na zabezpieczenie operacji rozpoznania epoki poprzedzającej Totalną Eksplozję nie pozwala na przedsięwzięcie jakichkolwiek działań pobocznych – poinformowano mnie beznamiętnie. – Możemy cię jedynie zapewnić, że mając na uwadze te wszystkie niedogodności, jakich z powodu naszego eksperymentu obecnie doświadczasz, dołożymy wszelkich starań, ażeby proces dostosowawczy do parametrów twoich receptorów zakończył się tak szybko, jak to tylko w ogóle będzie możliwe. Już w tym momencie rejestrujemy dość wysoki stopień wzajemnej adaptabilności. Im ściślej będziesz z nami współpracował, tym prędzej skończą się wszystkie twoje kłopoty.

Cisza, jaka natychmiast po udzieleniu mi tego mało konstruktywnego według mnie wyjaśnienia zapadła, tym razem naprawdę miała w sobie coś złowieszczego. Wrażenie to jeszcze bardziej się spotęgowało, kiedy raptem zdałem sobie sprawę, że jednocześnie zanikł także ów dość paskudny fantom, który mi towarzyszył niestrudzenie niemal od zarania naszego kontaktu. Dotąd nigdy bym nie przypuszczał, że mogę kiedykolwiek odczuć w negatywnym tego słowa znaczeniu nieobecność owej maski. A jednak teraz tak się właśnie stało, przyszło mi bowiem na myśl, iż jej brak może ni mniej, ni więcej oznaczać definitywne wycofanie się owych drani, bezczelnych okupantów

meo organizmu z jakiegokolwiek dialogu. Widać doszli do wniosku, że mogą już sobie pozwolić na buszowanie we mnie całkiem bezkarnie, jakbym był marną kukłą pozbawioną jakichkolwiek możliwości samodzielnego działania!

Kiedy sobie wyobraziłem, czym w takim razie może się zakończyć mój jutrzejszy solowy występ na szosie, ogarnęła mnie czarna rozpacz wymieszana z wściekłością, tak jak to niekiedy bywa, kiedy człowiek uświadomi sobie całą swą bezsilność w obliczu zagrażającego mu, niemożliwego do uniknięcia niebezpieczeństwa. Na dobitkę raptem piekielnie rozboleła mnie głowa. Z tym mogłem sobie jednakowoż na szczęście stosunkowo łatwo poradzić. Nie była to dla mnie niestety przypadłość nowa. Niekiedy, zwłaszcza po jakimś solidnym stresie, dopadało mnie coś w rodzaju potwornej migreny, więc na wszelki wypadek nigdzie się nie ruszałem bez upakowania w podręcznym bagażu niejednokrotnie już wypróbowanego i właściwie niedającego żadnych ubocznych efektów środka zaradczego – przynajmniej paru tabletek nocertonu. Omiótłszy zatem pożegnalnym spojrzeniem – prawdę powiedziawszy jeszcze chyba nie zamarła we mnie do końca nadzieja, iż uda mi się jednak wreszcie wyłuskać spośród drzew i krzewów nieruchomych niczym najprawdziwsza teatralna dekoracja jakiś szczegół zdolny do podważenia realności tego, co mnie tutaj spotkało – najbliższą okolicę, dźwignąłem się ociężale z ławeczki, przerywając tym popołudniową sjęstę sporemu stadku wróbli dotąd nadzwyczaj umiejętnie

ukrywającemu się w roślinnej gęstwinie i ruszyłem bez nadmiernego pośpiechu do hotelu.

Moi koledzy najwidoczniej nadal pławili się w ze wszech miar zasłużonej potreningowej *dolcefar niente* w zajmowanych przez siebie pokojach, gdyż jeszcze raz udało mi się przemknąć niepostrzeżenie przez hall, a następnie z windy – przez korytarz. Znalazłszy się w swoim niewielkim, ale przytulnym pokoiku przezornie zamknąłem za sobą drzwi na klucz, a następnie wydobyłem z szafki saszetkę, w której przechowywałem między innymi dowód osobisty i kartę zawodnika, a także niemal jeszcze pełne opakowanie nocertonu. Dla większej pewności jak najszybszego uzyskania pożądanego efektu wytrząsnąłem na dłoń dwie tabletki. Popiłem je solidnym tykiem wody prosto z kranu.

Teraz nie pozostawało mi już nic innego do zrobienia, jak tylko cierpliwie poczekać na dobroczynne zadziałanie medykamentu. Pospieszenie zsunąwszy z nóg obuwie opadłem przeto w westchnieniu ulgi na łóżko, które jakby w proteście przeciwko nieoczekiwanemu atakowi natychmiast odpowiedziało przeciągłym, żalosnym skrzypnięciem chyba wszystkich sprężyn. Przymknąłem oczy, ale widać nie było mi dziś sądzone zaznać upragnionego spokoju.

– Co... ty... wyprawiasz?! – po jakiejś minucie rozbrzmiało mi w czerepie. Z tych pośpieszenie raczej wydyszanych, aniżeli wypowiedzianych słów wyzierał osobliwy amalgamat wyrzutu, zaskoczenia, rozdrażnienia, a nade wszystko jakby ogromnego popłochu. – Byliśmy przekonani, że bardzo ci zależy na

jak najszybszym odzyskaniu zwykłej sprawności. Tymczasem ty podejmujesz tutaj nieroztropne działania całkowicie uniemożliwiające nam dopomożenie w tym tobie. Jeżeli natychmiast tego nie zaprzestaniesz, wyrządzisz nieodwracalne szkody nie tylko nam, ale i sobie samemu!

Nietrudno było odgadnąć, kto w tak oryginalny sposób manifestuje swe niezadowolenie. Nie miałem natomiast zielonego pojęcia, o co im tym razem właściwie idzie, jakiemu faux pas mam tę reprimendę do zawdzięczenia. Już jednak sama świadomość, iż potrafiłem im czymś zdrowo zaleźć za skórę, poprawiła mi wydatnie humor. Potem zaczęło to wyglądać jeszcze sympatyczniej. Skojarzyłem sobie mianowicie pewne fakty, w efekcie czego obrzuciłem pieszczotliwym spojrzeniem spoczywające na stoliku opakowanie z nocertonem.

– W chwili obecnej jedyną rzeczą, jakiej naprawdę pragnę, jest to, abyście się raz na zawsze ode mnie odchrzanili! – rzuciłem z całą premedytacją wyjątkowo opryskliwie.

Zda się bezpośrednio na siatkówkach mych oczu znów zapłasała owa nieobecna od pewnego czasu maskara. Mówiąc ściśle, w tym momencie był to zaledwie jej bardzo niewyraźny, mocno wyblakły zarys.

– Już ci przecież zakomunikowano, że na tym etapie operacji jest to dla nas zupełnie niemożliwe do spełnienia! – odpowiedziano mi jakby z odcieniem zdziwienia, że dotąd nie potrafiłem zrozumieć tak oczywistej dla nich sprawy. Musiałem jednakowoż

obiektywnie przyznać, że w ciągu tego niezbyt przecież długiego czasu, jaki upłynął od naszej ostatniej pogawędki, zdążyli poczynić ogromne postępy w zakresie intonacji swych wypowiedzi.

– Więc nie mamy o czym mówić! – poczuwszy szóstym zmysłem, że oto psim śwędem zupełnie niespodziewanie uzyskuję nad nimi przewagę, wycedziłem wyniośle przez zęby i ostentacyjnie sięgnąłem po nocerton. Zapewne w jakiś tam sposób po samym tym geście natychmiast rozszyfrowali moje nieczne zamiary, albowiem zdający się już od paru chwil dochodzić do względnej równowagi fantom znowu skręcił się kurczowo, zatrzepotał spazmatycznie niczym ćma pochwycona nieoczekiwanie płomiennym jęzorem.

– Powinniśmy wspólnie dążyć do tego, aby jak najprędzej wyeliminować wszelkie niekorzystne efekty kontaktu godzące zarówno w nasze, jak i w twoje interesy – głosik, który pośpiesznie wyrecytował tę jakże przypadającą mi do gustu sentencję, był już teraz tak słabutki, jakby się dobywał z krtani od dawien dawna morzonego głodem niemowlaka. – Czego od nas oczekujesz w zamian za dobrowolne podjęcie rzetelnej współpracy?

Pokręciłem głową w autentycznym zdumieniu. Któż mógłby przypuszczać, że za pomocą tak niewinnego specyfiku można zadać tym tuzom intelektu takiego bobu?! Krótko mówiąc rozpierała mnie radość tym większa, że zupełnie nieoczekiwana. Starałem się jednak w ogóle nie dać tego po sobie poznać. Przedwczesne demonstrowanie triumfalizmu

pogrążyło z kretesem już niejedną z pozoru w stu procentach wygraną batalię. Przez dłuższą chwilę zwlekałem przeto z odpowiedzią, tak sobie układając w głowie kolejne sekwencje działań, ażeby przypadkiem nie popełnić gdzieś jakiegoś mogącego mi się odbić przykrą czkawką błędu. Następnie cierpliwie po raz wtóry wyłuszczyłem swoje żądania.

– To spowodowałoby konieczność sięgnięcia do energetycznych zasobów przeznaczonych na realizację zupełnie innych zadań! – zaoponowano anemicznie.

Poruszyłem wymownie ramionami. Ten niezdecydowany ton ostatecznie ugruntował we mnie przekonanie, że mam już rybę na haczyku. I że się już ona prawdopodobnie z niego tak łatwo nie zerwie. Tym niemniej cisza, jaka po owym stwierdzeniu zapadła, była chyba najdłuższą w moim życiu. Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało.

– Spróbujemy uczynić zadość twojej prośbie – oznajmiono wreszcie niechętnie, z wyraźnym ociąganiem. – Dla ostatecznego potwierdzenia realności tego przedsięwzięcia niezbędne jest jednak zapoznanie się z funkcjonowaniem twojego organizmu podczas realizacji postawionego przed tobą zadania.

Jeśli mam być szczery, w pierwszej chwili w ogóle nie dotarło do mnie, o co im właściwie idzie. Jednak szybko wszystko mi objaśnili, jakby to teraz dla nich czas miał niebagatelną wartość. Po prostu z dokonanej przez nich analizy sytuacji wynikało, iż jest absolutnie niezbędne drobiazgowo przetestowanie poszczególnych segmentów mego organizmu w warunkach

możliwie najbardziej zbliżonych do mającego się odbyć w dniu jutrzejszym, zaordynowanego mi przez trenera Kopylaka sprawdzianu. A do tego oprócz odpowiedniego odcinka szosy był naturalnie nieodzowny także instrument, którym się miałem w jego toku posłużyć, czyli – mówiąc już ludzkim językiem – rower. Choć nawet na chłopski rozum nie sposób było odmówić zasadności takiemu postawieniu przez nich sprawy, życzenie to wprawiło mnie w niemałe zakłopotanie. No bo cóż sobie, do diaska, pomyśli nasz zacny mechanik, kiedy o tej porze, na paręnaście godzin przed tym arcyważnym przecież nie tylko dla mnie, ale i dla całej naszej ekipy sprawdzianem zajdę do niego i ni z gruchy, ni z pietruchy poproszę o wydanie mi roweru, miast bez reszty skoncentrować się na solidnym wypoczynku, unikaniu jak ognia niepotrzebnego trwonienia sił?! No i czy w ogóle zechce na własną odpowiedzialność, bez uprzedniego porozumienia się z Kopylakiem, uczynić zadość memu ekscentrycznemu życzeniu?

Inaczej rzecz ujmując, w pewnym sensie znalazłem się między młotem a kowadłem. Wszak nie mogłem sobie także pozwolić na zignorowanie ich żądań. Mogliby to potraktować jako doskonały pretekst do umycia rąk, wycofania się z uzyskanej przecież z takim trudem obietnicy pomocy. A z tymi kłodami, jakie psim swędem udało mi się rzucić im pod – na wyrost powiedzmy – nogi, prawdopodobnie prędzej lub później potrafiliby się uporać i przy moich nie wiedzieć jak głośnych protestach, przy czym dla mnie mogłoby się to w efekcie okazać o wiele mniej przyjemne. Reasumując,

tak czy owak nie było innej możliwości, jak tylko spróbować to jakoś umiejętnie rozegrać z Zamroczyńskim. Zerknąłem z niejakim niepokojem na zegarek. Jeżeli serio chciałem rozwikłać ten problem jeszcze przed posiłkiem, to należało się zdecydowanie pośpieszyć!

Wbrew mojemu czarnowidztwu borykającemu się akurat z którymś z przynależnych do naszej ekipy rowerów, solidnie ubabranemu w smarach mechanikowi ani w głowie powstało robienie mi jakichś trudności. Dźwignąwszy się z klęczek pedantycznie wytarł dłonie wydobytą skądś brudną szmatką, po czym oszczędnym gestem wskazał na mego metalowego rumaka.

– Przeglądałem w nim dosłownie każdy detal, najdrobniejszą śrubkę. Gwarantuję, że w żadnych okolicznościach nie sprawi ci zawodu. I nie zapominaj, chłopcze, że wszyscy na ciebie liczymy. Jutro trenera musisz po prostu olśnić, choćby cię to miało kosztować nie wiedzieć jak wiele! – zakończył z szorstką życzliwością.

Nieco speszony, ale bardzo zadowolony z rozwoju sytuacji burknąłem coś pod nosem i przyssałem się do roweru. W pięć minut później znalazłem się na szosie. Nie wiedzieć po raz który sprawdziłem kciukiem funkcjonowanie manetki; skontrolowałem zapięcie kasku, po czym rzuciłem w bliżej nieokreśloną przestrzeń:

– Jeżeli idzie o mnie, to jestem gotowy. Możemy zacząć?

Otrzymawszy lakoniczne przyzwolenie pochyliłem się głęboko nad kierownicą i energicznie nacisnąłem na pedały. Z początku wszystko zdawało się spełniać moje marzenia. Po niewielu sekundach nabrałem właściwej prędkości. Czas mijał, a ja nadal czułem się wprost wyśmienicie, serce i płuca pracowały wzorowo, mięśnie nóg niemal w ogóle nie dawały o sobie znać, co wskazywało na trwałe utrzymywanie się poniżej mleczanowego progu. Potem jednak cały mój organizm nagle i zupełnie niezależnie od mej woli zaczął wyprawiać iście dziwne brewerie. Jakby nienależące do mnie, ale do kogoś zupełnie innego nogi to poczynęły pedałowac w tak zawrotnym tempie, że zaczynałem się nie na żarty obawiać rozsypania się lada chwila łańcucha na drobniuteńki metalowy proszek, to znowu zamierały w bliskim ideału bezruchu, jak gdyby je poraził niezwykle ciężki przypadek paraliżu. Jednocześnie odczuwałem w jakiś niepojęty sposób, jakby bezpośrednio poszczególnymi molekułami ciała, każdy mięsień z osobna, boleśnie przeżywając przy tym ich energiczne kurczenie się i rozkurczanie, śledziłem gwałtowne przemieszczanie się po całym organizmie strumieni krwi oraz wszelkich innych fizjologicznych płynów, przeszywały mnie na wskroś i wirowały we mnie jakieś mocarne, zupełnie niemożliwe do zidentyfikowania prądy. Kiedy znalazłem się już niebezpiecznie blisko kompletnego zatracenia się w owej potężnej nawałnicy osobliwych, nigdy wcześniej niedoświadczanych wrażeń, raptem wszystko ustało jak ręką uciętą. Z ogromnym trudem, niczym po przebyciu ostrej zapaści, gramoliłem się na powierzch-

nię świadomości. I właśnie w tym momencie jakby w samych moich trzewiach jeszcze mocno rozedrganych od dopiero co przebytego huraganu niecodziennych przeżyć zawibrował głos:

– Spełnienie twojego żądania mieści się w naszych energetycznych możliwościach jedynie pod warunkiem całkowitego wyeliminowania z operacji twego świadomego współdziałania.

Mocno wątpię, by ktokolwiek patrząc w tym momencie na mą twarz mógłby odnieść wrażenie, iż ma do czynienia z indywiduum w miarę inteligentnym. Po prostu ani rusz nie mogłem zrozumieć, o co im właściwie idzie. Poprosiłem przeto o dodatkowe wyjaśnienia. I wówczas z niemałym zdziwieniem dowiedziałem się, że według rezultatów dopiero co przeprowadzonej generalnej próby w ramach procesu w pełni świadomego funkcjonowania byłem jakoby w stanie wykorzystać zaledwie znikomy procent drzemających we mnie motorycznych możliwości. Cała reszta według nich miała ponoć ulegać karygodnemu zaprzepaszczeniu, bezpowrotnemu roztrwonieniu wskutek bardzo dalekiej od ideału synchronizacji neurosystemu z moimi poszczególnymi narządami. Aby więc ten mankament skutecznie wyeliminować, a tym samym – jak się można było bez trudu domyśleć – nadwerężyć przy tym w jak najmniejszym stopniu swe własne energetyczne zasoby, postanowili na czas moich zmagania na szosie całkowicie zablokować mą świadomość z jednoczesnym ujęciem w swe ręce sterowania wszelkimi moimi poczynaniami. Przyznam szczerze, że z początku raczej nieszczególnie

mi się to spodobało. Kiedy jednak kategorycznie stwierdzili, iż tylko tym sposobem potrafią spełnić moje życzenie, zrozumiałem, że nie należy nadmiernie przeciągać struny i z ciężkim sercem skapitulowałem.

Tego popołudnia obiad przebiegał w wyraźnie wyczuwalnej sztucznej atmosferze niedostarczającej przyjemności zapewne nikomu spośród nas. Najmniejszą radość sprawiało to jednak chyba właśnie mnie. Pod nieustannym obstrzałem spojrzeń niegrzeszących nadmiarem dyskrecji kolegów czułem się jak wzięta pod mikroskop poczwarka w stadium przeobrażania się. Wszyscy najwyraźniej pragnęli się przekonać, na jakim się akurat znajduję etapie tego procesu. Postarałem się zatem jak najszybciej uporać z tym, co poustawiał przede mną obsługujący naszą grupkę kelner, po czym cisnąłem z ostentacyjną nonszalancją wymiętą serwetkę na talerz z niedojedzonym ziemniakiem i dźwignąłem się z krzesła. W tym samym momencie, a może nawet o ułamek sekundy wcześniej podniósł się także trener. Szybko przemierzwszy te rozdzielające nas parę metrów Ujął z ojcowską poufałością mój łokieć powiodł mnie ku wyjściu. Teraz niemal fizycznie odczuwałem na plecach ciężar spojrzeń wszystkich kolegów. Kopylak uwolnił mnie ze swego uchwytu dopiero na korytarzu, jakby mnie posądzał o chęć czmychnięcia przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

– No i jak tam wypadła nasza przejażdżka? – zagadnął pogodnie.

Zagryzłem wargę. Oczywiście na dobrą sprawę

N 1

nie powinienem się przecież czuć specjalnie zaskoczony. Wszak mechanik bez groźby ściągnięcia na swą głowę jak najpoważniejszych konsekwencji nie mógł zataić przed swym pryncypałem tej mojej ekstrawagancji. A jednak nie wiadomo dlaczego byłem! Chwilkę zastanawiałem się, jaką wersję swego postępuku zaprezentować.

– Chciałem sprawdzić, jak mi pójdzie po paru godzinach... – nerwowo zwilżyłem koniuszkiem języka wargi, a potem uciekając spojrzeniem w bok, dokończyłem na wydechu: – od tego incydentu.

Trener nieznacznie się skrzywił; zmierzył mnie od stóp do głów zaniepokojonym spojrzeniem.

– Ale chyba nadmiernie się nie forsowałeś?

– Zrobiłem tylko kilkanaście kilometrów i zawróciłem.

– Bardzo rozsądnie! – pochwalił mą wstrzeźliwość Kopylak – no i do jakich wniosków doszedłeś?

Pozwoliłem sobie na bagatelizujące poruszenie ramionami.

Taki skromny test nie może jeszcze być naturalnie w pełni miarodajny dla formułowania ostatecznych opinii, ale odniosłem wrażenie, że wszystko powróciło już u mnie do normy.

Kopylak przez kilka sekund bacznie przypatrywał mi się spod przymkniętych powiek, jakby chciał z mej twarzy odgadnąć, do jakiego stopnia może mi zaufać, a następnie ukazał koniuszki zębów w oszczędnym uśmiechu i poklepał mnie protekcjonalnie po ramieniu.

– Miejmy nadzieję, że nie ulegasz czczym iluzjom.

Sam dobrze wiesz, jak bardzo wszyscy na ciebie liczymy. A teraz naprawdę bym ci radził, żebyś sobie zaaplikował autentycznie solidny wypoczynek. Jutro czego jak czego, ale sił to ci naprawdę będzie potrzeba!

Tej nocy czy to w rezultacie wyczerpującego, przepełnionego niepowszednimi wrażeniami dnia, czy też w efekcie wcześniejszego zażycia tych dwóch tabletek nocetronu zapadłem w iście kamienny sen nieomal natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Kiedy się przebudziłem, za oknem stał już dzień. W prawdziwym popłochu sięgnąłem po spoczywający na nocnym stoliku zegarek. Odetchnąłem z ulgą: było dopiero parę minut po siódmej.

Na szosie znaleźliśmy się tuż przed dziewiątą. Od mego ostatniego kontaktu z drugą stroną owego osobliwego układu zdążyło już upłynąć tyle godzin, że chwilami znów zaczynały mną targać poważne wątpliwości, czy aby to wszystko naprawdę miało miejsce, czy nie była to po prostu tylko ma imaginacja, wytwór wyobraźni niezdrowo pobudzonej jakimiś na razie niemożliwymi jeszcze do zidentyfikowania czynnikami. Czekałem więc z duszą na ramieniu na to, co się będzie ze mną działo po daniu przez Kopylaka sygnału do startu. Tymczasem ten zdawał się jakoś w ogóle nie spieszyć ze spuszczeniem mnie ze smyczy. Najprzód uzgadniał coś rozwlekle z Zamroczyńskim pełniącym dziś funkcję kierowcy, potem zaś niezrozumiale długo sprawdzał techniczny stan stopera, zupełnie jakby nurtowały go podejrzenia, iż jakimś niecnym sposobem wszedłem z owym instrumentem w

przestępczą znowę. W końcu jednak wychylił ku mnie z okna samochodu głowę. Na twarzy malowała mu się iście śmiertelna powaga. Teraz był już tylko i wyłącznie surowym, ale sprawiedliwym egzaminatorem mającym ostatecznie rozstrzygnąć, co będzie najlepsze dla powierzonego mu przez Związek zespołu.

– No i jak z rowerkiem, wszystko w porządku? – zawołał niegłośnie z ostentacyjną szorstkością. Od razu pojąłem, jak prawidłowo należy odczytać te słowa. W razie niepowodzenia absolutnie żadnego zwalania winy na sprzęt!

– Tak – potwierdziłem; pomilczałem z dwie sekundy, a następnie rzuciłem niepewnie: – Mógłbym... o coś zapytać?

– Wal! – zezwolił jowialnie.

– Jaki dystans... będę musiał przekręcić?

Trener przechylił głowę; skrzywił się nieznacznie.

– Pożyjesz, zobaczysz – burknął. – To będzie w dużej mierze zależało od tego, co nam dzisiaj zaprezentujesz. W tej chwili mogę ci jedynie poradzić, żebyś się specjalnie nie oszczędzał. Bo potem może się okazać, że już nie masz na co zachowywać sił. Słowem ja na twoim miejscu od razu przystąpiłbym do dawania z siebie wszystkiego, na co by mnie tylko było stać!

Jakby chcąc dać do zrozumienia, że limit pytań już został definitywnie wyczerpany, wycofał głowę do wnętrza samochodu i przypiął się bardzo starannie, jakby liczył na to, iż rozwinę jakąś kosmiczną prędkość, pasem do fotela.

– No to bierzmy się do roboty! – zakomenderował

z kciukiem na przycisku stopera.

Zaczerpnąłem potężny haust powietrza i na dany przezeń znak z całej mocy nacisnąłem na pedały. I niemal w tym samym momencie, bez żadnej przejściowej fazy, popadłem w ten dziwaczny, nigdy wcześniej niedoświadczany stan. Co prawda nadal zdawałem sobie mniej więcej sprawę, gdzie i w jakim celu się znajduję, ale zachodzące wokół mnie zdarzenia jawiły mi się w nader schematycznych, jakby w ogromnym pośpiechu, bez należytego zadbania o szczegóły naszkicowanych obrazkach zdających się w dodatku mieć niewiele wspólnego z moją osobą.

Wszystko to jednak – tak mi się przynajmniej wówczas wydawało – trwało nadzwyczaj krótko. W pewnym momencie poczułem w lewym ramieniu dojmujący, miarowo pulsujący ból. A następnie jak przez grubachną warstwę mgły dotarło do mnie, że prowadzony przez Zamroczyńskiego samochód pewnie już ładne parę chwil wcześniej zrównał się ze mną i że wychylony z niego bardzo ryzykownie, nieomal do samego pasa Kopylak to daje mi gorączkowo jakieś znaki, uderzając mnie przy tym po ramieniu, to znów usiłuje przekrzyczeć furkot rozrzuhanego naszymi wehikułami powietrza.

Minęło trochę czasu, nim wreszcie pojąłem, o co mu idzie. Posłusznie zjechałem na pobocze; samochód z przeraźliwym wizgotem opon zastopował parę metrów w przedzie. Nie mając pojęcia, co mnie za chwilę czeka, z duszą na ramieniu patrzałem na Kopylaka wygramolającego się z samochodu na rozgrzany asfalt. A potem

raptem dotarło do mnie, że chyba jeszcze nigdy dotąd nie widziałem go w stanie takiej euforii. Ba, prawdę powiedziawszy nawet nie przypuszczałem, że jest on w ogóle do czegoś podobnego zdolny! I od razu poczułem się różnie.

Pokonując dzielącą nas przestrzeń ogromnymi susami, jak gdyby nurtowała go obawa, że ni z tego, ni z owego wezmę nogi za pas, Kopylak niczym pochodnię w triumfalnie uniesionej dłoni krzepko dzierżył stoper.

– No to, chłopcze, na dzisiaj zupełnie wystarczy! – zakrzyknął poprzez zadyszkę najwyraźniej spowodowaną nie tyle fizycznym wysiłkiem, ile raczej ogromnym podekscytowaniem. Popatrując z niedowierzaniem na cyferblat stopera pokręcił głową, wydając przy tym dwa przeciągłe, wprost ociekające zachwytem cmoknięcia. Potem znów przeniósł oczy na mnie. – Gdybyśmy mieli do czynienia z czterdziestokilometrowką jako regulaminowym dystansem, już miałbyś w kieszeni rekord wszechczasów! Powiedz mi jednak tak z ręką na sercu... – zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu. – Nie pomogłeś sobie czasem... w jakiś sposób?

Skoro mi takie pytanie zadał, to mój wynik musiał być rzeczywiście wyśmienity! Naturalnie dobrze wiedziałem, co ma na myśli. I dlatego mogłem stanowczo zaprzeczyć z absolutnie czystym sumieniem. Jego twarz przybrała wyraz zdumiewająco zbliżony do jakiejś religijnej ekstazy.

W to pogodne popołudnie, podobnie jak i przez cały dzień następny, w myśl wyznawanej przez trenera

Kopylaka metodologii przygotowywania drużyny do priorytetowych zawodów, zażywaliśmy rozkoszy pełnego relaksu. Przed samym startem – z wyjątkiem posiłków – zero wspólnych zajęć, unikanie jak ognia tematów mogących w jakikolwiek sposób kojarzyć się z kolarstwem. Było publiczną tajemnicą, iż metodę tę na własny użytek przyrównuje on do przyduszania zaworów bezpieczeństwa, tak aby cały rozsadzający nas gdzieś tam w trzewiach zapał mógł eksplodować później, dopiero po daniu przez niego właściwego sygnału.

Tak więc do problemów związanych bezpośrednio z wyścigiem powróciliśmy dopiero w dniu startu. Króciuteńka poranna odprawa nosiła wszelkie cechy monologu i niemal w całości została poświęcona mojej skromnej osobie.

– Jak miałem okazję niedawno się przekonać... – bez zbytecznych wedle jego mniemania wstępów zwrócił się do mnie trener głębokim, sugestywnym głosem hipnotyzera pragnącego zaszcześcić w podświadomości delikwenta bezkrytyczną, ślepą wiarę w jakoby drzemiące w nim niczym nieograniczone możliwości – już w pełni odzyskałeś zdolność do wielkiego wyczynu. Powinieneś więc dawać zmiany tak mocne, na jakie cię tylko będzie w danym momencie stać. Natomiast jeżeli o was idzie... – potoczył surowym okiem po pozostałej trójcy ostatecznie desygnowanych przez się do drużyny – musicie się postarać o dotrzymanie mu za wszelką cenę koła. To jest wasza główna i jedyna powinność! No i w miarę

indywidualnych możliwości należy wspomagać kolegę swoimi zmianami. To by właściwie było na tyle. Są jakieś uwagi?

Dyskretnie westchnąłem. Słowa Kopylaka jeszcze raz dobitni potwierdzały, że wynik mego sprawdzianu ostatniej szansy – dotąd nie zdradził mi on jego rezultatu, zapewne dlatego, aby mnie nie wprawiać w nadmierny samozachwyt, ograniczając się jedynie do zamanifestowania niektamanego zadowolenia z mojej postawy – rzeczywiście musiał być znakomity, skoro właśnie w taki sposób ustawia się całą taktykę!

Świadomość nałożonej na me barki odpowiedzialności troszeczkę mnie deprymowała, ale nie ośmieliłem się nawet pisać w proteście, dobrze bowiem wiedziałem, jak trener reaguje na krytykę. Natomiast moim kolegom taki podział ról najwidoczniej bardzo przypadł do gustu, gdyż zgodnie, jak jeden mąż, odpowiedzieli skłonieniami głów.

Punktualnie o godzinie dziesiątej do boju ruszyła drużyna Szwecji powszechnie uznawana w tej grupie eliminacyjnej za jednego z najpoważniejszych, a właściwie murowanych kandydatów do pierwszego miejsca. Potem poszedł z całą pewnością nie mniej w tym przedolimpijskim sezonie mocny zespół belgijski. Fakt, że to właśnie my mamy bezpośrednio przed sobą obydwa najgroźniejszych konkurentów do dwóch pierwszych miejsc dających przepustkę do przyszłorocznych Igrzysk, był naturalnie nader szczęśliwą okolicznością. Pozwalało to na odpowiednie modyfikowanie własnych poczynąń w zależności od

rozwoju sytuacji na trasie i Kopylak po zapoznaniu się z wynikami losowania kolejności startów wprost promieniował ukontentowaniem.

No i wreszcie nadeszła nasza kolej. Ostatnimi rzeczami, jakie zdołałem jeszcze zarejestrować, było danie nam przez sędziego znaku zezwolenia na start, nadeptanie przeze mnie na pedały oraz arcyprzyjemne uczucie, że oto od razu wchodzę we właściwy, bardzo mocny rytm.

Świadomość w odróżnieniu od szybkości, z jaką uprzednio zanikła, budziła się we mnie niezmiernie wolno. Jakby miała do przewyciężenia rozliczne, nie wiedzieć jak wielkie przeszkody. W każdym razie z początku ani rusz nie mogłem zrozumieć, gdzie się właściwie znajduję i co się ze mną dzieje. Opasujące mnie dość obszernym kręgiem ludzkie twarze wyrażające ni to bezbrzeżne zdumienie, ni to ogromne zaciekawienie zdawały się stanowić integralną część jakiejś niepojętej, zupełnie przy tym absurdalnej dekoracji. W takim odczuciu dodatkowo utwierdzała mnie także martwa cisza zalegająca nad całym tym zgromadzeniem. Kiedy tak sobie stałem niczym najprawdziwsza sierotka niemająca pojęcia, co ze sobą począć pośród tego w najlepszym przypadku obojętnego wobec mnie świata, bezskutecznie próbując dodać sobie animuszu krzepkim zaciśnięciem dłoni na kierownicy, w pewnym momencie mój wzrok musnął białą wąską płachtą przewieszoną ponad nie przesadnie rozległym placikiem na wysokości paru metrów. Jej niezbyt mocno napięty materiał pod tchnieniami umiar-

N 1

kowanego wietrzyku trwał w nieustannym ruchu, to wydymając się leniwie, to znowu jakby łagodnie zapadając. Nie przeszkodziło mi to jednak w odcyfrowaniu wypisanego na niej dużymi, rozstrzelonymi czarnymi literami słowa. A T E M. Nim jednak zacząłem się zastanawiać nad możliwym jego znaczeniem, raptem wyczułem, że zainteresowanie tłumem moją osobą gwałtownie maleje. Wszystkie twarze niczym na wydaną przez kogoś komendę skierowały się ku usytuowanemu nieopodal wylotowi ulicy. W dwie sekundy później ukazała się tam trójka pracujących w pocie czoła kolarzy. Jednocześnie zalegająca dotąd ponad placikiem cisza została bezceremonialnie rozszarpana okropnym zgietkiem, zupełnie jakby każda ze zgromadzonych na nim osób ni z tego, ni z owego zapragnęła przekrzyczeć za wszelką cenę wszystkie pozostałe.

W tymże samym momencie, jak gdyby owe wrzaski raptem zbudziły we mnie jakiś dotąd skrzętnie ukrywający się szósty zmysł, doznałem olśnienia. Wszak ten leniwie falujący ponad głowami wyraz to nic innego, jak po prostu M E T A, tyle że odczytany przeze mnie wspak, od tyłu! A owe wrzaski były w istocie owacją dla tych trzech kolarzy, w których po koszulkach od razu rozpoznałem Szwedów. Wszystko więc z wolna powracało na swe zwykłe miejsca. Tyle że o mnie nadal nie można było tego w żadnym wypadku powiedzieć. No bo, u diabła, w jakiż to sposób mogłem się znaleźć tutaj, na mecie, przed nimi? I to w dodatku solo, bez swoich kolegów?

Kiedy pojawiła się drużyna belgijska, tliła się jeszcze we mnie maleńka isierka nadziei, że oto za chwilę wszystko samo przez się jakoś się wyjaśni. Ale sekundy uciekały bezlitośnie, a o moich kolegach nadal nie było ani widu, ani słychu. Potem zaczęły kolejno zjeżdżać pozostałe zespoły i w końcu zrozumiałem, iż tutaj nie mam już na co czekać.

Tak czy owak, trzeba było pomyśleć o zdaniu roweru. Po paru bezowocnych próbach złapania jakiejś okazji, którą mógłbym się wraz z mym sprzętem zabrać do miejsca startu, postanowiłem zdać się na własne siły. Nie było to zresztą nazbyt trudne zadanie, gdyż pod względem kondycji nadal prezentowałem się znakomicie, a trasę znałem wystarczająco dobrze z paru niedawnych ostrych treningów. No a poza tym chodziło przecież tylko o przebycie jednej pętli, czyli w sumie około marnych dwudziestu pięciu kilometrów. Niewiadomym pozostawało jedynie to, czy po drodze nie objawi się znów we mnie owa obca ingerencja. Ale na szczęście nic w tym guście nie nastąpiło.

Kiedy wreszcie znalazłem się w królestwie Zamroczyńskiego, chyba po raz pierwszy od jego poznania ujrzałem go w stanie kompletnej rozsypki. Wpółleżąc na upačkanym jakimis smarami krześle, gapił się osowiałymi oczami na poustawiane bezładnie pod ścianami, jakby w ogromnym pośpiechu, rowery. Już pierwszy rzut oka pozwalał na nabranie przekonania, że po zakończeniu wyścigu żadnego z nich nie raczył nawet tknąć palcem.

– Mogę go... tutaj postawić? – wydukałem

niepewnie, wskazując koniuszkiem brody na własną maszynę.

Zamroczyński bardzo wolno, jakby mu przez te parę godzin zupełnie zardzewiały szyjne kręgi, zwrócił ku mnie twarz; malowało się na niej bezbrzeżne znużenie. I coś na kształt goryczy. Słowem była to twarz człowieka przegranego z kretesem!

– A, to... ty?! – najwyraźniej zaskoczony przełknął tak potężną porcję śliny, że omal się przy tym nie zakrztusił. – Chwilę milczał, a potem powiedział z irytacją: – Według mnie najlepiej byś się sobie przysłuszył, gdybyś się postarał w ogóle nie nawijać w najbliższym czasie trenerowi i kolegom na oczy!

Przez parę sekund patrzałem na niego szeroko rozwartymi, niczego nierozumiejącymi oczami.

– Ale... dlaczego? – udało mi się wreszcie wydukać płaczliwie.

Pokręcił z jawną dezaprobatą głową.

– Po tym, co nam dopiero co wysmażyłeś, masz jeszcze czelność o to pytać!? – burknął opryskliwie.

Słowem z początku atmosfera tej naszej konwersacji była zdecydowanie zła. I nic nie wskazywało na to, abym u tego źródła mógł się dowiedzieć, co mi się właściwie dzisiaj na trasie przytrafiło. Zamroczyński najwyraźniej podejrzewał, że z sobie tylko wiadomych powodów próbuję robić z niego balona. I na dobrą sprawę po tym, co za chwilę miałem usłyszeć, trudno mu się było dziwić. W końcu musiała go jednak nieco skruszyć ma przepętniona pokorą postawa, gdyż nadzwyczaj ostrożnie dobierając słowa udzielił mi

jednak paru informacji.

Od samego startu miałem jakoby narzucić tak mordercze tempo, że już po kilkunastu kilometrach, w każdym razie jeszcze na pierwszej pętli, nie wytrzymał go Michalski. Ponieważ wszelkie wysiłki Kopylaka zmierzające do utemperowania mego wigoru na nic się nie zdawały, mniej więcej w połowie drugiej pętli odpadł także Kreczek. No i w tym momencie było już naturalnie po zabawie! Kopylakowi nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak tylko zdjąć z trasy mego trzeciego, na pół już tylko przytomnego z wyczerpania partnera, Monsiora, ja natomiast – wedle oceny Zamroczyńskiego jakby w ogóle nie zdając sobie sprawy z rozgrywających się wokół mnie prawdziwych sportowych tragedii – nadal jak ten głupi gnałem samotnie na złamanie karku do mety.

To, co mi w niewielu słowach naszkicował, dosłownie mnie zdruzgotało. Zupełnie jakby przejechał się po mnie w tę i we wte jakiś wielotonowy opancerzony pojazd. W całkiem naturalnym odruchu chronienia swego dobrego imienia już, już chciałem zaznajomić mojego interlokutora z prawdziwymi przyczynami mego pozornie irracjonalnego postępowania, ale w samą porę ugryzłem się w język. Któż czemuś tak dziwaczemu byłby w stanie dać wiarę, skoro i do mnie samego momentami powracały poważne wątpliwości, czy to mi się aby naprawdę mogło przydarzyć?! Mogłoby to chyba co najwyżej zrodzić chęć zainteresowania mym stanem psychicznym odpowiednich służb medycznych, a na tym mi przecież ani trochę

nie zależało!

Rozważywszy to wszystko uznałem w końcu, że do udzielonej mi przez Zamroczyńskiego rady powinienem się odnieść z całą powagą. Bez specjalnego wysiłku mogłem sobie przecież wyobrazić, z jaką pasją trener pluje sobie teraz w brodę, że pomimo tych wszystkich związanych ze mną w ostatnich dniach perypetii uczynił jednak zadość mej prośbie i wstawił mnie do składu drużyny. Dlatego czym prędzej zebrałem swoje nieliczne bambetle i chyłkiem, niczym złoczyńca z miejsca przestępstwa, na szczęście przez nikogo niezauważony wymknąłem się z hotelu.

Niewykluczone, że w tym wszystkim, co się tutaj rozegrało, i ja miałem jakiś swój skromny udział, nie potrafiąc im wystarczająco jasno wytłumaczyć, na czym ich pomoc w świetle regulaminu zawodów powinna polegać. Tym niemniej w pierwszych dniach po zaszcyciu się w domowych pieleszach nie mogłem myśleć o niczym innym, jak tylko o wyrównaniu z nimi rachunków: tak czy owak, to właśnie ich pojawieniu się miałem przecież do zawdzięczenia te wszystkie moje nieszczęścia!

Naturalnie rozpocząłem od już z powodzeniem wypróbowanego środka, czyli od nocertonu. Choć jednak z prawdziwą pasją aplikowałem sobie najrozmaitsze, w tym także iście końskie dawki być może jeszcze niezagrażające bezpośrednio życiu, ale zapewne już niezupełnie obojętne dla zdrowia, tym razem nie udało mi się sprowokować ich do dania choćby najmizerniejszego znaku obecności. Identyczne

rezultaty przynosiły także wcale niemałe porcje alkoholu. Z tym tylko, że kiedy zanadto przesadzałem z ich wielkością, stawałem się na ładne parę godzin zupełnie niezdolny do jakichkolwiek działań. Słowem wyglądało na to, że albo zdolali już uzyskać to, na czym im zależało, i się po prostu po angielsku wynieśli ze mnie na dobre, albo że się potrafili tak zabezpieczyć przed moimi nieudolnymi atakami, iż nie mogłem im już w niczym zagrozić.

Najbardziej w tym wszystkim deprymował mnie jednak fakt, że na tym praktycznie wyczerpała się moja pomysłowość. I właśnie wówczas, kiedy poczucie bezsilności zaczęło się już z wolna przeradzać we mnie w mało na ogół efektywną wściekłość, przypominałem sobie o jeszcze jednym sposobie, którego zastosowanie rozważałem już zresztą także wcześniej. Co prawda wcielenie go w życie wymagało ode mnie ogromnego wprost samozaparcia, zupełnego sprzeniewierzenia się dotychczasowemu sposobowi bycia, ale w samej rzeczy mogło im przysporzyć niewąskich kłopotów. Ba, co ja mówię! Wszak jeśli przyjąć za dobrą monetę tę opowiedzianą mi przez nich historyjkę, było w stanie postawić pod ogromnym znakiem zapytania całe ich istnienie!

Od tej pory, zadając okrutny gwałt swemu temperamentowi, pod względem życia erotycznego przemieniłem się w absolutnego ascetę. W tym niełatwym postanowieniu dzielnie wspomagała mnie świadomość, że oto w ten sposób przyczyniam się do zmiany losów całej ludzkości. Jednak pewnego



popołudnia i to miało prysnąć niczym najzwyklejsza mydlana bańka. Wydobyty ze skrzyneczki list bynajmniej nie zapowiadał katastrofy. Zwykła biała koperta, tyle że pozbawiona adresu nadawcy. A w niej złożona we dwoje karteczka. Nadal nie przeczuwając niczego złego rozprostowałem ją paroma przeciągnięciami dłonią i moim oczom ukazał się taki oto tekst bardzo starannie wykaligrafowany czarnym tuszem:

„Tylko dlatego, że chcę być wobec ciebie lojalna, powiadamiam cię, że masz córeczkę. Ponieważ chodziło mi wyłącznie o posiadanie dziecka, to jest wszystko, do czego się wobec ciebie poczuwam. Nawet nie próbuj nas odnaleźć! Byłaby to tylko daremna strata czasu, gdyż przedsięwzięłam wszelkie środki, aby ci to skutecznie uniemożliwić”.

Gorączkowo przebiegłem myślą przez paręnaście ostatnich miesięcy swojego żywota, dochodząc – niestety! – do wniosku, że taka sytuacja wcale nie jest tak absurdalna, jak by się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać. A więc psu na buty zdały się te wszystkie moje wysiłki i wyrzeczenia! Niczym z brutalnie przebitej dętki nagle uszło ze mnie całe powietrze.



Środa

Adrianna Krajewska



Nad Partycją pojawiła się tęcza. Ostatnie atomy Jego Aksamitnej Wilgotności zniknęły w różowej poświacie Zderzacza. Oznaczało to, że życie mieszkańców powoli wraca do normy i zasadniczego kształtu, a właściwie jego braku. Za chwilę promień spokoju zetrze resztki strachu i niepewności, turkusowa łuna zapomnienia przywróci ład, a błękitny promień oddechu pozwoli na spokojną medytację, powolny ruch cząstek i wejście do Bramy Istnienia.

*

W poprzedniej epoce, nazywanej Horyzontem Zdarzeń, kiedy istniał czas liniowy i kiedy ludziom wydawało się, że wędrując z punktu A do punktu B przemierzają drogę, fizycy stanowili uprzywilejowaną grupę, która znała odpowiedzi na pytania. Jakież naiwne myślenie! Dla mieszkańców Partycji, nawet tych, którzy dopiero objawiali się, lub raczej, uświadamiali się innym, ten sposób myślenia był anachroniczny, ale i uroczy w jakiś romantyczny sposób. Gdyby nie garstka Neo-Anarcho-Romantyków już dawno można byłoby zrezygnować ze Środy. Jak wszystkim wiadomo Nary nie grzeszyły inteligencją, stąd przysłowia: „nosisz beret jak Nar”, „masz dziury w matrycy jak Nar”, czy „skomlesz jak Nar nad rozlanym czasem.” To Nary wymyśliły Środę. A właściwie Wielkie Święto Środy, pogański obyczaj przywoływania Jego Aksamitnej Wilgotności, podczas którego, oszołomione powrotem liniowego czasu tłumy

wyznawców odziane w kabotyńskie szatki, wędrowały ulicami od punktu A do punktu B, trzymając się za ręce i śpiewając hymny ku czci Jawa. Kształty postaci były w jakiś nudny sposób stabilne, nieprzezroczyście i nieruchome. Przedmioty nie przenikały się, a istoty nie lewitowały jak zazwyczaj. Wędrowne bandy wyły niestrudzenie: „O Wielkiiiiiii Paaaaanie, przybądź na wezwaaaaanie. Cras, cras, cras! Sic dilabitur aetas !” rzucając listki laurowe na drogę. Na drogę z punktu A do punktu B. Niezmiennie. I Jego Aksamitna Wilgotność pojawiał się w całej okazałości, z rogami na kudłatej głowie, włosami na krzywych nogach i z lepkiem uśmiechem pożądliwości nad wielkimi zębiskami. Przystrojeni w purpurę przewodnicy Narów twierdzili, że kult religijny Jawa jest absolutnie konieczny z punktu widzenia wędrówki duszy po obrzeżach Galaktyki Wszechrzeczy i tylko nieliczni podejrzewali, że powodem jego utrzymywania jest ów lubieżny, lepki uśmieszek Jego Wilgotności, który wprawia mieszkanki Partycji w ekstatyczny taniec Danse Macabre. Jak inaczej mogłyby zaniedbywać swoje obowiązki, wbijać nieprzytomny wzrok w pogański pal zwierza, błędzić oszalałym wzrokiem po koźlich pośladkach i gładzić rozedrganymi palcami tysy łeb? Nie w czasach, kiedy już nie było palców. Ani łba. Ani żadnej rzeczy, która jego jest. Było tylko zanikanie tu, pojawianie się tam, wykonywanie tego, co trzeba i znowu kolejna lewitacja.

Jak to w Punkcie Istnienia. Nuda. Jedynym sensem Punktu była zadaniowość. Jesteś, robisz swoje, znikasz, pojawiaasz się gdzie indziej, robisz swoje, znikasz, pojawiaasz się gdzie indziej. Duża, duża pewność. Spokój i stabilizacja.

*

Reno lubił swoje miejsce w Punkcie. Nie znosił destrukcji i tych obmierzłych uczuć, które poruszały istoty w czasie liniowym. Strach, pożądanie, poruszenie, wspomnienia i przepowiednie to nie dla niego. Swoje obowiązki, czyli czuwanie nad unifikacją części, wykonywał z wiarą i niezachwianą pewnością siebie. Ostatnio jednak coraz częściej luki w systemie powodowały więcej pracy i podenerwowania. Skąd tyle błędów? Dlaczego tu i ówdzie pojawiały się rewolty, chociaż świat już dawno mógł stać się doskonale uporządkowany? Coś wyraźnie wisiało w powietrzu i krzyczało: Błąd w systemie!

Reno pojawiał się w pracy powodując jednostajne buczenie istot, delikatny szum wentylatora, rozpraszając swoją obecnością resztki nieskupionej uwagi. Wszystko musi być w porządku, na swoim miejscu i działać. Sprawdził, czy wiązki skupiają energię, przeprowadził zabłąkane jądro atomu, które zbyt daleko odbiegło od struktury, i sprawdził czy każdy otrzymał darmową kawę.

„Głupiutkie jądra zachowują się jak dzieci” – Dzieci! Użył tego anachronicznego terminu, zamiast Nowopowstali i natychmiast się zdenerwował. Ta wszechobecna, modna anarchomowa wciskająca się

wszelkimi szczelinami, nieodpuszczająca nawet najbardziej logicznym umysłom. Moment nieuwagi. Zresztą sam czuł się kompletnie rozbity po ostatniej Środzie, kiedy Nary poddały czas kontroli w taki sposób, że istnienie Partycjan zaczęło się ciągnąć się jak zużyte rajstopy. Z czasu, w którym istniały rajstopy, nazywanym przez mieszkanki Partycji Czasem Nienaprawialnych Szkód. Nastąpił on przed czasem Dezintegracji Ciała, Czasem Zanikających Alegorii i Czasem Rozmytych Defragmentacji. Wtedy, gdy poszczególne czasy jeszcze po sobie następowały.

„Uff, wspomnienia!” – zachnął się Reno. Efekt uboczny Środy. Trzeba wyeliminować to święto zanim inni wpływowi zwyrodnialcy wymyślą jakiś Czwartek lub Niedzielę, jak ci sprzed Czasu Logiki Rozmytej. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób takie półgłówki jak Nary nadal mogą posiadać wpływ na istotę rzeczy. A powinien rozumieć Wszystko. Jak najszybciej przedrzeć się przez wąską gardziel i dotrzeć do uprzywilejowanej garstki istot kontrolujących Punkt Istnienia, a może nawet całą Wszechrzecz. Tylko w taki sposób może zapanować nad resztkami bałaganu i, oczywiście, zlikwidować Środę.

Bleep. Bleep. „Reno, na stanowisko”, usłyszał wewnątrz wibrujący nakaz, na który automatycznie zareagował uruchomieniem systemu.

„Błąd w systemie! Błąd w systemie!” – darł się niemiłosiernie sygnał kontrolujący i Reno natychmiast zauważył maleństwo oddalające się w popłochu od siebie od grupy uporządkowanych elektronów. Wyraźnie uciekało i miało cel. Reno przyjrzał się bliżej i jako

doświadczony łowca niezwłocznie rozpoznał źródło paniki. Elektron przesyłał informację do systemu. Reno powiększył obraz i usłyszał przejmujący skowyt, więc natychmiast przełączył się w tryb rozumienia. Dojrzał Jawa na błękitnym tronie z dzikim obłędem w oczach, przemawiającego do wyznawców:

„Narowie i Naranki! Zbliża się nasz wielki dzień. Już dość natrętnych rządów istot uprzywilejowanych. Nie bądźmy bierni wobec ładu i porządku! Zrzućmy kajdany zniewalającej nas powłoki! Oddalmy się, czym prędzej od jądra zła! Nasz wielki Czas nadchodzi. Dies levat luctum.” – Na głowy zgromadzonych Narów bezustannie spadał deszcz zer i jedynek przypominających pył lub kaszę. Jaw wił się w konwulsjach na tronie, a chętne Naranki obmywały mu koźle nogi wodą różaną.

„Nie spoczniemy, nim dojdziemy!” – darł się Jaw, wyraźnie odczuwając zbliżający się szczyt wieńczący konwulsje. – „Dajmy i odczuwajmy! Wędrujmy i buntujmy! Bądźmy i rodźmy! Knujmy i spółkujmy! Dajmy czas czasowi! Niech powróci chaos i słabość ciała starości. Niech wróci chuć i młodość, wraz popędem i brakiem logiki. Braaaacia! Niech wróć!” – jęczały tłumy.

– „Siooooostry! Niech wróć! Nadejdzie Czas powrotu kształtu i przestrzeni, wielowiekowych tradycji i rewolucyjnych zmian. Czas narodzin i śmierci, Goga i Magoga, ewolucji i manipulacji genetycznych, rozwoju wydarzeń i błędów statystycznych. Czas Twórczego Chaosu i Nowej Wyobraźni!”

Zaniepokojony Reno od kilku sekund starał się złapać zdeterminowany elektron w sidła cząsteczki. Coś wyraźnie było nie tak. Mały pędził jak szalony, omijał zabezpieczenia, zbliżając się niebezpiecznie do zabudowy ochrony. W najoczywistszy sposób próbował sforsować najpilniej strzeżone zabezpieczenie Punktu. Zwyczajowe procedury zdawały się nie działać. Uruchomił ponownie wnętrze systemu. Błąd! Ponownie! Czarna rozpacz! Ostatnim wysiłkiem wgrał autorską procedurę wprowadzając hasło: R-E-N-O-W-A-C-J-A. Przez jeden krótki moment cały system tkwił w martwym punkcie nie przejawiając żadnych oznak życia. Drgnął na moment jakimś jasnym światłem, ale było za późno... Reno powoli osuwał się w niebyt... Miał już naprawdę dość.

BIG BANG

*

Reno naprawdę nie lubił Środy.



Życie kończy się wraz z technologią

Angelika Fronczyk



Nazywam się Martensa Aleksis Katherina Eurora MMCCCXXI, ale wszyscy mówią mi Make. Całkiem zabawne, bo dopóki moje życie nie wywróciło się do góry nogami nigdy nie postrzegałam się jako ktoś, kto może coś stworzyć, kto może być twórcą. Kreatywne myślenie zawsze było przywilejem dla wybranych. Tak jesteśmy zaprojektowani. Jest rok 3000, wkroczyliśmy w nowe milenium. Wszyscy mówili, że to czas zmian, ale nikt nie spodziewał się, że będą aż tak wielkie i tak destrukcyjne. Jak wygląda nasz świat? Niektórzy twierdzą, że jest „pozbawiony życia”, ale za szybko umierają by ich poglądy mogły się rozprzestrzenić. To mówi samo za siebie, o delikatności naszego rządu. Prawo mówi: „Przetwarzają najsilniejsi”. Jest to druga najważniejsza zasada, pierwsza to: „Rząd ma zawsze rację”. Osobie niezdyscyplinowanej odbiera się przywileje, a największym przywilejem jest życie. Jak to się wszystko zaczęło? Zgodnie z historią w roku 2890 przyszedł okres, w którym rodzaj męski zaczął wymierać. Stał się zagrożonym „gatunkiem”. Chłopców rodziło się kilku na pokolenie i było ich za mało, by w wieku rozrodczym mogli spłodzić ich więcej. Zaczął się chaos. Zbiorowa panika i strach ludzi sprawił, że rząd objął władzę. Dziś nikt nie nazywa ich inaczej, niż „Rząd”. Nie wiemy nawet kto jest w jego składzie. Twierdzą, że jedyne informacje jakie są nam potrzebne to te, że wiedzą, jak uratować rasę ludzką. Mieli

wielkie plany. Grupa naukowców na ich usługach zaczęła badania nad „tworzeniem ludzi”. Nie było już dłużej potrzeby by się rodzić. Nadal potrzebna była komórka rozrodcza kobiety i plemniki mężczyzny, ale całe zapłodnienie odbywało się w specjalnej maszynie, która wyodrębniała geny, by dziecko rodziło się takie jak oni tego chcieli. Przez następne trzy miesiące w specjalnej kapsule powstawał noworodek. Nie różnił się on niczym od dzieci urodzonych metodą naturalną, przynajmniej jeśli chodzi o jego fenotyp. Z genotypem było już inaczej. Wszystko w nim było zaprojektowane. Wygląd, płeć, a nawet charakter. Ta maszyna bawiła się w Boga i pomimo tego, że wywoływała oburzenie osób moralnych, to była jedyną nadzieją na przetrwanie. Warunek był jeden, i to jego ludzie bali się wtedy najbardziej – Rząd miał objąć władzę. Jak widać udało im się dopiąć swego.

Urodziłam się zaledwie 50 lat temu. Jest to okres tak zwany „młodociany”. Ponoć jest to odpowiednik dawnego bycia „nastolatkiem”, cokolwiek to znaczy. Kolejną zaletą maszyny było to, że uwarunkowywała ona nas tak, byśmy żyli z początku dwa razy, a teraz nawet trzy czy cztery razy dłużej. Czym jest 50 lat, gdy żyje się ich 400? W momencie, gdy kobieta osiągnie okres rozrodczy, komórki rozrodcze są jej odebrane. Nie wiedziałam, jak wygląda wejście w ten okres, myślałam, że to się po prostu wie, a jednak można żyć nie mając o tym

pojęcia. Rodzenie dzieci w sposób naturalny jest zabronione. Nie da się tego oszukać. Z chwilą urodzenia każdemu wszczepiany jest chip, który przesyła informacje o naszym stanie zdrowia do specjalnych laboratoriów. Tam wiedzą, kiedy mamy gripę, kiedy jesteśmy szczęśliwi, kiedy popadamy w obłąd oraz kiedy nasze komórki rozrodcze są gotowe. Wszystko jest poza naszą kontrolą. Nie zdążymy nawet dobrze pomyśleć, o tym by zrobić coś nielegalnego, a już zjawiają się służby, które skazują nas za to co byliśmy dopiero gotowi zrobić. Pełna kontrola, ponoć dla naszego bezpieczeństwa.

Jak to jest z rodzicami? Po prostu, nie mamy ich. Rodzimy się w maszynie, a potem jesteśmy przekazywani do specjalnych obiektów wychowawczych. Mało jest w nich ludzi. Głównie maszyny, które się nami zajmują. Po skończeniu 100 lat jesteśmy przenoszeni do głównych miast, dostajemy zakwaterowanie, prace i zaczynamy żyć samodzielnie. Do tego czasu każdy z nas ma współlokatora. Razem jemy śniadania, spędzamy czas wolny i chwalamy nasz rząd. Jak to jest z nauką? To chyba najlepsze co udało im się wymyślić. Nie uczymy się. Na noc jesteśmy podłączani do maszyny, która przesyła informacje do naszego mózgu. Nie musimy nic powtarzać, notować i bać się, że zapomnimy. Budzimy się rano a informacje są już w naszym mózgu. Możemy je przywołać zawsze, kiedy ich potrzebujemy i nie ma możliwości ich zapomnienia. Oczywiście nie można przyswoić wszystkiego naraz, cały proces jest stopniowy. Każdej nocy uczymy się czegoś nowego. W ten sam sposób możemy nabywać umiejętności. Nie uczymy się już na błędach,

gdyż są one tym, co o mało nie zniszczyło naszej rasy, dlatego zostały wyeliminowane. Kiedyś ludzie uznaliby to za smutne życie pełne tyranii, ale teraz nie mamy prawa tak myśleć. Od dziecka uczymy się, że rząd jest nadzieją, on daje a nie odbiera, on nas ratuje. Ważne są skutki, a nie poboczne ustępstwa. Technologia nas ocalała. Tylko rząd może mieć nad nią kontrolę, więc nie wolno nam uczyć się i tworzyć. Nie możemy myśleć kreatywnie, przeprowadzać eksperymentów i próbować bawić się maszynami. Ludzie stworzeni do tego są wybierani, jeszcze zanim wyjdą z kapsuły. Ich życie jest do tego wyznaczone. Mamy im za to dziękować i nie wtrącać się w ich pracę. Nigdy nie miałam zamiaru się temu sprzeciwiać. Byłam zwykłą dziewczyną o bladej cerze, ciemnych oczach i włosach. Mój wzrost został ustawiony na poziom przeciętny, nieprzekraczający 165 centymetrów. Specjalnie modyfikowana żywność sprawiała, że zawsze wyglądałam zdrowo, nie musiałam się obawiać niechcianych skutków, wynikających z jedzenia, dawniej „normalnej” żywności. Każdej nocy od 30 roku życia jestem podłączana do maszyny uczącej, więc mam już dwudziestoletnią wiedzę. Nie jestem głupia, a przynajmniej tak uważałam, dopóki nie popełniłam błędu, który zniszczył całe moje dotychczasowe życie. Rząd powtórzał, że błędów już nie ma, że nie ma ich w naszym charakterze. Wierzyłam w to, a jednak kłamał. Błędy są w naszej naturze, nawet jeśli zaprogramują nas na „idealnych”, stworzą bezpieczny i kontrolowany świat, gdzie pozwolą nam się rozwijać. Wcześniej czy później i tak robimy coś źle. Jedyna różnica jest taka, że nie będziemy

wiedzieli, jak sobie radzić, bo nikt nas tego nie nauczył.

Ten „genialny” system edukacji ma luki, kto by pomyślał. Na pewno nie ja. Ja wierzyłam w to, co mi wmawiają i to było błędem, ale nie to zniszczyło moje życie. Wszystko się zepsuło, kiedy przypadkiem oszukałam mój chip. Nie wiedziałam, że to w ogóle możliwe. Zaczęłam dzień, jak każdy inny. Komplikacje zaczęły się w środku, a zakończenia no cóż, w życiu bym się nie domyśliła.

Wstałam rano, wraz z zakończeniem się mojej nocnej lekcji. Maria Magdalena, moja współlokatorka, wstała zaraz po mnie. Miałyśmy po dziesięć minut, na skorzystanie z łazienki. Po dziesięciu minutach mamy obowiązek zwolnić ją następnej osobie. Z czasem człowiek się do tego przyzwyczaja. Ubrałam się w fioletowy kombinezon. Zawsze nosimy kombinezony, wszyscy takiego samego kroju, jedyne co pozwalają nam mieć inne to kolor. Są dostępne w każdym możliwym odcieniu i sami możemy sobie wybierać, jaki chcemy. Jednak nikt nie gwarantuje, że połowa innych osób nie dokona takiego samego wyboru. Maria Magdalena wybrała kolor zielony, moim zdaniem idealnie pasował do jej blond, wręcz żółtych włosów i niebieskich oczu. Gdy już obie byłyśmy gotowe zeszłyśmy na dół do jadalni. Tam o wyznaczonych porach zbierali się wszyscy z ośrodka. Wielka sala, z mnóstwem stolików i krzeseł. Dla każdego taka sama porcja specjalnej mazi, która ma w sobie wszystkie wartości odżywcze, jakie są nam potrzebne. Usiadłam przy stoliku, w rogu. Zawsze tam siadałam. Obok mnie usiadła Maria Magdalena. Nim zdążyłyśmy

się obejrzeć przysiedli się do nas Maksymilian i Aron. Obaj byli ubrani w czarne kombinezony. Większość chłopców i mężczyzn ubierała się w taki sposób. Taka już chyba ich natura, że czarny jest dla nich zawsze odpowiednim kolorem. Oba im było w nich do twarzy, ale każdemu w inny sposób. W przypadku Maksymiliana podkreślał on to, jak jasne są jego włosy i niebieskie oczy. U Arona wręcz przeciwnie, kombinezon idealnie komponował się z czernią włosów i brązem oczu.

– Witajcie Make i Mario Magdaleno – Maksymilian zawsze witał się z nami w sposób bardziej oficjalny. Taka już była jego natura.

– Hej dziewczyny – Aron wołał być bardziej rozluźnionym. Ciągłe się uśmiechał i nie przejmował niczym.

Maria Magdalena tylko się uśmiechnęła. Była wyjątkowo nieśmiała. W moim towarzystwie czuła się swobodniej i potrafiłyśmy się dogadać. W końcu mieszkamy razem od chwili narodzin, chcąc nie chcąc musiałyśmy znaleźć wspólny język. Niestety, jeśli chodzi o rozmowę z płcią przeciwną było już gorzej. Bała się do nich odezwać. Robiła to tylko czasami i wydaje mi się, że raczej przez zapomnienie, niż z chęci rozmowy. Ja lubiłam Maksymiliana i Arona.

– Co u was? – spytałam chłopaków i kiedy Aron się do mnie uśmiechnął, odpowiedziałam tym samym.

– Staram się przekonać Maksa, by zamiast „witajcie” mówić „hej”, ale on twierdzi, że to jest slang, z XXI wieku i nie będzie go używał.

– Mówiłem Ci byś nie nazywał mnie „Maks”, jestem Maksymilian, przestań to tak zdrabniać.

– Tak jest krócej i fajniej, możesz czasem darować sobie, tą całą powagę – to mówiąc Aron szturchnął Maksymiliana przyjaźnie. Często się sprzecali, z racji różnicy charakterów, ale nigdy długo się na siebie nie gniewali.

Wzięłam trochę melasy do ust i się skrzywiłam. Coś było z nią nie tak. Nigdy nie miała jakiegoś specjalnego smaku, ale tym razem była wręcz niejadalna.

– Czy wy też uważacie, że to smakuje dziwnie? – Spytałam pozostałych, wskazując na moje niejadalne śniadanie.

– Make, to prawie zawsze smakuje dziwnie – odparł Aron.

– Wiem, ale dziwniej niż zazwyczaj.

Spojrzeni się na mnie, z podejrzeniem i wszyscy spróbowali swojej porcji. Po wyrazie ich twarzy było widać, że szykują się na najgorsze. Po chwili jednak się rozluźnili.

– Make to smakuje paskudnie, ale nie bardziej niż zwykle – powiedział Aron, w tym samym czasie co Maksymilian, który powiedział, że smakuje normalnie.

Maria Magdalena tylko kiwnęła głową, na znak, że się z nimi zgadza.

„Dziwne... Czyżby z moją porcją było coś nie tak, a może ze mną?” – pomyślałam, ale natychmiast odrzuciłam, od siebie te myśli. W końcu, co by się mogło ze mną stać. W każdej chwili jesteśmy monitorowani, laboratorium jest informowane o każdej zmianie w naszym organizmie. Nie ma możliwości, bym się zmieniła, w jakiś znaczący sposób, gdyby tak było zostałabym o tym poinformowana. W dodatku bardzo dobitnie. Specjalne

roboty, na usługach rządu weszłyby tu i to nie byłoby zbyt miłe spotkanie. Wzdrygnęłam się. Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak kuszę los. Nie zdążyłam wziąć do ust reszty melasy, kiedy przypuszczenia się spełniły. Usłyszeliśmy hałas i wszyscy obróciliśmy się w stronę głównego wejścia. Stały tam trzy roboty, specjalnie zaprogramowane, na łapanie osób, które są zagrożeniem, dla rządu. Nieprzypominające, w żadnym szczególe ludzi, w całości zrobione ze srebra i z wielkim znakiem rządu na piersi. Wszyscy wpatrywali się w nie z przerażeniem i zainteresowaniem. Nawet nie drgnęli. W końcu jeden z nich wyświetlił wielki hologram i ogłosił, że mamy wszyscy go obejrzeć. Obraz przedstawiał naukowca, w wieku około stu pięćdziesięciu lat. Spojrzał na nas z surowym wyrazem twarzy i zaczął wygłaszać swoje przemówienie:

– Do wszystkich przebywających w obiekcie wychowawczym numer 0005789, doszły nas informacje, że osoba przebywająca w tym budynku jest zagrożeniem. Jej organizm uległ skażeniu i dezaktywowała ona swój chip. Jest to poważne wykroczenie. Najprawdopodobniej próbowała ona podczas lekcji naukowej przyswoić informacje na temat robotów, ich procesów myślowych, tworzenia i całego systemu komputerowego. Włamała się ona do naszych procesorów i nie tylko wyłączyła własny chip, ale i większość maszyn na terenie rządu. Był to zamach, za który należy się kara. Osobą tą jest Martensa Aleksis Katherina Eurora MMCCCXXI i zostanie ona wyeliminowana.

To był moment, w którym wszyscy zwrócili się w

moim kierunku, z przerażeniem wypisanym na twarzy. Podejrzewam, że sama tak wyglądałam. Nie mieściło mi się to w głowie. To musiała być jakaś pomyłka, przecież ja nic nie wiem o robotach. Mój chip działa. Prawda? Starałam się przywołać jakąś wiedzę, której nie powinienam znać. Nic takiego nie znalazłam, a przynajmniej nie chciałam się do tego przyznać. Byłam pewna, że nie zrobiłam nic nielegalnego. Wstałam, by spróbować się dogadać, z maszynami, które po mnie przysły. Otworzyłam usta by coś powiedzieć, gdy jeden z nich strzelił laserem w moją stronę. Uchyliłam się w ostatniej chwili.

– Okeejj... – powiedziałam bardziej do siebie niż do nich. – W ten sposób to my nie będziemy rozmawiać. – Wyrzuciłam z siebie i odruchowo zaczęłam biec w drugą stronę.

Gdyby to było takie proste, to każdy byłby w stanie tak po prostu wybiec i nie zostać złapanym. Niestety to wcale takie proste nie było. Zaczęła się pogoń, w dodatku z natury tych „najpierw strzelaj, potem pytaj”. Wokół mnie latały wiązki lasera, z każdym kolejnym, coraz trudniej było mi robić uniki. Biegłam przez całą jadalnię, nie zwracając uwagi na to, że ludzie mówią do mnie bym się poddała, albo staną mi na drodze. Moja potrzeba przetrwania była silniejsza, niż dobre wychowanie. Nie obchodziło mnie kogo zdepczę po drodze, cel był jeden: wydostać się stąd. Gdy już myślałam, że mi się uda, wpadłam na drzwi, które oczywiście musiały okazać się zamknięte. Przerażona odwróciłam się w stronę moich przyszłych morderców. Kurczowo trzymałam się

ściany. Nie wiedziałam co dalej. Zamknęłam oczy, gotowa na ostateczny cios.

– Nie ! – Usłyszałam krzyk Arona.

Otworzyłam oczy by zobaczyć jak Aron stoi pomiędzy mną a cyborgami. Ochrania mnie własnym ciałem, przez co nie mogą mnie zastrzelić. Mają zaprogramowane by nikt z osób trzecich nie mógł ucierpieć, podczas łapania złoczyńców. Nie mogłam uwierzyć, że tak się naraża i to dla mnie. Kiedy moi prześladowcy zastanawiali się co robić Maria Magdalena i Maksymilian po kryjomu wyprowadzili mnie na zewnątrz bocznym wejściem, którego nie zauważyłam. Zaczęliśmy biec. Zostałam zbiegiem i nie wiedziałam co dalej robić.

Minęły dwa dni od kiedy uciekłam z mojego dotychczasowego domu. Zostałam oskarżona, o jedną z największych zbrodni, jaką mogłam zrobić. Najgorsze było to, że byłam niewinna i nikt nie chciał mi uwierzyć. No poza moimi przyjaciółmi, którzy pomogli mi w ucieczce i teraz razem ze mną ukrywali się, oskarżeni o współudział i ukrywanie zdrajcy. Nigdy w życiu nie kochałam ich bardziej, jak w tej chwili. Maksymilian był starszy od nas i udało mu się wcześniej załatwić dla siebie kwaterę. Obawialiśmy się, że rząd łatwo ją namierzy, jednak postanowiliśmy tam przeczekać. To był kolejny błąd, który popełniłam. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy z tego, jaką głupotą jest uciekanie, a co ważniejsze zabieranie ze sobą przyjaciół. Przeżyliśmy dwa dni. Głównie na kłótniach o to, że nie powinniśmy byli uciekać. Maria Magdalena uważała, że lepiej było załatwić

to przez rozmowę. Ucieczką narobiliśmy sobie większego kłopotu. Maksymilian twierdził, że nie możemy zostać w tej kwaterze za długo, bo łatwo nas zlokalizować. Ja chciałam się poddać. Aron twierdził, że nie powinien narażać swojego życia.

Trwała kolejna kłótnia, gdy pół budynku dosłownie wybuchło. Wiedziałam, że rząd jest brutalny, ale nie spodziewałam się, że, aż tak. Gruz przygniótł Maksymiliana. Stracił przytomność. Rzuciliśmy się, żeby mu pomóc. Nie oddychał. Zaczęłam płakać. Zabili go. To moja wina. Powinłam była się poddać, a zamiast tego wpędziłam przyjaciół w kłopoty i jeden z nich zapłacił za to życiem. To powinien być ja. Nie zorientowałam się nawet, kiedy zaczęłam krzyczeć. Rzuciłam się biegiem w stronę ścigaczy. Chcieli mnie, więc oto jestem. Zaczęli we mnie strzelać, ale byłam szybsza. Adrenalina i wściekłość były moimi dopalaczami. Skoczyłam na pierwszego robota i sama nie wiem w jaki sposób, ale wiedziałam jak go przeprogramować. Wcisnęłam guziki, które znajdowały się na jego głowie. Wstukałam odpowiednią kombinację i zaczął atakować resztę maszyn. Gdy wystrzelał wszystkie, sam włączył tryb autodestrukcji i wybuchł. Stałam tam ciężko oddychając, patrząc jak wszystko wokół jest spalone. Szczątki tego, co pozostało po ścigaczach leżały ciężko na podłodze. Mój kombinezon był podarty, moje włosy falowały na wietrze. Czułam się silna, niezwyciężona i chciałam zemsty. Odwróciłam się w stronę moich przyjaciół, którzy patrzyli na mnie, z szeroko otwartymi oczami. Szczęki opadły im tak nisko, że nie wiedziałam, że to w ogóle możliwe.

– Powiedzieli, że jestem zdrajczynią. Zabili Maksymiliana i próbowali zabić mnie – wysyczałam przez zęby.

– Ufałam im! – krzyknęłam. – Wierzyłam w te bzdury, które mi wmawiali! – łzy zaczęły mi lecieć z oczu. – Teraz kolej, bym to ja zniszczyła to w co wierzą – powiedziałam zdeterminowana.

Aron i Maria Magdalena patrzyli na mnie, jakby zastanawiając się, czy na pewno jestem normalna i nie do końca wiedząc o czym mówię. Posłałam im pełne pewności spojrzenie.

– Zniszczę te ich mordercze maszyny. Co do jednej – obiecałam.

Nie wiedziałam, jak mam tego dokonać i czy to w ogóle możliwe. Nie obchodziło mnie to. Nie miałam planu, nie miałam nawet żadnego pomysłu. Jedyne co miałam to uczucie wewnątrz mnie. Ta mała dziurka, którą mogłam wypełnić tylko dokonując zemsty. Może nie uda mi się pokonać całego rządu, ale byłam pewna, że nie spocznę, póki nie spróbuję.



Ludzie jak Bogowie

Kinga Ruranska



Rok 3415 po wielkim objawieniu...

Stuk, stuk, stuk. Rozchodził się pusty dźwięk w wielkiej metalowej klatce, okrutnie stukające obcasy odbijały się makabrycznym echem. Pochłaniająca pustka wspinała się na szczyty samotności ludzkiego bytowania. Nadchodził czas apokalipsy, zagłady, unicestwienia całkowitego zatracenia w wykreowanym świecie. Przytłaczająco bezduszne powietrze wirowało wokół, przechodzącej po jedynej drodze do rdzenia, wybranej. Krew kapłała, na niewielką powierzchnię świecącej płyty, którą przyciągała biel niewielkiego prostokąta na wielkiej kolumnie czerni. Stopniowo wejście powiększało się, a cichutkie dudnienie serca stawało się coraz wolniejsze. Uchodziło z niej życie, z jej ręki ospale wysuwał się ciężki, zimny pistolet, pozostałość po starych cywilizacjach. Zachwiała się i zrobiwszy krok do tyłu spojrzała w górę na bezkresny ocean mroku. Zapatrzona we własną przeszłość, wspominała.

Trzy miesiące temu...

Doskonała, biała budowla ze sztucznie wyprodukowanego tworzywa zdawała się tańczyć na wietrze. Zielone balkony przepełnione roślinami

stanowiły wysoki pas prowadzący do nieba. Była jedną z nielicznych osób, które jeszcze korzystały z siły pojazdów mechanicznych. Jakoś nie miała przekonania do urządzeń teleportacyjnych, zbyt wiele razy słyszała od przyjaciół jak podobno za każdym razem gdy z nich korzystali coś w ich umyśle się zmieniało. Nie mogli tego potwierdzić, nie było jak. Lekarze praktycznie przestali istnieć oprócz zaledwie paru osób, które stwierdzały przyczyny zgonów. Spojrzała na wielofunkcyjny zegarek, parkując swój autodrom, który powoli przestał się poruszać i bezgłośnie opadł na ziemię. Rozejrzała się po stalowym horyzoncie. Tylko numery na budowlach odróżniały wydział zabójstw od pozostałych budowli. Idąc cichym, osamotnionym korytarzem rozglądała się za drzwiami do pokoju 315b. Miała się tam spotkać z jej przełożonym, a zarazem partnerem. Rozmyślając nad tym gdzie dokładnie została przydzielona, obawiała się zmiany nastrojów w niej zachodzących. Jeśli jej Psycho-band zarejestruje nagłą zmianę postrzegania rzeczywistości wyślą ją na długą rehabilitację. Stojąc przed pokojem docelowym, zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu, następnie nacisnęła klamkę. Po środku pomieszczenia stał wysoki mężczyzna w czarnym garniturze. Po przeciwległych stronach ścian stały szklane biurka wraz z najnowocześniejszymi komputerami, a za nimi ci, których zwano egzekutorami. Mówiono, że są to psy wydziału, niebezpieczni

przestępcy którzy istnieją tylko po to by inspektorowie nie musieli brudzić sobie rąk. Jednakże w jej mniemaniu nie wyglądali oni strasznie, ani niczym nie różnili się od zwyczajnego człowieka, przynajmniej z wyglądu. Od pierwszej chwili poczuła do nich jakieś dziwne przywiązanie i kiedy tłumaczyli jej nowe obowiązki, którymi została zasypana starała się uważnie ich słuchać i zapamiętać każdy szczegół ich postawy, rysów twarzy czy też barwę głosu. Wiedziała, że musi zaufać tym osobom oraz się z nimi zaprzyjaźnić, w końcu przez najbliższe lata będą razem pracować, będą chronić jej życia tak samo jak ona będzie bronić ich.

*Dwa miesiące wcześniej od wydarzeń
teraźniejszych...*

Nikły, urywany odgłos oddechu świadczył o tym, że była blisko celu. Zmęczył ją ciągły bieg za zbrodniarzem, mimo to szła naprzód. Jej ostrożność i skupienie zwiększyły się dwukrotnie. Eliminator miała cały czas przygotowany do strzału. Obserwowała każdy szczegół mokrej, brudnej ulicy pomiędzy opuszczonymi magazynami. Omiotła spojrzeniem przepelnione kosze na śmieci. Świeże ślady krwi rozmywały się pod wpływem napływającego z góry uliczki strumyka wody deszczowej. Powinna się śpieszyć jeśli nie chce by, ktoś inny go dorwał inaczej mógłby skończyć w trumnie, a nie tak jak ona chciała w zakładzie rehabilitacyjnym. Nie wierzyła aby zabijanie było dobrym rozwiązaniem,

nawet jeśli tym osobom nie dało się już pomóc to mogła chociaż umieścić je w więzieniu, tam dożyliby swej starości albo zwariowaliby i wcześniej czy później by się zabili. Wiedziała, że to wyjście nie usatysfakcjonuje wszystkich ale musiała zapobiec rozlewowi krwi. Nie chciała, aby któryś z jej podwładnych miał na sumieniu kolejnego człowieka przynajmniej wtedy kiedy ona z nimi była. Zauważyła, że ślady urywają się tuż pod drabinką prowadzącą na schody przeciwpożarowe, bez zastanowienia wspięła się po nich i przez otwarte okno weszła do środka zapuszczonego starego biurowca. Wyczuwała w powietrzu woń siarki, szczurzych odchodów oraz bardzo świeżej krwi. Upewniwszy się, że może przejść dalej i, że nie ma tu żadnych pułapek przeszła do pomieszczenia gdzie leżało truchło grubego, prawie tysego mężczyzny, który był jej celem. Widać że ktoś ją uprzedził, ale nie mógł być to, żaden z Egzekutorów, oni nie zostawiliby ciała w całości. Eliminator rozerwałby ciało mordercy na strzępy, a krew spływałaby ze wszystkich ścian w tym pokoju, jednak ona spokojnie wypływała spod zwłok. Rozejrzała się rozważnie po pokoju, nie pomijając żadnego szczegółu. Widziała parę niedopałków papierosów, a przecież poszukiwany nie palił. Częściowe odciski mokrych butów co najmniej trzech osób i zdjęcie z bardzo starego aparatu przedstawiające literę D napisaną na starym murze.

Godzinę temu...

Wszystko w jej wnętrzu krzyczało, nie mogła sprzeciwić się rozkazom mimo, że doskonale wszyscy wiedzieli, że atak rebeliantów jest jedynie akcją dywersyjną. Niech to szlag. Przeklinała sama siebie za swoją bezsilność. Koncentrowała się na łapaniu wzburzonych obywateli i anarchistów. Wściekała się za każdym razem gdy patrzyła na oblicza tych wszystkich ludzi zwodzonych przez system. Nienawidziła tego świata, pragnęła poznać prawdę. Chciała zmienić to społeczeństwo tak, ażeby każdy mógł być tym kim najbardziej chce, bez decyzji „nieomyślnej” struktury panowania nad ludzkością. Jej długie niebieskie włosy opadały na przepełnioną mrokiem twarz anioła. Przyciskała ręce do swoich oczu, jak gdyby miała się zaraz rozpłakać, ale ona jedynie pograżała się coraz bardziej w rozmyślaniach. Nie było dla niej miejsca w systemie, stała się już jedną z wykluczonych. Na mocno zaciśnięte powieki parły łzy smutku, złości i zdecydowania. Wszystkie emocje z niej uszły, wyprostowała się dumnie i spojrzała na swych towarzyszy. Wszyscy zgodnie pokiwali jej, byli tak samo zdeterminowani jak ona. Ich własne piekło się rozpoczęło. Jechali do Departamentu Życia Społecznego z niepokojem wypisanym na twarzach. Niewielka grupka zamachowców rozdzieliła się, jedni poszli na sam szczyt wieży, drudzy próbowali się dostać do samych podziemi,

do miejsca o którym nie wiedział nikt. Decyzja była trudna jednak postanowiła, że sama pójdzie do tajemnego miejsca. Ich wysłała za najgroźniejszym przestępcą z jakimkolwiek ich społeczność miała do czynienia. On przewodził grupce morderców, dostawali od niego materiały i zabijali, pozwalał się im bawić do czasu, aż nie przestali mu być potrzebni. Potem zabijał ich, wiecznie bawił się z inspektorami w kotka i myszkę, był zawsze o krok przed innymi. Jego cztery zabaweczki zostały usunięte w ten sam sposób, przez poderżnięcie gardła. To ona zawsze była pierwsza na miejscu tych zabójstw, i zawsze schemat wyglądał tak samo. Zmieniały się tylko litery na fotografiach. Tworzyły słowo: DEVA. Nie była pewna co ono oznacza, był to już dawno nieużywany język, jeszcze sprzed wielkiego objawienia, kiedy wszystkie narody się zjednoczyły i stworzyły nowy uniwersalny język. Wtedy też pojawił się SYSTEM. Ta zagadka nie dawała jej spokoju zwłaszcza, że była pewna, że gdzieś już widziała lub słyszała to słowo, ale wspomnienie tego wyrazu tkwiło tak głęboko w jej wnętrzu, że nie mogła sobie przypomnieć o co wtedy chodziło. Znajdowała się na najniższym poziomie kondygnacji według tego co przedstawił plan budynku. Przez swoją nieuwagę dała się zaskoczyć jednemu z pomocników głównego prowodyra zdarzeń, które zaczęły się w dniu jej dołączenia do wydziału zabójstw. Zaatakował ją od tyłu, na szczęście w porę go usłyszała i miedziany drut zaledwie był w stanie musnąć w niszczącym pocałunku jej opaskę, która pękła na pół. Niewyobrażanym dla niej było życie bez niej. Piękna

N 1

biała część opadła dźwięcznie na podłogę. Rebeliant nie czekał aż ta pozbiera się z druzgocącego jej zdaniem zdarzenia i wycelował kolejne śruby w jej ramiona, zdecydowanie chciał żeby cierpiała. Jej ciało przeżyło ataki bólu, wdzierające się obce organizmy pozbawiły ją samo kontroli. Czuła jak odradza się na nowo, każda wyciekająca kropla jej krwi czyniła ją silniejszą. Spokojnie szła do przestępcy nie zwracając uwagi, że jej ciało zostało po raz kolejny przeszyte przez wkręty. Będąc już bardzo blisko podniosła swoją rękę i przystawiła Eliminatora do czoła kryminalisty. Żrenice miała niesamowicie pomniejszone, oczy otwarte najbardziej jak się dało, a twarz wykrzywioną w morderczym uśmiechu. Śmiejąc się nacisnęła spust i obserwowała jak to żywe truchło zaczyna się rozszerzać, by w momencie wybuchnąć rozpryskując wszędzie krew. Popatrzyła się na kałużę u jej stóp, niewzruszona wyciągnęła pociski ze swojego ciała. Usłyszała falę wybuchów tłumioną przez grube warstwy metalu. Zrozumiała, że w końcu pozostali z wydziału zabójstw i dołączyli do nich, włamała się do systemu zabezpieczeń DŻS przez swój zegarek na nadgarstku. Obserwowała przez przejęte kamery co się dzieje. Odcięła im drogę do wejścia na niższe poziomy, tym samym kierując ich na wyższe piętra. Zyskując trochę czasu szybko pobiegła przez zdjętą metalową obudowę ochronną. Stała na granicy schodów prowadzących w głąb ziemi. Zeszła najniżej jak się dało i przeszła przez rozsuwane drzwi. Ciężki stalowy most wisiał w wodospadzie czerni a pomiędzy nim wysoki słup w jeszcze ciemniejszym

odcieniu od otaczającej go przestrzeni. Na końcu mostu znajdowała się bezdenne przepaść, która mogła prowadzić nawet do samego jądra ziemi. Nie zalekła się, kroczyła dumnie przez pole nicości, kiedy pojawił się przed nią dysk stworzony z błyszczącego światła wiedziała, że znajduje się na krawędzi. Stanęła na nim i czekała co się wydarzy. Po drugiej stronie pojawiły się drzwi białego blasku. Okrąg pod nią przybliżał ją do wejścia.

Czas współczesny...

Płyta przestała się poruszać, rażące światło wdarło się bezwzględnie do jej podświadomości. Nie była pewna czy chce wejść do kolejnego idealnego wnętrza wypełnionego perfekcją stwórców systemu. Kiedy pierwsze zawahanie minęło przypomniała sobie słowa swych bliskich, by zawsze dążyła do wyznaczonego celu. Weszła pośpiesznie do skąpanego jasnością pomieszczenia. Widok, który ujrzała przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Powierzchnia była wypełniona po brzegi mózgami, które raz po raz mechaniczne szczypce przenosiły w różne miejsca. Widok był wstrząsający. Nikt nie mógł się spodziewać, że system, który miał być całkowicie niezależny od ludzkiego toku myślenia polegał właśnie na tym co zwodziło ludzkość od tysięcy lat. Obok niej wysoki, dobrze zbudowany czarnoskóry mężczyzna nagrywał ten widok na swój zegarek. Histerycznie się śmiejąc

przewidywał i opowiadał o tym co by mogło się zdarzyć gdyby ten film wyciekł do sieci. Całe społeczeństwo byłoby zrujnowane, przestałoby cokolwiek istnieć, a ład i porządek zastąpiłaby przemoc. Wtedy znikąd pojawił się huk wystrzelonego pocisku. Ciało anarchisty padło bezwładnie na podłogę wydając przy tym parę jęknięć i obelg. W wejściu stał robot na wpół obdarty ze swej ludzkiej powłoki przypominającej głównodowodzącą miastem panią Frey Werlington. Iskry leciały z jej drucianej szyi, skrzypiące usta poruszyły się, a poszczególne części autobotycznego ciała zaczęły się rozpadać. Kiedy cała metalowa powłoka opadła ze świstem na podłogę, drzwi do pokoju szczelnie się zamknęły. Jeden z mózgów wynurzył się spośród pozostałych.

– Brawo, jesteś najwspanialszym z naszych żołnierzy – rozległ się w jej umyśle spokojny barytonowy głos. – Jesteś ucieleśnieniem dawnych rodów i ich świetności. W sumie nic dziwnego pochodzisz do tych Serejów. Ah! To był ród! Taki piękny, taki dumny! Jednak po zjednoczeniu wszystko przepadło, cała kultura, cały ten sztuczny świat stał się nicością – oświadczył głos.

– Co to wszystko ma znaczyć? – suchy, zachrypnięty głos wydostał się z jej krtani. – Czyż ludzkość nie miała zostać odseparowana od rzeczy, które przysparzają nam błędów? Jakim prawem nie jest nam mówiona cała prawda?!

– Kłamstwo, w którym żyjemy sięga o wiele dalej niż mogłabyś sobie to wyobrazić. I to Ty jesteś kluczem do rozwiązania tej zagadki. Wystarczy, że sobie

przypomnisz hasło.

– Jakie hasło?! Ja o niczym nie wiem! – echo rozchodziło się bezdusznym po hektarach pustej powierzchni.

– Zastanów się skąd bierze się prąd na wszystkie maszyny przebywające w tym mieście? Nie ma w jego obrębie żadnej elektrowni. A przecież bez elektryczności cała nasza społeczność była by nic nie wartą kupką gruzu – mówił spokojnie, jakby opowiadał to już setki tysięcy razy niezliczonym osobom na przestrzeni wieków.

– To oczywiste jest pozyskiwany spoza granic muru. Z barbarzyńskich plemion, które tam bytują i cały czas próbują napaść naszą ojczyznę.

– A gdybym Ci powiedział, że role są odwrócone? To my jesteśmy tymi barbarzyńcami, jak to ujęłaś i to my produkujemy prąd dla setek milionów ludzi żyjących za wysokim murem i pod sztucznie stworzonym błękitnym niebem?

– Przecież to nie możliwe... Jesteśmy tutaj oddychamy, czujemy i żyjemy.

– Ale taka jest prawda... To już dawno zaczęło się dziać. Wszystko co nas otacza to tylko projekcja naszych umysłów, zaprojektowanych przez najstarsze ludy byśmy byli jak najbardziej użyteczni. W im większym stresie żyje człowiek tym więcej energii wytwarza i zadaniem, każdego z nas tutaj zgromadzonego jest analizowanie struktury umysłowej pojedynczego osobnika i wysłanie go do takiego zadania by przyniósł jak najwięcej korzyści.

– Ale jak? Przecież to my byliśmy tymi wybranymi

– kolana się pod nią bezwładnie ugięły. Jej czarne spodnie dotykały krwi nieopodal niej.

– Wszystko działo się przed „Wielkim Objawieniem” zarządcy tamtejszego świata postanowili ograniczyć ilość ludzi na świecie. Ziemia była strasznie zanieczyszczona, przestała istnieć jakakolwiek roślinność, a wojny pożerały wszystko. Pojawiła się wtedy najbogatsza rodzina na świecie. I człowiek, który stał na jej czele ciągle powtarzał: „Trzeba chronić naszą przyszłość, nasze dzieci”. Cały świat został podporządkowany tej myśli. W tym świecie też tak jest, nie zauważyłaś jak wielkie znaczenie mają nowo narodzone dzieci? Każdy dzień urodzin jest traktowany jak święto państwowe.

– Tak więc wszystko zostało ustalone przez jakiegoś faceta, który miał dużo kasy i miał bzika na punkcie przyszłości? Wszystko to co nas otacza zostało zbudowane przez słowa jednego człowieka? Jestem więźniem nieistniejącej rzeczywistości bo jakiś popapraniec tak chciał?!

– Z grubsza tak to właśnie wygląda. Jednak ten mężczyzna nie wątpił w to, że Ziemia się zregeneruje i znów będzie zdolna do wydawania plonów. Więc wybrał swoją rodzinę i umieścił głęboko w jej podświadomości hasło, dzięki któremu wszyscy będziemy wolni. Człowiek ten nazywał się Władimir Serej. Jesteś jego potomkinią czyli automatycznie wiesz jakie jest hasło.

– Ale ja nie znam żadnego hasła... To co mówisz jest absurdałne. Nie ma możliwości bym żyła gdzie indziej niż tu i teraz! Poza tym jaką mam pewność że to

co mówisz jest prawdą?

– Możesz mi nie wierzyć, ale w głębi samej siebie wiesz, że to co tu jest nie jest realne. Tylko Ty możesz odłączyć się i sprawdzić jak jest na zewnątrz, a jeśli wszystko będzie tak jak powinno być to odłącz wszystkich nas. Pora najwyższa byśmy zaczęli naprawdę żyć.

– A co z osobami, którym niby nasze organizmy dostarczają energii? Co z nimi? Bez energii umrą? – wypytywała zaciekawiona i zarazem wstrząśnięta nowymi odkryciami.

– Nie umrą, przecież to tylko elektryczność, wcześniej czy później nauczą się bez niej żyć i albo pozostaną wewnątrz muru albo z niego wyjdą.

– Jak mam odnaleźć to hasło? Nawet nie wiem jakie by ono mogło być.

– Na pewno wiesz... Wystarczy, że sobie przypomnisz.

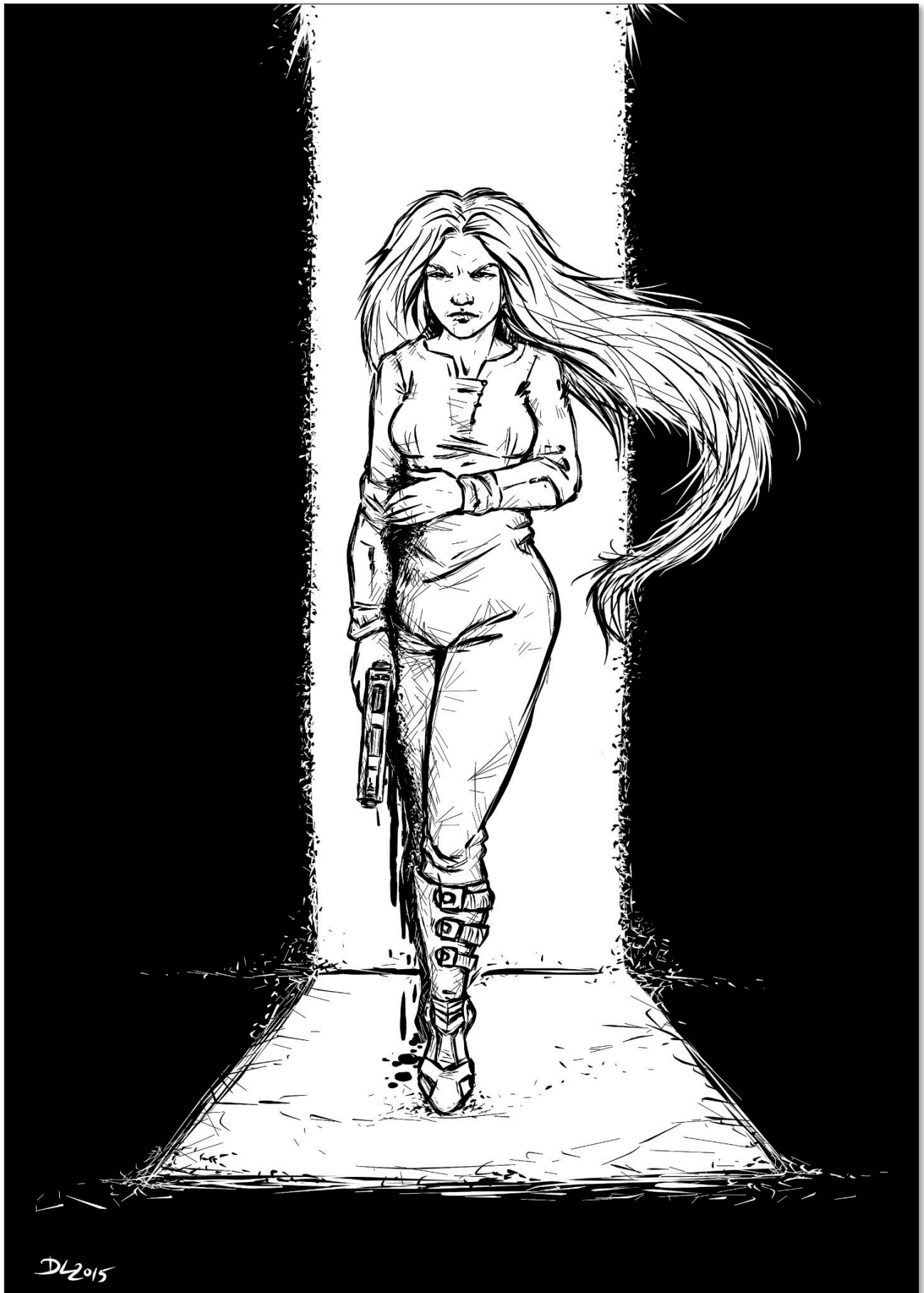
Siedziała zamyślona nad dziwnymi słowami z jej życia, które mogłyby być hasłem. Przetoczyło jej się przez myśl wspomnienie dzieciństwa, kiedy to dziadek opowiadał jej bajki, i za każdym razem opowieść była o dziewczynie z tym samym imieniem. Zniknęła z pięknej i jej ukochanej rzeczywistości. Obudziła się pośrodku niczego, oblepiona była gęstą zieloną mazią. Jej ciało nie było tym, które pamiętała. Brak mięśni i włosów ją przeraził, zwłaszcza, że leżała na zimnej szklanej podłodze. Przed nią widniało mnóstwo napisów w różnorodnych językach oraz strzałki prowadzące w głąb korytarza, w którym się znajdowała. Z niewyobrażalną



trudnością się podniosła i pełza niczym glista do czerwonego punktu przed nią. Zorientowała się, że przez szczeliny w metalowych płytach okalających drogę dostawały się maleńkie pnącza roślin. Wchodząc, do kabiny z wielkim oknem na okolicie wiedziała, że już nic nie będzie takie jak kiedyś. W myślach mówiła, że spełni swą powinność wobec jej przodków. Stanęła, przy wielkim panelu kontrolnym i naciskając jedyny guzik znajdujący się na nim, modliła się o to by wszystko poszło bezproblemowo. Ekran przed nią pokazał komunikat mówiący o tym by podała hasło.

– D...d...d... Deva... Hasłem jest Deva to moje imię

– następny komunikat oświadczył, że hasło zostało przyjęte. Z sercem wolnym od brzemienia, które niosła podeszła powoli do szyby, po tym jak się o nią oprąła czołem śniła o wspaniałym życiu, które teraz czeka ich wszystkich. Zielone łąki, piękne lasy i krystaliczne czyste wody, aż błagały aby wykorzystano je w rozsądny sposób. Powtarzała w myślach to co mówili jej przodkowie, że trzeba chronić przyszłość ale tym razem nie tylko dzieci ale też wszystko co ich otacza. Bez tego zgubią ponownie swą właściwą drogę.



Cyfrowa samoświadomość

Agnieszka Muth



Tego dnia jak zwykle Dawid otworzył oczy punktualnie o szóstej rano. W pomieszczeniu, w którym aktualnie przebywał, wszystkie urządzenia od razu weszły w stan gotowości, a sam użytkownik spojrzał na cyberblat swojego podręcznego monitora IP. Widząc, że jego stan jest jak zwykle ustabilizowany, a jedyne co musi zrobić przed wyjściem do pracy to podbudowanie swojego HP spokojnie wstał i nacisnął odpowiedni skrót na wyświetlaczu. W mgnieniu oka tuż przed nim pojawiło się soczyste, czerwone cyberjabłko, które już po chwili wniknęło w jego cyfrową strukturę. W sumie cała procedura go nie dziwiła, od lat co rano przeżywał dokładnie to samo, ale dzisiaj wyjątkowo jedna rzecz wydała mu się niezwykła. Podczas kiedy wybierał swój dzisiejszy pixsuit dręczyły go wątpliwości dotyczące kształtu jaki przybierała codzienna dawka HP. Przez myśl przemknęło mu: „Dlaczego te cyberjabłka są czerwone? Właściwie dlaczego mają one w ogóle jakąś formę? Przecież koniec końców chodzi tylko o HP...”. Szybko jednak odrzucił od siebie te natrętne myśli i zajął się resztą swoich codziennych czynności.

Po zdecydowaniu się na klasyczny wzór pixsuitu o nazwie HUMAN opuścił swoje skromne lokum, które z bliżej nieokreślonych powodów nazywano mieszkaniem. Dziwiło go to tym bardziej, że w sumie poza wirtualnym łóżkiem i dużym wyświetlaczem, który w razie potrzeby emitował wszelkie chwilowo potrzebne

dotatkowe urządzenia, nie znajdowało się tam nic. Po prostu białe ściany stanowiące wyblakłą pustą przestrzeń symbolizującą jego dotychczasowe życie. Jednak najgorsza w nim była dziwna wszechogarniająca tęsknota. Dawid nie miał pojęcia za czym tęskni, ale to dziwne uczucie nie dawało mu spokoju. Postanowił jednak na razie się nad tym nie zastanawiać, bo Sławek znowu będzie miał doskonały powód do krytykowania go. Cicho westchnął i podążył przed siebie znanym doskonale światłowodem wprost na spotkanie z wyżej wymienionym mężczyzną. Chociaż trudno stwierdzić, czy faktycznie nim był. Owszem, na co dzień nosił raczej męski rodzaj pixsuitu, a jego nick według archaicznych standardów również miał wskazywać na płęć męską. Jednak w dzisiejszych czasach nigdy nie mogłeś być stuprocentowo pewny czyjejś tożsamości. Każdy był tym lub czym chciał, więc można spokojnie powiedzieć, że pojęcie płci całkowicie zniknęło z tego cybernetycznego świata. Nikt już nawet nie pamięta dlaczego w formach pixsuitów są rodzaje męskie i damskie. Cóż, w tym idealnym świecie każdy może być wszystkim, nawet tym czym udaje, że chciałby być.

Po chwili Dawid zobaczył dobrze sobie znany cybermonitor HP z zapisanym drobnym maczkiem fałszywym IP. Znał ten ciąg cyfr na pamięć i mimowolnie uśmiechnął się pod nosem na jego widok. Co jest zjawiskiem niezwykłym znał on również jego prawdziwy

numer IP. Sprawa ta nie byłaby może tak dziwna gdyby nie fakt, że w tym wirtualnym świecie każdy zatajał swoje dane w obawie przed atakiem hackerów, z którym wiązała się utrata cennych plików. Jednak nie tylko przed nimi starano się szyfrować swoje IP. Największym zagrożeniem byli moderatorzy sieci. Jeśli jakiś adres trafił na listę podejrzanych o złamanie jakiejkolwiek niepisanej zasady obowiązującej w tym cyberświecie bez zasad był usuwany. Na zawsze. Wszelka wiedza i pamięć o nim były kasowane. Wszystkie te działania były równoznaczne z tym, że ten adres nigdy nie istniał, ponieważ nie miał do tego prawa. Zatem kiedy znało się czyjeś prawdziwe IP oznaczało to, że było się z tą osobą naprawdę blisko. Można użyć tutaj słowa „przyjaciel”, chociaż tak samo jak z mieszkaniem budziło ono w Dawidzie bliżej nieokreślone uczucie tęsknoty. W miarę zbliżania się do Sławka zobaczył on również wyraźniej jego pixsuit i ze zdziwieniem zauważył, że zdecydował się on dzisiaj, tak jak on, na klasyczny model HUMAN. Przyspieszył kroku. Został dostrzeżony tak jak zawsze dokładnie, gdy był w odległości zaledwie paru metrów od niego.

– Jak zwykle punktualny – zauważył na widok nadchodzącego Dawida. – Nadchodzi idealnie o godzinie 6, minut 15 i 48 sekund. Czy ta powtarzalność cię nie irytuje?

– Bardzo śmieszne – skwitował zapytany. – Powiedział to ktoś, kto codziennie stoi tutaj dokładnie o tej samej porze, a przychodzi tylko 5 sekund wcześniej. Czy ty wiesz w ogóle co to jest spóźnienie?

– Oczywiście, przecież to proste – odparł Sławek urażony. – Spóźnienie dotyczy przesyłu danych. Zdarza się, kiedy za dużo adresów chce się nagle przesłać na dużą odległość. O ile pamiętam, to ostatnio miało to miejsce około 10 lat temu w okolicach Cybermoskwy... Co się wtedy stało?

– Czy nie chodziło przypadkiem o dużą działalność hakerską w tamtym rejonie? Chyba namieszcili coś z kompilacją mieszkań i większość adresów IP zdecydowała się znaleźć nagle inne lokum.

– Faktycznie... – w zadumie odparł Sławek, po czym spojrzał przenikliwie na swego kompana. – O ile się nie mylę całą sprawę później zbagatelizowano, a sprawców skasowano.

– Tak, ich adresy na zawsze opuściły nasz świat. To trochę przygnębiające. Ta perspektywa, że wystarczy jedno kliknięcie w prawdziwy kod IP i od razu przestajemy istnieć...

– Szkoda ci ich? – spytał ze zdziwieniem Sławek. – Przecież to kryminaliści! Zresztą cała sprawa odbyła się humanitarnie i zgodnie z prawem. Zostali usunięci bezboleśnie, a my nie musimy obawiać się więcej ich kodów źródłowych.

– Co rozumiesz poprzez humanitarne usunięcie? Czy ty wiesz, co w ogóle oznacza to sformułowanie? Czy my, którzy nie mamy uczuć możemy mówić o bezbolesnym kasowaniu czyjegoś adresu?

– Znowu filozofujesz... – ze zrezygnowaniem odparł Sławek. – Dawid, daj sobie z tym spokój. Wiesz równie dobrze jak ja, że w tym cyberświecie, wszystko jest

dozwolone. Oczywiście, po za hakingiem i innymi rzeczami, które mogłyby uderzyć w podstawy działalności naszej cyberprzestrzeni. Na tym właśnie polega nasza egzystencja. Na czerpaniu przyjemności z bycia czym chcemy! Jesteś zresztą tego niezbitym dowodem. W końcu dzisiaj nawet ty wybrałeś model HUMAN swojego pixsuitu. Ostatnio codziennie wybierałeś formę jakiegoś zwierzęcia – psów, krów, a nawet koni! Wczoraj byłeś chyba kotem... Czy to był cat-x0990? Ten z czarnym futrem?

– Masz dobrą pamięć do takich rzeczy – skwitował lakonicznie zapytany. – Tylko, że nie robiłem tego tylko ze względu na samą ideę bycia oryginalnym. Tu chodziło o coś więcej... Po prostu im więcej form przybierałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że nie robi mi różnicy czym właściwie jestem. Czy byłem niezgrabnym słoniem, czy małą myszką dalej czułem dziwną pustkę. To dziwne uczucie być nikim.

– A czym chcesz być? – zapytał z ironią idący powoli obok Dawida Sławek. – Nie zmienisz faktu, że jesteśmy tylko zbiorowiskiem kodu źródłowego oraz pixeli. Masz pełną swobodę działania. Sam decydujesz czym jesteś. Możesz być wszystkim, to jest właśnie prawdziwe piękno naszego świata. Czego chcesz więcej?

Dawid na chwilę sposepniał pogrążony we własnych rozmyślaniach. Nieobecny wzrokiem wpatrywał się w biały nieboskłon, po którym do pracy leciały adresy w formie bat-z340 oraz vampire-e50. W tej rzeczywistości wszyscy byli dokładnie tym na co mieli ochotę. W sumie nic nie stało im na przeszkodzie, o ile

mieli wystarczająco dużo goldów lub trochę talentu do pisania kodów. Chociaż nawet te zdolności można było kupić. W gruncie rzeczy wszystko opierało się na goldach: kupić i sprzedać, bogacić się i ulepszać.

„Cóż za ironia” – pomyślał Dawid nim odpowiedział na pytanie przyjaciela.

– Czy nie wydaje ci się, że ta nasza swoboda w byciu czym chcemy sprawia, że tak naprawdę nie jesteśmy niczym? Wtedy kiedy możesz być wszystkim, a nawet masz możliwość zabrania tożsamości innym, to w gruncie rzeczy stajesz się częścią pustki. Wszechogarniającej, bezdennej przestrzeni, która nas pogrąża. Możemy być wszystkim, a jesteśmy niczym.

– Za dużo bzdur czytasz w tej swojej pracy – podsumował jego wypowiedź Sławek. – Dlaczego zostałeś akurat cenzorem? Przecież spokojnie mogłeś zostać programistą. Do tej pory nie mogę zrozumieć, dlaczego odrzuciłeś taki prestiż. Zamiast stać się częścią elity naszego świata, ty wolałeś to wszystko odrzucić i zostać osobą, która przeredagowuje ebooki pod współczesne społeczeństwo. Nie nudzi ci się ta praca?

– Nawet nie wyobrażasz sobie ile dzięki niej jestem w stanie się dowiedzieć – powiedział z nagłym ożywieniem Dawid. – Wiesz ile informacji jest w nich zawarte? To są prawdziwe skarby, perełki naszej kultury, kopalnie informacji! Zawierają opis tego czym byliśmy przed zejściem do cyberprzestrzeni. Kiedyś wszystko było inne. Nie byliśmy tylko adresami IP, ale organizmami zbudowanymi z materii organicznej. My czuliśmy! Nawet coś tak niewyobrażalnego jak zimno lub wiatr!

– Bełkoczesz, jakby jakiś bug ci namieszał w kodzie – odparł z sarkazmem Sławek. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, co za herezje wygadujesz? Jaki wiatr, jakie zimno? To przecież jakieś bzdury! Pamiętasz jeszcze nasze pierwsze programowanie w szkole? Ten pamiętny dzień, kiedy dowiedzieliśmy się wszystkiego o naszym świecie? To co mówisz jest zupełnie sprzeczne z tym, co nam tam zaimplementowali. My zawsze byliśmy formami kodu.

– Nie, to nie prawda – powiedział z przekonaniem Dawid. – My byliśmy czymś więcej. Byliśmy istotami żywymi. My żyliśmy, czuliśmy i mieliśmy zdolność do empatii.

– Empatia? To brzmi jak jakiś termin z dziedziny fantasy. Chyba powoli tracisz kontakt z rzeczywistością.

– Nie, jestem jak najbardziej przy zdrowych zmysłach – odpowiedział marszcząc brwi. – Dlaczego cię to tak dziwi? Czy nie pamiętasz, jak mówili nam o tym, że nasz świat składa się z poziomów? My aktualnie znajdujemy się na najwyższym jako najbardziej zaawansowane adresy, ale może na niższych poziomach znajdują się jeszcze jednostki, które pamiętają czasy życia na powierzchni? Może...

Dawid zaczął, ale Sławek błyskawicznie odciął mu możliwość komunikacji. Dawid spojrzał na niego z wyrzutem i zaczął gestykulować w celu poznania powodu tego dziwnego zachowania przyjaciela, który teraz rozglądał się z niepokojem dookoła. Kiedy wreszcie po chwili ruszyli w dalszą drogę Sławek dalej się z niepokojem przyglądał mijającym ich danym, aż

wreszcie uspokoił się na tyle by spojrzeć w stronę Dawida.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę po jak cienkim gruncie właśnie stąpasz? – zaczął i widząc, że jego przyjaciel najchętniej by mu przerwał dalej blokował mu możliwość komunikacji. – Nie wiesz, że jesteśmy cały czas pilnowani przez moderatorów sieci? W każdej chwili mogą cię usunąć na zawsze i nikt nie będzie o ciebie pytał, pamiętał cię i przejmował się twoim brakiem. Twoja egzystencja zostanie wymazana wraz z twoim kodem źródłowym i adresem IP. Chcesz tego? Moim zdaniem, szkoda tracić tak wartościowy kod z takich powodów. To jest cena jaką płacimy za naszą nieograniczoną swobodę. Nie możemy zająknąć się nawet słowem o niedoskonałości naszego cyberświata. Rozumiesz? – Dawid powoli pokiwał głową, a Sławek już mniej zdenerwowany przywrócił mu możliwość komunikacji. – Mam nadzieję, że więcej nie będziesz mówił o tych bzdurach.

– Bzdurach, mówisz? – odparł zrezygnowany Dawid. – Dobrze, nie będę o tym mówił. Jednak nie przestanę dalej się tym interesować, rozumiesz?

– Uparty jak zawsze... – westchnął Sławek. – Dlaczego musiałeś fabrycznie mieć wmontowany chip bezsensownego uporu? Bez niego byłby z tobą łatwiej.

– Mam wiele funkcji, które ty zapewne uznałbyś za bezsensowne – skwitował osądzany. – Po prostu takim mnie stworzono. Mam taki, a nie inny kod i nie zmierzam go zmieniać.

– Eh... w końcu się zużyjesz i co wtedy? Zamierzasz

tak po prostu sam usunąć swój adres IP?

– Czemu nie? Nie widzę powodu dla którego miałbym funkcjonować wiecznie.

– Wiesz, czego ci potrzeba? – nagle powiedział ożywionym głosem Sławek – Znajdź sobie jakiś kod i zainwestuj w przyszłość. Mam na myśli D.Z.I.E.C.K.O. To inwestycja długoterminowa i na pewno ci się opłaci. Wiem, bo sam niedawno w jedno zainwestowałem swoje fundusze razem z tym adresem, który ci ostatnio przedstawiałem. Niestety, ale części są dość kosztowne i trudno zrobić to samemu.

– D.Z.I.E.C.K.O.? Masz na myśli Długookresową Zaawansowaną Inteligencję Edukowaną Całkowicie Korzystając z Obrazowaniacybermagnetycznego? Co mi po niej? Nie widzę sensu w posiadaniu takiego czegoś.

– Nie rozumiesz... – westchnął jego przyjaciel. – Też na początku podchodziłem do tego nieco sceptycznie, ale to świetna zabawa stworzyć coś, co będzie ci posłuszne, a za parę lat będzie dbało o twoje unowocześnianie. Przecież taką ma funkcję, nieprawdaż? Do tego dochodzi również fakt, że dzięki niemu możesz wspiąć się na górę po szczeblach hierarchii społecznej. Mam nadzieję, że nasze D.Z.I.E.C.K.O. zostanie programistą... albo jeszcze lepiej moderatorem! Czyż to nie świetna perspektywa? Byłbym wtedy w niewielkiej odległości od rządzących tym światem, ba miałbym nawet wpływ na jednego z nich! Wiesz ile goldów w nie zainwestowaliśmy i jak dużo drogich, zaawansowanych technologicznie części kupiliśmy? Nawet sami zainwestowaliśmy w wersję

rozwojową modułu *parent-feelings045*, by nasza inwestycja prawidłowo funkcjonowała. Dzisiaj poszła ona do szkoły, więc jeszcze po pracy dowiemy się ile informacji udało im się jej wgrać i czy nadaje się do zrealizowania naszych planów. Dużo po niej oczekujemy, ale teraz nie pozostało nam nic tylko czekać, aż nasza inwestycja się zwróci. Pomyśl, co mógłbyś zrobić ze swoim kodem i jaką świetlaną perspektywę miałbyś przed sobą. Musiałbyś tylko dalej funkcjonować i ciągle się ulepszać.

– Wiesz, w całym twoim przemówieniu czegoś mi brakuje – Dawid przystanąwszy i spojrzawszy w oczy przyjacielowi powiedział dalej. – To coś, o czym przeczytałem w pewnym ebooku nim zdecydowano o jego usunięciu. Jak to się nazywało... a już wiem! Brakuje tu miłości – dokończył zadowolony z zapamiętania tak trudnego pojęcia.

Sławek zatrzymał się i zdezorientowany spojrzał na Dawida, który autentycznie widział sens w przed chwilą wypowiedzianych przez siebie słowach. Jednak nim ten się zorientował, że jego poglądy nie trafiły do jego przyjaciela wybuchnął on głośnym niepo- hamowanym śmiechem. Dawid zdezorientowany przyglądał się temu dziwnemu zjawisku, którego właśnie doświadczał Sławek. Zanotował w pamięci:

„Kąciki ust uniesione do góry, usta otwarte i ten dziwny hałas... Co za chip ten adres znowu zakupił? Chociaż już chyba o takiej reakcji kiedyś czytałem. Gdzie to było? Pewnie w jakimś ebooku przeznaczonym do usunięcia. Co za widok.”

Gdy przyjaciel wreszcie odzyskał spokój jeszcze przez chwilę patrzył na niego z niezrozumiałym wyrazem twarzy.

– Zapomnij o D.Z.I.E.C.K.O. i lepiej wyślij się gdzieś. Ta twoja praca tylko namieszała ci w kodzie. Uważaj, bo niedługo moderatorzy usuną cię pod pretekstem czyszczenia niesprawnych adresów IP. Jak ty to nazwałeś? Miłość? Co to jest? Przecież to nie istnieje. Na czym miałyby to niby polegać?

– No, z tego co pamiętam to był jakiś rodzaj więzi, szczególnego przywiązania – odparł z wahaniem Dawid.
– Ludzie przejmowali się sobą nawzajem i troszczyli się o siebie... Było nawet kilka jej odmian, szkoda że ich nie pamiętam.

– Czy ty masz wbudowany moduł abstrakcyjnego myślenia? Przecież to jakiś nielogiczny wymysł. W tym świecie adresy dbają tylko o swój własny interes i nic więcej. Liczy się tylko zysk i to ile masz goldów. Zresztą co to są ludzie?

– Nasi poprzednicy, albo jeszcze inaczej: nasz pierwowzór – powiedział ledwo słyszalnym głosem Dawid.

– Daj sobie z tym spokój – powiedział z machnięciem ręki Sławek. – Weź wolne od pracy i wyślij się na inny serwer. Pomyśl o Cyberparyżu albo Cyberrzymie. Wakacje dobrze ci zrobią. Uporządkujesz dane i sformatujesz się na nowo.

– Może... sam nie wiem – odparł z wahaniem Dawid.
– Żadne „może”. Po prostu to zrób. Mówiąc o odpoczynku, widziałeś ostatnią walkę Legend? Była

niesamowita. Zawodnicy naprawdę dali z siebie wszystko, a niektórych z pola walki musieli siłą sprowadzać do bazy, bo znaleźli się na skrajnie niskim poziomie HP.

– Nie oglądam tego. Legend jest takie brutalne – stwierdził Dawid i spojrzawszy w niebo kontynuował. – Po co walczyć ze sobą ku ucieście tłumu? Po co krzywdzić innych? Naprawdę nie rozumiem tej ideologii. Fakt, że nie odczuwamy bólu nic nie zmienia. No i tak krew... Nawet nie wiem do czego ona służy, ale i tak budzi we mnie niesmak pomieszany z dziwnym nieuzasadnionym lękiem. Zawsze mam wrażenie, że adresy które ją oglądają same chciałyby kogoś doprowadzić do takiego stanu. Ta czająca się wszędzie agresja i przemoc mnie przeraża.

– Znowu przesadzasz – powtórzył zrezygnowany dzisiejszą rozmową Sławek. – To leży w naszej tradycji. Zawsze były organizowane walki i imprezy skupiające tłumy zainteresowanych tym adresów.

– Masz rację, że one zawsze były – odparł po chwili namysłu Dawid. – Ostatnio czytałem o organizowanych w dawnych czasach walkach gladiatorów. Różnica polegała jednak na tym, że w tych igrzyskach naprawdę umierali ludzie. Oni byli torturowani i mordowani w brutalny sposób. Nie rozumiem jednak, dlaczego mamy kultywować coś tak brutalnego. Ta żądza mordu i krwi jest straszna.

– Ty znowu o tych swoich ludziach – Sławek przewrócił oczami. – Daj im już spokój. Oni istnieli KIEDYŚ. Teraz jesteśmy my – adresy. Jesteśmy ich

wyższą formą. Pozbyliśmy się ciał i ewoluowaliśmy. Skończ już z tą przeszłością, nie wiesz nawet czy to co mówisz to rzeczywiście prawda. W szkole mówili o nich jak o mitycznych przodkach. Nie udowodniono ich istnienia. Jedyne co po nich zostało to księga twarzy, która nie jest zbyt wiarygodnym źródłem informacji. Fakt, że była ona początkiem naszego istnienia, bo to dzięki niej wszyscy znaleźliśmy się w sieci i zaczęliśmy prowadzić tu egzystencję, ale nie należy jej traktować jako coś ostatecznego. Funkcjonujemy teraz bez trosk, bólu i cierpienia, o których wspomina się w podaniach i legendach. Powinniśmy być z tego zadowoleni.

– Ja wiem, że oni istnieli – powiedział kończąc temat Dawid. – Księga twarzy to potwierdza, w końcu zawiera szczegółowe dane o każdej osobie. To był pierwowzór naszego Centrum Moderatorów, które sprawuje władzę nad tym miejscem!

Obydwoje powoli zbliżali się już do celu swej porannej podróży. Znajdowali się teraz w długiej i szerokiej hali, w której rozciągały się tysiące takich samych białych drzwi. Dawid wypowiedziawszy ostatnie zdanie do końca już spostrzegł wejście do miejsca, gdzie miał spędzić następne kilkanaście godzin nim znów uda się na spoczynek odbudowujący HP. Pomieszczenie jak zwykle zrobiło na nim niemiłe wrażenie, a towarzyszące mu uczucie pustki nasiliło się pomimo obecności Sławka. Zadrżał na całym ciele i pożegnawszy się z przyjacielem udał się ku odpowiednim drzwiom. Wprowadził odpowiedni kod i umieściwszy odpowiednią opłatę za usługę otwarcia przejścia wszedł do środka. Całe

pomieszczenie w którym się teraz znalazł nie różniło się specjalnie od poprzedniego. Jediną różnicą był rozmiar oraz ilość drzwi, bowiem tutaj znajdowały się już tylko trzy. Jedne prowadziły do zarządu, drugie do recepcji, a trzecie miały zaprowadzić go do głównej hali cenzurowej. Skierowawszy się ku ostatnim z nich wszedł do środka, również po umieszczeniu stosownej opłaty.

„Czy musimy wszędzie i za wszystko płacić? Nawet drzwi w tym świecie sobie dorabiają za usługę” – pomyślał wchodząc i zajmując swoje codzienne stanowisko.

Dzisiaj również pojawił się w pracy jako pierwszy. Specjalnie chodził co rano ze Sławkiem, który zaczynał pracę wcześniej, aby choć przez chwilę móc w samotności rozkoszować się zakazanymi ebookami, które mają zostać dopuszczone do obiegu dopiero po przejściu odpowiedniej cenzury.

Czuł jak jego kod źródłowy kompiluje się na nowo w szaleńczym tempie. Sięgnął w stronę dobrze sobie znanej bazy zawierającej spis wszystkich kiedykolwiek ocenianych ebooków. Szybko zajął się przeglądem dostępnych tam danych nie mogąc się zdecydować na konkretną pozycję. Po chwili jednak nagle jego uwagę przykuł dziwny specjalnie zabezpieczony plik, którego nawet on jako cenzor nie miał prawa otworzyć. Zdziwiło go to, a zarazem zaciekało do tego stopnia, że pomimo bezwzględnego zakazu odczytu ebooków, do których nie jest się upoważnionym, postanowił złamać zasady. Nazwa pliku również wyglądała interesująco, a tytuł: „Słów kilka o prawdziwym i udawanym życiu”

tylko potęgował chęć sięgnięcia po tą pozycję. Dawid miał talent do łamania i pisanie kodów. Nie był hakerem, chociaż nie raz różne środowiska przestępcze proponowały mu współpracę. Jednak nigdy nie wykorzystywał on swoich umiejętności w złych celach. W tym momencie nagiął jednak wszystkie wyznawane wcześniej zasady i opanowany przez wszechogarniającą ciekawość łamał zabezpieczenia tajemniczego pliku jedno po drugim nie zważając przy tym na mających niedługo nadejść innych pracowników i moderatorów obserwujących działania wszystkich członków cyberświata. Po chwili intelektualnego wysiłku ebook otworzył się przed Dawidem, który łapczywie rzucił się do przeczytania zawartych w nim treści. Nie wiedział, co dokładnie zamierzał w nim znaleźć, ale to co ujrzał przewyższyło wszystkie jego oczekiwania. Zawierał on opis ostatnich dni zanim ludzie przenieśli się do cyberprzestrzeni. Zaraz po ochłonięciu z pierwszego szoku zajął się lekturą:

„Nie wiem czy te słowa dotrą do kogoś, kto uwierzy w zawartą tu historię. Jest ona bowiem o tyle fantastyczna jak i prawdziwa. Teraz już zapewnenikt nie pamięta ostatnich chwil, w których ludzie pozostawali ludźmi a nie, pozbawionymi wszelkich uczuć adresami. Serce mi pęka, w chwili gdy piszę te słowa. Z drugiej strony czy adres jest w stanie zrozumieć to sformułowanie? Jak doszło do zastąpienia nas ludzi waszym istnieniem i w jaki sposób przejęliście władzę nad wszystkim? To jest akurat bardzo prosta historia. Można powiedzieć, że tym co nas zgubiło była chęć

dążenia do ideału i postawienia się na miejscu Boga. Wybudowaliśmy swoją własną współczesną wieżę Babel, a teraz za nią płacimy swoją własną egzystencją i utratą naszego człowieczeństwa.

Zaczynając jednak od początku. Pomimo upływu tylu lat istnienia gatunku ludzkiego, dalej dążyliśmy do samozagłady. Sami sprowadziliśmy na siebie wyrok śmierci. Nie przypominało to jednak masowych morderstw, epok prześladowania i bestialskiego zachowania z jakim mieliśmy do czynienia w XX wieku podczas II wojny światowej. Nikt nie próbował podbić świata w celu stworzenia odpowiedniego miejsca dla naddludzi. Nie był to również wyścig zbrojeń, a wbrew przewidywaniom stawianym przez różne wybitne jednostki do końca naszego gatunku ludzkiego nie doprowadziły głowice nuklearne. Nie, los który zgłodził sobie człowiek jest dużo gorszy i o wiele bardziej wyrafinowany. Nie uśmierciliśmy bowiem naszych ciał i umysłów. Zrobiliśmy coś o wiele gorszego – uśmierciliśmy nasze uczucia oraz dusze. Czymże jest człowiek bez uczuci duszy, dzięki którym jest w stanie współodczuwać innymi ludźmi? Potyłu latach badań i doświadczeń, które miały pomóc ludzkości zgubiliśmy samych siebie oraz zdolność do postrzegania dobra i zła.

Drogi czytelniku, potraktuj ten tekst jako spowiedź człowieka, który przyłożył rękę do maszyny niszczącej człowieczeństwo. Nie wybaczej mi, nie proszę o to, ale wysłuchaj mej ostatniej rady. Jeżeli jesteś adresem, który czuje wszechogarniającą pustkę to być

może jest dla ciebie jeszcze ratunek. Uczucie to oznacza, że nie pochodzisz z tamtego wymiaru, a twoje ciało dalej przebywa na powierzchni Ziemi w prawdziwym świecie. Musisz wiedzieć, że nie wszyscy ludzie zeszli do cyberprzestrzeni, a na powierzchni dalej są ocalali od tej tragedii. Prawdopodobnie zostałeś do niej przeniesiony przez ziemskich zwierzchników, którzy zajmują się łapaniem zbiegłych ludzi, którzy odmówili wzięcia udziału w projekcie cyberduszy. Możesz wrócić na powierzchnię. Aby to zrobić weź ze sobą ten plik i potraktuj go jako klucz do bramy otwierającej portal transmitujący świadomość do żywego organizmu. Jest jednak jeden szkopuł. Portal znajduje się na najniższym dziewiątym piętrze cyberświata. Poprzejście przez niego powinieneś wrócić do swojego ciała, które ci odebrano i odzyskać swoje człowieczeństwo. Więc jeśli chcesz pozbyć się uczucia pustki odnajdź Zakon Transmitterów działający w podziemiu. Masz szansę stać się na powrót człowiekiem. Nie znamuj jej.

prof. dr hab. inż. cybernetyki Arkadiusz Głowicki."

Dawid tępo wpatrywał się z ostatnie zdanie przeczytanego tekstu nie mogąc uwierzyć w prawdziwość tych słów. W jego głowie tłukło się nieustannie pytanie dlaczego? Jednak nie miał teraz przy sobie nikogo z kim mógłby się podzielić swoim wielkim odkryciem. Żadnemu adresowi nie można było ufać. Wszyscy dbają tylko o własny interes i nie zawahają się zdradzić go zaraz po usłyszeniu tej historii. Machinalnie skopiował plik na swój podręczny

cybermonitor i już zamierzał wyjść z pomieszczenia, by spokojnie udać się na zewnątrz w celu przemyślenia tego niespodziewanego wydarzenia, gdy nagle do pomieszczenia wpadł jego szef wraz z ubranym w charakterystyczny czarny pixsuit moderatorem. Wskazywał właśnie na zdezorientowanego całym zdarzeniem Dawida, który dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że właśnie w tej chwili ma zapasć na niego wyrok.

– To on! – wykrzykiwał szef. – To właśnie jest adres, którego poszukujecie. Od dawna czyta nieocenzurowane książki, a dzisiaj włamał się do bazy i jakimś sposobem zdążył przeczytać zakazany przez was plik przed jego ostatecznym skasowaniem! Zlikwidujcie go!

Dawid patrzył z przerażeniem na zbliżającego się w jego kierunku moderatora. Zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu nim ten ostatecznie pozna jego prawdziwy adres IP.

„Jestem w pułapce. Co za ironia, że nie mam przyszłości w momencie, kiedy wreszcie dowiedziałem się o swojej szansie na przekonanie się czym jest życie” – pomyślał i w tym samym momencie wstąpiły w niego nowe siły oraz chęć walki. Przez myśl przemknęła mu jedyna możliwość, która być może ocali mu istnienie. Szybko zaczął wstukiwać na swoim cybermonitorze wiersze kodu, który miał go przenieść w miejsce, skąd mógłby zejść na niższy poziom. Wiedział, że teraz liczą się sekundy. Jeśli moderator będzie szybszy, zniknie na zawsze, ale jeśli jednak uda mu się go wyprzedzić

N 1

znajdzie się na tyle daleko, by spowolnić swoją egzekucję. W miejscu gdzie chciał się przenieść będzie ich dzieliła wystarczająca ilość danych by odłożyć na chwilę moment skasowania. Z zawrotną prędkością zaczął wstukiwać w swój cybermonitor wiersze kodu od którego zależała jego przyszłość. Szybkość i bezbłądność nie szły jednak w parze... Za każdym razem kiedy wyskakiwał mu jakikolwiek komunikat o błędzie Dawid czuł na swoim IP wpływ moderatora. Pozostały mu już tylko sekundy... teraz już tylko dwie linijki... jedna... ostatnie cyfry... KOMPILUJ. Wtem cisza, ciężka wszechogarniająca cisza. Brak błędów w kompilacji. Dawid już się zegnał w myślach z istnieniem, gdy nagle pomieszczenie w którym się przed chwilą znajdował rozmyło mu się przed oczami, a zamiast tego ujrzał światłowód przesyłu danych. Polecenie, które udało mu się wpisać do swojego monitora było na szczęście odpowiednio zabezpieczone i nawet moderator powinien mieć problem z odczytaniem lokalizacji miejsca, do którego właśnie się wysłał. Powoli odzyskiwał utracone resztki równowagi. Musiał zachować spokój, by jego kod się nie zmącił. Gdyby tak się stało byłby łatwiejszy do zlokalizowania, a tego za wszelką cenę chciał uniknąć.

Po krótkiej chwili był już na miejscu. Zdezorientowany i oszołomiony świadomością, że udało mu się tutaj znaleźć patrzył tępo w przestrzeń nie dostrzegając w pobliżu żadnego adresu ani portalu prowadzącego na niższe kondygnacje. Nagle jednak jego myśli zmąciła wątpliwość.

„Sławek. On przecież zna moje prawdziwe IP” – w momencie, kiedy to sobie uświadomił ponownie zaczął wpisywać linijki kodu do swojego cybermonitora. Po minucie patrzył już na gotowy program mający na celu wymazanie jego istnienia z pamięci Sławka. W duchu dziękował, że zna jego prawdziwe IP i jednocześnie przeklinał całą sytuację, w której się znalazł. Jednak gdyby miał możliwość ponownego podjęcia decyzji o przeczytaniu danego ebooka nie zawahałby się. Postąpiłby tak samo jak tego ranka. Niczego nie żałował, a przynajmniej tak mu się zdawało, bo połowicznie zdawał sobie sprawę z tego czym jest żal. Powrócił myślami do Sławka. Przypominał sobie teraz wszystkie chwile spędzone razem, ich rozmowy i reprimendy, które od niego dostawał.

„Czy on tego dzisiaj przypadkiem nie przewidział? Tego, że znajdą mnie moderatorzy i zostaną zlikwidowani...” – przemknęło mu przez myśl i powtórnie zdał sobie sprawę z tego jak niebezpieczne i nielogiczne było jego postępowanie.

– Przepraszam – szepnął na tym pustkowiu i nacisnąwszy „wyślij” ostatecznie pozbawił się swojego jedyne go przyjaciela. Uczucie pustki się spotęgowało. Do tej pory nie zdawał sobie do końca sprawy ile on dla niego znaczył. Ponownie przeklął swoją nieodpowiedzialność.

Dręczyło go pytanie, czy jego obecne zachowanie jest bardziej ludzkie czy może jednak jest ono charakterystyczne tylko dla adresów. Jak cienka granica jest pomiędzy człowieczeństwem, a byciem bez-

uczuciowym kodem źródłowym? Uczucie pustki, straty i zrezygnowania paliło jego IP. Gdyby mógł wyrażać emocje, zapewne teraz by się rozpłakał. Tylko gdzie on o tym czytał? W tej chwili przeklinał również swoją ciekawość, która doprowadziła do tej sytuacji.

„Co ja teraz zrobię?” – myślał czekając powoli na nieuchronny koniec. Z jego zamyślenia wyrwała go dopiero zbliżająca się w jego stronę postać. Odruchowo chciał się gdzieś schować, ale z przerażeniem stwierdził, że na tym pustkowiu nie ma zupełnie nic. Był doskonale widoczny. Ze zrezygnowaniem zaczął podążać w jej stronę. Nie zostało mu już zbyt dużo czasu. Moderatorzy niedługo odkryją jego prawdziwe IP i zostanie skasowany. Według prawa nigdy nie będzie istniał. Jego nadzieja na zostanie prawdziwym człowiekiem zniknęła w chwili, gdy nie dostrzegł portalu prowadzącego na niższe piętra. „Może od samego początku miało się to tak skończyć” – pomyślał, gdy powoli zaczynał dostrzegać szczegóły wyglądu zbliżającej się do niego postaci. Była ubrana w długi przypominający płaszcz brązowy pixsuit. Twarz nieznajomego skrywał obszerny kaptur nasunięty na oczy. W chwili gdy znaleźli się zaledwie metr od siebie niespodziewanie usłyszał z jego ust pytanie:

– Dokąd zmierzasz człowieku?

Dawid stanął zaskoczony tym doborem słów.

„Dlaczego powiedział do mnie człowieku?” – pomyślał ze zmęczeniem i świadomością, że tak oto w tej ostatniej chwili jego istnienia los okrutnie z niego zadrwił.

„Cóż za piękna igraszka w jego rękach, ten nasz byt”

– stwierdził z przekąsem. Spojrzał z ukosa na nieznajomego i bez zastanowienia odruchowo odparł:

– Tam, gdzie będę mógł poczuć prawdziwe ciepło.

Nieznajomy uśmiechnął się, a Dawid na chwilę mógł zobaczyć jego twarz. Smagłą, pełną czegoś za czym tęsknił od lat. Niezrozumiałe puzzle układanki nagle zdawały się wracać na swoje miejsca. Chciał na nią patrzeć bez końca, aż w pewnym momencie zrozumiałby sens swojego istnienia. Niestety nie miał jednak okazji przypatrzeć się jej dłużej niż tą zbyt krótką chwilę, bo niedługo potem jedyne co był w stanie usłyszeć to słowa wypowiedziane gdzieś w przestrzeni: „Dobra odpowiedź.” Zaraz potem Dawid zniknął w strumieniu światła, po prostu się rozpułnął. Jego adres IP zniknął z tego poziomu, a on przez chwilę czuł, że zdobył utraconą wcześniej część swojej samoświadomości.



Projekt Demini

Dominik Piechowiak



Obligatoryjny wycinek pamiętnik – tekst źródłowy dla historyk z przyszłość.

Data pochodzenie: 23.41.15'398.23

Dzięki uprzejmość agent Domapie, nr ref. 22/9/1996/7/16/50

Przed przeczytanie i opisanie uprzejma prośba o upewnienie się w lokalna siedziba rząd Związek Piętnaste Tysiąclecie, czy zasób intelektualny o nr ref. Wd45lxxyxyzju89-wf90zhzhzhghy78 być odtajniony. W przeciwny wypadek należeć zamknąć czytnik i poinformować najbliższy posterunek Żandarmeria Planetarna. Pod żaden pozór NIE CZYTAĆ!

W raz niemożność bezpośredni kontakt, zadzwonić pod numer 90-213-15-myllenyum i podać nr ref. zasób intelektualny

Miła i owocna lektura!

Fragment pamiętnik agent Domapie, nr ref. 22/9/1996/7/16/50

Ja nie wiedzie kto ja mie zostać. Projekt by tajny jak wszystkie. By my trzy. Ja – numer jeden, on – numer dwa i ona – numer trzy. Cała ekipa zaangażowana w projekt Demini. Oni powiedzie my, że to zmieniać

oblicze walka międzynarodowa, a nawet międzyplanetarna. To mie być, i w istota by, rewolucja w system walka. Odkąd ja dowiedzie się, na czym to tak naprawda polegać, ja nie mó spać w noc. Potem to się zmieni, ja nie mie czas się zastanawiać, myśleć, liczy się tylko misja. Ja myśleć, że nigdy nie udać się zrobić coś ponad to, co my robi w Demini. Móc próbować to udoskonalać, ale na poziom pomysł, idea – nic więcej.

Moja cela by biała, dwa roka na trzy (roka być długa ryba w ocean na Skarlet. Ładna i każda ta sama długość od urodzenie. Naukowcy się zafascynowa i tak to wejść w życie jako jednostka miernicza), mie jedno łóżko na dłuższa ściana, typowy, biały, jak wszystko w ośrodek. Biała lampa pod sufit, dwa biała szafka ukryta w ściana – ja otwiera dotknięcie sensor wbudowany pod biała plastikowa powłoka, pokrywająca całość pomieszczenie. Ani jeden okno, sracz w róg, wysuwany z podłoga, tak sam jak prysznic. Ja nie czyta książka poza podręcznik tajna służba i polityka wielki mocarstwo – Rzym, Aleksander Wielki, ZSRR, Antyterrorystyczny Zespół Państw Półkuli Północnej i cała reszta, która upada na przestrzeń rok. Dzięki to i dzięki seria zastrzyk z Sapienzofialoza i dzięki dwadzieścia lat szkolenie, ja wiedzie, i wiedzieć też teraz prawie wszystko o mechanizm kierujący człowiek. Nie wiedzie dlaczego tak naprawda mimo to, że ja zgłosi się do Demini, a więc tajny program służby specjalne, ja nie przechodzi

dodatkowe szkolenie fizyczne, szkolenie walka w pole, a tylko oni ładowa do ja wiedza i oni polepsza IQ. Ja dowiedzie się dopiero tuż przed całe zamieszanie.

W tamten dzień oni zadzwoni do ja około godzina 26:116 i oni rozkaza zameldować się do generał 121. W gabINET by, oprócz on, dwa osoba, kobieta i mężczyzna, ja wspomina o oni na początek. My sta wyprostowani i na baczność. Trochę my się ba generał, ale, przynajmniej do ta pora, nie spotka my nic zły od on. Cały wydział on lubi, podobnie jak on lubi cały wydział. Ja lubi szkolenie u on.

Biuro generał: biały, jak wszystko w ośrodek, biurko, portret Naczelnik, na biurko telefon, komputer, nic ponadregulaminowy. Służbowo. Porządek. Mój zegarek wskazywa: stężenie podejrzany element – 0%. Wybitny przywódca. Nigdzie taki odczyt nie jest.

Generał: czarny i wyczyszczony mundur, założony bez błęd. Służbista. Siwy włos, nieliczna zmarszczka, ostry rys twarz, duży nos, dwa czarne oko. Na szyja nad kołnierz wytatuowany herb ród. Błyskawicznie ja szuka w pamięć... Duży „M” zrobiony z cztery miecz. Bardzo stary ród. Maksymowicz. Generał Joachim Maksymowicz. Jeden z niewiele obywatel z imię i nazwisko poza numer. To budzić respekt. To budzić zaangażowanie u kadra. Lepiej umierać za ktoś z nazwisko, historia i renoma. 75 rok życie.

Ona: na plakietka napis: Natasza Paskalica. Mundur bez zarzut, ale rozpięty na dekolci, jak zwykle w nasze czasy. Dwa duża pierś, jak każda w nasze czasy. Dwa duże, zielone oko, brązowy włos, fenomenalna

sylwetka. Zegarek napisa: atrakcyjna. Móc podrywać. Szansa sukcesu: 50%. I zaraz potem: Prawdopodobnie inkubator Estet 4000. Bogata. Tym bardzo podrywać. 21 rok życie

On: na plakietka napis: John Malcolm. Na szyja tatuaż ród. Splecione z róża „Z”. Ród Zack. Zegarek zapiszcze mi w ucho. Zegarek wyświetla: Błąd. Zack poza róża ma jeszcze koziorożec. To ród Znyder. Racja. Łysy. Kolor oko niebieski. Blizna na policzek, weteran. To dziwne, u nas nie mieć weteran, wszyscy być nowy. Może on mie jakiś dodatkowy trening. A może, to mieć więcej sens, oni wyrzuci go z ród, a on walczy i dlatego ta blizna i dlatego on dołączy do korpus. 21 lat.

– Witam was – generał lubić archaiczna forma n i e k i e d y. Zegarek wskazywa: forma z pierwsza połowa pierwszy półdecytysiąclecie – Natasza, ty zapiąć mundur.

– Tak być! – ona salutowa i zapina mundur.

Ja przyjrze się ona bliżej. Ona by naprawdę ładna. Ona mie dużo piega. One ja się podoba. Uwaga generał ona przyją bez mrugnięcie i to nie wygląda tylko na efekt trening. By w ona oczy coś, jakiś taki błysk, błysk militarny posłuszeństwo. Ja ucieszy się, gdy ja pomyśle, że my być razem pracować. Ale my wciąż nie wiedzieć jaka ta praca. Ja sobie myślę: Najprawdopodobny nie być to walka na front, za dużo trening umysł i wciąż ta polityka. Chyba oni wysłać nas do sztab, do kierowanie korpus, może nawet w Trzy Kolonia.

– Jak już pewnie wy zauważy, wy szkolenie by inne od pozostały – on spleść dwa dłoń razem na wysokość

klątka piersiowa. – Wy pewnie zauważyła to dopiero, jak wy wyjdziecie do świat. Ja rozumieć, że wy zaliczy test społeczeństwo?

My pokiwa głowami.

– Bardzo dobro. Jak tylko wy wyjść, wy spostrzeka, że wy być bardziej inteligentny od reszta – zegarek tłumaczy trudne słowo. Spostrzeka – forma przyszła od spostrzec. Spostrzec znaczyć zauważyć. Wy rozumieć więcej od zwykły człowiek i pewnie dziwić się ich zachowanie. Pierwsza wytyczna: nie dziwić się, robić swoje i wykorzystywać każdy błąd przeciwnik. Wy zapamiętać to konieczność. My iść zacząć prawdziwe szkolenie. Proszę za mną. Zegarek pika, że „za mną” to forma archaiczna: obecnie „za ja”.

On wprowadzi nas do średni rozmiar sala i wejść do ona głębiej. Cztery biała z dwa wąski, czarny pasek dookoła ściana, biały sufit i biała podłoga, wszystko z mars stal (stal pochodząca z planeta Mars) . Dwa kamera w róg. Na środek, w dwa roka odstęp trzy stół. Na stół dwa holograficzny emiter. Przy każdy z oni metal krzesło a do on przytwierdzony człowiek, każdy z charakterystyczny neurotransmitter na głowa – metal bolec, zakończony czytnik wkrębowany przez czaszka do mózg. Od bolec odchodzący kabel do przetwornik w kształcie sześciąt o krawędź około dwa i połowa roka. Od bryła odchodzący kabel zakończony podobny bolec dla osoba sterująca. Ja się zdziwi, bo ostatni raz ten wynalazek by użyty dwa tysięcy rok temu i zosta natychmiast odrzucony jako niepraktyczny. Sterowanie myśl za pomoc wielki bolec w łeb nie mie sens. To wymaga

bowiem porwanie, uziemienie i wykonanie ryzykowna operacja, co nie opłaca się z dwa powod. Po jeden: uziemienie cel i podłączenie on do neurotransmitter być trudne i mieć wysokie ryzyko zgon. Po dwa: trudno o wiarygodność rozkaz wydawany nie wiedzieć skąd, bez kontakt wzrokowy i bez możliwość szybki powrót. Korpus mie chyba jakiś inny plan. Ja popatrze na dwa bok. Natasza i John też by zdziwiony. Nagle ona mrugną. Ja zreflektowa się natychmiast. Ja postanowi sprawdzić w praktyka moja rozwinięta zdolność animutyczna. Ja zaczą mrugnięcie.

Obserwacja: sprzęt neurotransmisyjny. Stąd: urządzenie do kierowanie myśli osoba podłączona do on. Obserwacja: wysoce niepraktyczny rozwiązanie. Stąd: wymagana modernizacja. Główna przeszkoda: rozmiar. Stąd: wymagany zmniejszenie. Obserwacja: niemożliwe zmniejszenie na poziom technologia. Stąd: konieczne zmniejszenie na poziom atom. Obserwacja: niezbędny sprzęt pomniejszający. Obserwacja: prawo profesor Ołówek: „Możliwy być pomniejszenie do rozmiar graniczny każdy przedmiot, pod warunek, że być on organiczny” To wynikać z dokładna specyfika promień Liven. Obserwacja: my mieć możliwość skurczenie człowiek do prawie dowolny rozmiar, nie mieć możliwość danie mu ekwipunek. Obserwacja: nasz wydział nosić nazwę Demini. Językowa analiza wskazywać na nawiązanie do jeden z martwy język i oznaczać zdrobnienie coś. Stąd: coś musieć ulegać zmniejszenie. Obserwacja: urządzenie musieć być zainstalowany w mózg ofiara w cel sterowanie nim.

Pytanie: jak zmniejszyć rozmiar materia nieorganiczna?

Droga poboczna: jak wykonać neurotransmitter z kurczliwa materia. Analiza pytanie: My być na poziom 10. Wszyscy człowiek niżej nie wiedzieć o my istnienie. Wysoce wątpliwy, że nad my ktoś być. Dodatkowo: oni nie ukrywać nic przed my, ponieważ my misja (wtrącenie: kierowanie ktoś od wewnątrz) wymagać najnowsza technologia. Oni my nie poinformowa o przełom w deminilogia, więc prawdopodobieństwo nie by przełom. Przeszukanie pamięć: najnowsze odkrycie: inteligentna rasa w galaktyka Enfado. Cerebranin. Przepływ impuls w neuron u oni być czterdzieści raz szybszy niż u homo novi. Stąd: brak związek z kurczenie materia nieorganiczna. Stąd przypomnienie: wszystkie pierwiastek na inne planeta być takie samo jak u my. Stąd: odkrycie planeta nie może przynieść nowy pierwiastek, który móc być kurczliwy. Połączenie do pytanie poboczne: Cerebranin to materia organiczna. Rozwiązanie: transport Cerebranin na Earth i wykorzystanie oni do produkcja neurotransmitter. Zgodność z poziom zaawansowanie technologiczny: 100 %. Przewidywana zgodność teza z fakt: 89,43289%. Podsumowanie: oni przeszkolić my na więzień na duży sprzęt w czas gdy dział techniczny być pracować nad wykorzystanie Cerebranin do produkcja sprzęt. Prawdopodobieństwo: 100% Przewidywana zgodność teza z fakt: 90% Prywatna satysfakcja: to być powód, dla który tak duży nacisk oni kłaść na eksploracja tamta galaktyka. Dodatkowa analiza pasmo ruch w jednostka czas: Ruch więźniowie powtarzać się sekwencyjnie.

Wniosek: hologram.

Ja otworzy oczy.

- Bezsens... - John wypali. – Po co szkolić my na ten sprzęt, skoro i tak już się on nie używać...

- Przykro ja. – dowódca się zmarszczy.

Ja wiedzie od raz, jak to się skończyć. Generał wyciągną dłoń. Z sufit wysuną się mały rozpylacz. On wycelowa się na John, przeładowa i strzeli, zanim ktokolwiek zareagowa. Trafienie w klatkę piersiową. On zrobi kilka krok w tył, uderzy w ścianą i osuną się na podłogę z dymiąca dziura na wysokość serce. Natasha nie zareagowa, ale szybka analiza mimika wykaza, że wystraszy się bardzo. Ja nieco zwiększy się ciśnienie, ale natychmiast postanowi to przemyśleć. W koniec po coś oni my szkoli.

Obserwacja: John pieprzy głupota. Obserwacja: On zosta z ten powód zastrzelony. Obserwacja: jego uwaga by bardzo głupia. Przypuszczenie: Zbyt głupia, by ona mó być prawdziwa. Wniosek: Podpucha. Stąd: To by próba. Obserwacja: Ciało John natychmiast zosta usunięty. Przypuszczenie: Oni nie chce, żeby my się przyglądać zwłoki. Wniosek: Coś z nimi nie tak. Przypuszczenie a: John nie zosta zabity, mie na on zbroja. Przypuszczenie b: John by tylko android. Wniosek: To wszystko być część większy test, który mieć sprawdzić, czy my się nadawać. Wniosek: Pierwsza faza test – sprawdzenie reakcja na stary sprzęt. Druga faza – sprawdzenie reakcja na śmierć John.

Ja uśmiechną się i wysła raport z mój zegarek do odbiornik w mózg generał. Ja spojrze w bok. Natasha nie

przeprowadzi żadna kalkulacja. Ja otrzyma informacja zwrotna: Bardzo dobro. Ja gratulować. Właśnie to my oczekiwać od adept. Ty myśleć dalej. Natasza też zda. Na margines: John by android.

Mu podnieś głowy znad zegarki i spojrze na generał.

– Jak już pewnie wy wiedzieć, te dwa pozbawiony sens test sprawdzi tylko to, czy wy umieć kalkulować w każda chwila i okoliczność, czy to coś wydawać się w sposób oczywisty bezsensowny, czy oni zabijać ktoś w wasza obecność. To, że wy umieć tak myśleć wykluczać wasze funkcjonowanie w normalny społeczeństwo. Wy musieć zdać sobie sprawę z to, że my rzucić wy w sam środek normalny życie na szczyt większość światowy rząd. Tylko dzięki opanowanie wy móc dojść do cel. Już teraz ja móc wy serdecznie pogratulować. Gratuluję. – miło czasem usłyszeć stara forma odmiana.

My spojrze na my z Natasza i kiwną głowy w strona generał. On odwzajemni gest.

– Ja zapraszać was teraz na obchód po nasze centrum, wy dowiedzieć się wszystko o projekt Demini – on pstrykną palce i trzy stół z więzień znikną.

On da sygnał i my ruszy za on przez drzew po przeciwna strona pomieszczenie.

My wejść do niewielka hala, obita całościowo metal. Po lewa strona znajdować się energetyczna klatka z kilka, jak ja się domyśle, Cerebranin. Rasa ta przypominać człowiek tylko w to, że poruszać się na dwa noga, mieć dwa ręką i głowa. Jednak oni być znacznie niższy, osiągać wysokość jedynie niecałe dwa roka. Oni

skóra, w odróżnienie od nasz zielonkawą odcień, być przezroczysta i ukazywać niebieski wnętrze, pozbawiony kość, nie liczyć najpotrzebniejsza, a więc kość noga, miednica i czaszka. Oni dwa ręką składać się tylko z mięsień i przypominać macka to zwierzę, które ja pamiętać z historia zwierzę – ośmiornica. Oni dwa noga być bardzo krótka, więc równowaga oni utrzymywać za pomocą stosunkowo długi ogon zakończony kolec, który jednak być pozbawiony jad i za krótki by móc nim atakować bez problem. Obecnie to być jedynie atawizm. Cały korpus być cienki i pozbawiony szyja – głowa wyrastać bezpośrednio z klatka piersiowa. Japa Cerebranin być podłużna, niekiedy ona koniec dosięgać połowa korpus. Cała długość pysk, zakończony otwór nosowy, być zajmowana przez otwór gębowy z silnie rozwinięta dwa (górną i dolną) warga i ostry ząb, ja nie pamiętać w ta chwila ile dokładnie. U szczyt japa oni mieć jeden duże oko, wykształcone bez martwy punkt i o duży współczynnik wypukłość, a więc ogarniający wszystko, co niezastłonięty przez głowa. Całość wyglądać dopełniać dwa tubowaty, sterczący i stosunkowo długi ucho, rozmieszczony symetrycznie. Jednak najbardziej istotne być to, co w środek Cerebranin, a więc mózg i rdzeń kręgowy. Mózg nie wydawać się szczególnie duży ani pomarszczony, jednak on analiza wykaza, że cały być pokryty dokładnie googol mikrorówek w mnóstwo konfiguracja, a na dodatek być utworzony z niezbadana do teraz substancja organiczna pozwalająca na najszybszy transfer impuls nerwowy w znany wszechświat. My wykorzystywała go jednak do produkcja

boleć domózgowy (po odpowiedni utwardzenie on nadawać się do to znakomicie). Z kolei rdzeń i płyn mózgowo-rdzeniowy, odpowiedni spreparowany, pozwala na transport impuls na gigantyczna odległość bez strata prędkość. Najważniejsza cecha Cerebranin być jednak fakt, że naukowcy móc wykorzystać ich układ nerwowy do produkcja organiczny neurotransmitter. Trochę inny od ten znany, ale działający na podobna zasada.

My z Natasza by bardzo ciekawy, jak wyglądać produkcja i ekstrakcja surowiec z Cerebranin, generał się zgodzi i zaprowadzi my do pokój ekstrakcja. My wejść akurat na sam początek procedura. Na metalowy stół, na brzuch, leże nagi Cerebranin, nieprzytomny. Sprawny lekarz nacina skóra wzdłuż kręgosłup po obie strona, a następnie przy pomoc ostra diament piłka obrotowa odcią ostatni krąg z jeden i z dwa strona i tak spreparowany rdzeń kręgowy wyciągną i odłoży na stolik obok. Chirurg następnie nacią tył głowa, rozszerzy rana i jak gdyby wydusi czaszka ze skóra, po czym położy ona obok kręgosłup. On naciśną guzik i specjalna służba zabra ciało po to, by po chwila przynieść następny. Tymczasem ważny materiał został zabrany dalej, do pomieszczenie o nazwa Ekstraktor Element Witalny, na poziom dostęp D1, a więc tylko dla uczestnik program Demini. Czaszka by układany na taśma, na która podjeżdża pod komora Arpeg (nazwisko jakiś naukowiec, ja nie znać szczegół). Następowa tam dezintegracja molekularna czaszka (specjalny promień narusza struktura komórkowa kośćceć, który rozpadać

się po krótka chwila, by pozostawić na taśma sam cenny mózg. Taśma kończy się i surowiec wpada do kadź termiczna, wypełniona również płynny środek o utajniony skład, nazywany roboczo Zachowywacz. Iść o to, że łączyć się on z cząstka dana substancja, otaczać ta cząstka i chronić ona przed czynnik zewnętrzny, jednocześnie zachowywać ona wszystkie cecha, tym samym pozwalając na przykład termiczna obróbka. To, co kiedyś by w głowa Cerebranin, w kadź zmienia się w szara masa, którą następnie pracownicy podgrzewa i dehydryzowa tak, że pozostawa zeszywniały kłoc, z który, po wydobyć ze zbiornik wycinano klin; szacować się, że na jeden boleć domózgowy, o długość około jednadziesiątaroka trzeba zużyć sto mózg – dla sama dwa maszyna dla ja i dla Natasza oni musie zabić czterysta Cerebranin, a ja podejrzewać, że oni wyprodukowa one znacznie więcej. Gotowy szpikulec by przenoszony do kolejna sala.

Tam specjalny robot, za pomoc klej z wiesiołek wenusjański, łączy kilka sto kręgosłup w jedność, a kolejny przymocowywa boleć domózgowy po dwa koniec łańcuch. Później całość, o długość minimum kiloroka by zwijana w olbrzymia bela i transportowana dalej, do pokój trening. Nowość konstrukcja polega na tym, że wszystko by wykonane z materia organiczna. My podziękowa generał i przejsz dalej.

– Oto wy sala treningowa – powiedzie generał. – Ja ufać, że wy wiedzieć już o to, że wy zostać zmniejszeni do rozmiar okołokomórkowy razem z neurotransmitter i umieszczeni w głowa cel. Oczywiście operowanie mózg

nieprzyjacieli od wewnątrz nie różnić się nic od robienia to od zewnątrz. Dlatego teraz wy przejść prosty trening, żeby załapać o co chodzić w to wszystko. Wy przyspieszony proces nauki pozwolić wam załapać umiejętność już za pierwszy raz. Wy dostać każdy osobny obiekt. Od tej chwili wy być na stałe podłączeni do transmiter. – On uśmiechnął się.

Z ścianą wynurzą się dwa komplet treningowy – taktyczny, a więc sprzęt, dwa stół i krzesło z przytrzymywany pole siłowy więzień z założony boleć. Generał przesła na nasz zegarek informacja o zadanie:

1. Doprowadzić do wybór czerwony sześciąt.
2. Zmusić do wyrecytowanie fragment dowolny wiersz z pierwszą połową pierwszy półdecytyścielecie. (oczywiście, ulubione epoka generał)
3. Samobójstwo.” Oczywiście gradacja poziom trudność.

– Ja zapraszać, my wy teraz podłączyć.

Nie wiadomo skąd w salę pojawi się dwa pomocnik z piłką do kość.

– Ja prosić wy się położyć.

Z podłoga wysuną się dwa stół operacyjny. Ja spojrzeć na Natasza. Nawet bez patrzenie na zegarek ja zauważyć, że by nerwowa. Generał musie powtórzyć, żeby ona on zrozumie. Ja nie mieć taki problem. Może to kolejna eliminacja, ja pomyśle.

– Za chwilę wy doznać coś, co być stanowić pewny szok dla wy. Wy podłączyć się całkowicie do umysłu inna

osoba. Wy przestać odbierać bodziec ze swój otoczenie i wy zanurzyć się całkowicie w ofiarę. Jedyny sposób na odłączenie to odłączenie zdalny albo śmierć. Jeśli wy się sprawdzą, wy dostanieć pierwszy zadanie w pole. Do dzieła!

Podejść do ja jakiś pracownik techniczny i on podać mi znieczulenie do żyły. Ja zachować kompletną świadomość, ale nie czuć ból. On wycią mi u szczytu głowa okrągła dziura, po czym wstrzyknąć domózgowo znieczulenie.

Ja obudzi się jakiś czas potem, z klin neurotransmisyjny wciśnięty w złącze ćwierćkula. Usiadłem na stół i zauważył generał bawiący się długopis. On spojrzeć na ja i zrobić uspokajający gest ręką.

– Wszystko pójdzie jak po masło. My musimy tylko poczekać na Natasza i my móc zacząć.

Zgodnie ze szkolenie, ja spojrzeć na zegarek: „Wszystkie czynności życiowe w normie. Fioletowa poświęta w pole widzenie być naturalna, przejść za około 15 minut”. Ja rzucić oko w stronę mój cel. Łysy, barczysty mężczyzna, analiza naskórek wskazywała na przedział wiekowy 40-41 rok. Siedzi bez ruchu z pochyloną głową. On i ja, obaj podłączeni do olbrzymia szpula z kręgosłup Cerebranin. Kat i ofiara. Pan i niewolnik. Natasza dojdzie do ona i też usiąść.

– My zacząć? – generał schować długopis do kłapa marynarki.

– Tak jest – my odpowiadamy równocześnie.

– Znakomicie. Wy mieć swoją wytyczną. Do dzieła!

Ja oślepną, ogłuchną, przestanie czuć kontakt z

podłozę. Ułamek sekunda później ja siedzie przed stół i wpatrywa się w rozrzucony tuzin różnokolorowy blaszany bryła. Czerwony sześcian. Ja wyciągną ręką w strona żądany przedmiot, chwyci on i unieś do góra. Generał podejść do ja i zabra od ja trofeum.

Poziom dwa. Język pląta ja się gdzieś między zęby i dodatkowo sam zaczął zapominać tekst. Ja potrzebowa dwa wersy do zaliczenie, a już w pierwszy wers ja zaczął gubić końcówka.

– Litwa... Litwa... - ja poczu krew w usta, przygryź ja język. – Litwo! Ojczyźni moje! Ty być... Ty jeste... Ty jesteś jak zdrowie! Ile ty... Aaaargghhh. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowiedzieć! Dowie!!! Koniec!

Z trud ja zmusi więzień, a właściwie ja – łatwo o zgubienie tożsamość, do pozostanie na miejsce i spojrzenie w prawo. Natasza nie iść tak dobrze. Jej cel nie mówi absolutnie nic, za to ona sama wygląda jakby mieć problem z usiedzenie na miejsce. Generał poda ja(ja, czyli cel) nóż i skinął głową.

– To bycia łatwiejsze, jeśli ja wyjść – on opuści sala.

Ja zosta sam na sam, z ostrze nóż blisko szyja, przy co ja nie by w stan wykonać jakikolwiek ruch. Ja musie złamać mechanizm samozachowawczy, jedyna przeszkoda między życie a indukowany samobójstwo (kara za indukowane samobójstwo w świat zewnętrzny to kara śmierć). Kąt oka ja uchwyci niepokojący ruch z prawa strona. Natasza, zataczając się ruszy w ja strona (ja, czyli ja-ja, nie cel). Ja wyczu niebezpieczeństwo od raz – więzień przeją kontrola nad sterujący. Ja zdziwi się. Według podręcznik taki coś zdarzać się tylko wtedy,

kiedy w neurotransmitter siada osoba niedoświadczona i nieprzeszkolona. Oczywiście ja by sparaliżowany. Ja mie dwa wyjście – zabić ja albo zaatakować. Do samobójstwo ja potrzebowa więcej czas, więc ja wyrzuci nóż, bo bez on łatwiej mi sterować. Ja wsta i od raz upaść. Ja nie zawraca ja głowa wstawanie i zaczął czołgać się do Natasza, która z zaciśnięta dwa pięść iść już pewny krok w mój kierunek. Instynkt obronny ten raz by po moja strona. Zanim ona wykonać kopnięcie, my rzuci się na ona i obalić ona na podłoga. W pierwszy odruch ja chcie odłączyć ona od aparatura, ale to być zbyt skomplikowany i czasochłonny. My zauważy jej gorszość pod względ fizyczny i uderzy ją w koniec pięść w gardło, zgodnie ze szkolenie. Ona udusi się, jej więzień straci przytomność. To nie by zgodny z zasada funkcjonowanie neurotransmitter. Ja wykorzysta moment nieuwaga i rzuci się na podłoga w strona nóż. Ja poczu opór, ale by już za późno (pierwsza zasada korpus Demini – nic sentyment. Praktyczny zastosowanie – nic wdzięczność za pomoc z Natasza). Ja wbi nóż głęboko w tchawica, dziękując w myśl za trening z odnajdywanie witalny punkt we własne ciało. Ja poczu niewyobrażalny ból i jeszcze więcej krew; ja zakrztusi się. Oczy zajął mi czerwona mgła i ja umrze.

Ja ockną się nie wiem ile czas później. Ja siedzie tam, gdzie przedtem; ja czu pustka z tył głowa – oni wyją mi bolec.

– Ty mieć, ty się napić – generał poda mi szklanka napój operacyjny – ty się dobrze spisa.

Ja omieść pomieszczenie wzrok. My by z generał

... sam. Jedyna pamiątka po moja niedoszła współpracowniczką i moja ofiara by pasmo krew na podłoga, ciągnący się aż do drzew.

– A co z ona cel?

– Zlikwidowany. Wielka szkoda. Ale nikt nie przypuszcza, że taki coś móc się stać...

Ja tylko się uśmiechną do niego. Ja by zbyt wyczerpany, by mówić, a poza tym ja wiedzie swoje.

– Ty musieć się jeszcze dużo nauczyć... Ty leże tutaj nieprzytomny przez godzina. To niedopuszczalny, żeby jedna sesja tak na ty działać. Ja zapraszać do cela, my skontaktować się z ty w późniejszy termin, po uzgodnienie, czy nadajesz się do akcja.

Ja zrobi, jak on kaza.

Potem ja napisa osobisty raport do generał, w który ja podziękowa za wytypowanie ja do program. Ja napisa, że bardzo ja miło, że to ja od sam początek by wybrany na to stanowisko i tylko musie przejść kilka próba. Uda mi się w 100%, wliczając w to ostatni test - ostatecznie nie każdy by zauważy, że przewód kręgowy w neurotransmitter Natasza by podłączony odwrotnie...

Ja wyrażać nadzieja, że po zdetajnienie powyższa treść ktokolwiek, kto być to czytać znajść tu dużo potrzebna informacja do praca naukowa. To tylko modelowa i obowiązkowa część sprawozdanie, jeśli znajść potrzeba lub chęć przeczytanie więcej, upraszać się o kontakt z Generalny Trzymacz Danych, podanie numer akta: Wd45lxxyxyzju89-wf90zhzhzhghy78 z prefiks "com-ver" i powołanie się na nr ref. 22/9/1996/7/16/50..



Jak za starych dobrych czasów

Igor Witaszek



Brrrr. Brrrr. Brrrr. To budzik. Pora wstawać dupku. Podniosłem się ciężko z wyra i na oślep wymacałem telefon. Ekran twierdzi, że jest szósta. Dezaktywuję upierdliwy dźwięk i siadam na łóżku. Ignoruję suchość w ustach i ból głowy. Wstawaj dziadu, pora przeżyć kolejny dzień. Albo i nie. Tylko zejść z tego cholernego łóżka. Ukryłem twarz w dłoniach, mając nadzieję, że zmęczenie i ból głowy przejdą, ale tak się nie dzieje. Zrezygnowany wstałem i ruszyłem do łazienki.

Nie mam dużego mieszkania. Żyję sobie w jednym z tych monstrualnych bloków w Okręgu. Miejscówka jak miejscówka – salonosypialnia połączona z kuchnią, oraz łazienka. Myję twarz i piję trochę wody. Smakuje jak pomyje, którymi właściwie jest. Lustro zaprotestowałoby, gdyby mogło. Oglądam swoje pokiereszowane oblicze. Kiedyś w wojsku, taki jeden sierżant powiedział, że mam twarz, jakbym wpadł pod tira. Wtedy jeszcze nie, jednak dwadzieścia lat na kilku różnych frontach, niespokojna emerytura i nałogi zebrały swoje paskudne żniwo. Bulwiasty, wielokrotnie w przeszłości łamany nos powinien komponować się z kwadratową szczeną, płowymi włosami ściętymi na jeża i pyskiem buldoga, ale jakimś cudem się nie komponował. Dopełnieniem obrazu piękna była bycza szyja, brak większej części prawej małżowiny usznej, oraz imponująca szrama biegnąca przez łuk brwiowy. A, że mam posturę szafy, nie trudno się dziwić, iż sam

Szatan modliłby się za mnie, żebym był grzeczny i nie musiał lądować w piekle. O ile w ogóle istnieje. O ile ja teraz nie jestem w piekle. Wycieram twarz szmatą, którą wszechobecna biedota nazywa ręcznikiem.

Śniadanie twardziela składa się z mocnej, czarnej kawy, paczki fajek i setki. Dziś zadowolę się tylko kawą. Fajki zostały mi dwie – będą na drogę, zaś na widok alkoholu skręca mnie przed południem. Jako że nie lubię jeść sam, włączam telewizor.

„Nanowszczepy były konstruowane przez pół wieku. Dopiero od kilkunastu lat można zaobserwować ich obecność na rynku i są szalenie popularne. Używają ich już wszystkie armie świata, korporacje oraz państwowi urzędnicy, ale rośnie także ich popularność pośród zwykłych obywateli...” – głosiła tleniona lalunia, starająca się ukryć zmęczenie życiem pod grubą warstwą tapety. Państwowi urzędnicy i korporacje... Prawda jest taka, że modyfikują tym dziadostwem facetów w czerni. Nie, nie chodzi mi o Willa Smitha. Bardziej o Agentą Smitha. Panowie w garniakach są świetnie wykwalifikowanymi zabójcami i najemnikami. Likwidacja konkurencji, ściąganie długów, karanie za łamanie praw autorskich. Różnią się od takich jak ja, że mają pana. Kwestia przymilania się. Przymilanie może dać ci żarcie, ale zakłada pęta na całe życie – ja to widzę wyraźnie, oni nie. No i prawo jest po ich stronie. Odkąd korporacje mają w kieszeniach policję i rząd, robią co im

się żywnie podoba. Zresztą nie tylko oni.

Coraz mniej jest takich jak ja – ludzi z ulepszeniami protezowymi. Część wymienia, część pada ze starości. A część od kul – zazwyczaj posłanych z pistoletów dzierzonych przez posiadaczy nanomodyfikacji. Są one zwyczajnie bardziej wydajne.

Ale Lucy mnie broni. I robi to dobrze. Leżała obok mnie na kanapie. Zazwyczaj milczy, jednak gdy spojrzy na kogoś i przemówi – biada mu. Ona jedyna mnie rozumie. Jako jedyna wie czego chcę i tylko ona jest w stanie mi to dać. Pochyliłem się i chwyciłem ją. Pieściłem palcami rękę ze starego, aczkolwiek solidnego, lakierowanego drewna, zakręciłem bębenkiem i wycelowałem w telewizor.

– Pach! – szczeniłem i poderwałem mojego ukochanego Colta Navy do góry, imitując odrzut. Piękna sztuka, konwersja na pociski scalone z prochem bezdymnym. Dziś wszyscy chodzili obwieszeni tymi plastikowymi spluwami, które przypominały bardziej zabawki niż broń. Taki ze mnie konserwatysta.

Zjedzone, coś tam sobie obejrzałem, czas ruszać. Lucy schowałem do kabury, narzuciłem na grzbiet płaszcz, założyłem kapelusz z szerokim rondem i wyszedłem z mieszkania, nie przeczuwając nawet, że za chwilę do niego wrócę, by zabrać klucze od drzwi frontowych, oraz drugi komplet – od wozu. Zabezpieczyłem mieszkanie, burknąłem coś w rodzaju „dzieńdoberek” zaskoczonej sąsiadce na klatce schodowej, po czym ruszyłem w dół schodami. Z piątego piętra trochę się schodzi, a jeszcze gorzej się wchodzi.

Człowiek wypełźnie z auta, późną porą, akurat po robocie, patrzy na te schody i go krew zalewa. Windy nie ma – żyjemy w połowie XXI wieku i zasuwamy po schodach na piechotę, mimo że mamy już cholerne nanowszczepy.

Po krótkim namyśle zrezygnowałem z samochodu. Musiałbym zatankować, a po portfel już mi się nie chce biec z powrotem do mieszkania. Nie lubię psuć sobie dnia z rana. Chowając ręce do kieszeni płaszcza, ruszyłem przed siebie. Moim celem była druga ćwiartka Południowo-Wschodniej dzielnicy Okręgu, gdzie w barze Gwiazda Pecha miałem spotkać się z partnerami biznesowymi. Powoli przejmowaliśmy ten rewir z łap Gangbangerów. Gangbangerzy to banda gówniarzy, którzy zapuścili się na strychy i wykopali śmieci ze szczeniących lat swoich staruszków. Moją niechęć do nich potęgował fakt, że w czasach dzieciństwa musiałem się użerać z tą popieprzoną subkulturą. Głupota przechodzi z ojca na syna. Co się porobiło z tym światem?

Gangbangerów można poznać po złotym łańcuchu na szyi, z inicjałami GB. Jakby tu się znaleźli jacyś Brytole, to sami by ich sprali za profanację inicjałów Great Britain. Na czele tego gangu stał sławny w półświatku Jack the Star – widziałem kiedyś gościa. Biały, w średnim wieku, z kretyńsko wyglądającym afro, ubierał się jak skinhead – bojówki, biała koszulka i ciężkie wojskowe buty. Z ulicznych plotek wynika, że jest paranoikiem. Ma ramiona typu KZ-7000 – najnowsze, czarnorynkowe ulepszenie bojowe, podłączone do

N 1

procesora w jego mózgu. Dzięki temu komputer oblicza trajektorię lotu pocisków i pociąga za spust zamiast niego, oczywiście nie chybiając. Mój „funfel” z woja miał podobne, jednak to było dwadzieścia lat temu i to były KZ-1325 – całe z tytanu. „Siedemtysie” miały metalowe tylko kości. Mięśnie zrobione zostały z syntetycznego materiału na bazie mikrofibry. Dzięki nim mógł strzelać z wolnej ręki nawet z działa M163 Vulcan. Słyszałem także pogłoski o sztucznej wątrobie i trzustce, oraz panicznym strachu przed truciznami. Łatwo będzie go rozpoznać – tak poważne nanomodyfikacje wymagają wypompowania całej krwi i zastąpieniu jej specjalnym bioolejem z nanobotami, które są w stanie rozmnażać się i naprawiać sztuczne elementy ciała. Zmodyfikowanego rozpoznasz natychmiast. Biała skóra niczym u albinosa oraz błękitne żyły doskonale widoczne pod skórą wyglądają upiornie i rzucają się w oczy. Nanoboty zaś są ciekawymi urządzeniami. W moim ciele nie ma ani jednego, ale pewien przyjaciel podesał mi kiedyś ściśle ważne dane – pracuje w jednej z Korporacji, więc dostęp ma. Nanobot zbudowany jest z części zarówno metalowych, jak i organicznych. Można powiedzieć, że żyją – ich świadomość jest oparta na kodzie podobnym do genetycznego, który są w stanie dowolnie modyfikować. Dla mnie to trochę czarna magia – jak już wspomniałem, jestem staromodny i protezowy. Mam wymieniony kręgosłup i klatkę piersiową. Załatwił mnie cholerny Arab z granatem odłamkowym. Przez dwa lata byłem kaleką jeżdżącym na wózku inwalidzkim. Potem rząd zwrócił się do mnie i

nawet nie zdążyłem powiedzieć „k...a”, a leżałem na stole, już po operacji. Dwadzieścia lat temu, to był szczyt technologii – dziś właściwie przeżytek. Z tego, co wyczytałem w instrukcji, mam zmodyfikowany rdzeń. Nie mam pojęcia jak, ale po przerwaniu go nie stracę czucia w nogach. Jakieś obejścia są, coś tam niezależne i inne pierdoły. Nie wiem, nie znam się – moim zadaniem jest wykorzystywanie tego, nie rozumienie jak działa. Żebra wymienili mi gratis – teraz serce i płuca mają ochronę przed kulami, oczywiście rozsądnego kalibru – .50 BMG to już nie zatrzyma.

W tłumie nikt mnie nie zatrzymywał, czasem ktoś na mnie wpadał, zaczynał mamrotać niezręczne przeprosiny, nasze wzroki się spotykały i delikwent nagle zamierał i jak najszybciej się oddalał. Inaczej było z gangsterami. Ja miałem tu złą sławę. Jeśli nosisz broń na widoku to jesteś twardzielem, albo gówniarzem, któremu wydaje się, że twardzielem jest. Na pierwszy rzut oka rozróżnisz jednego od drugiego. Są jeszcze gliniarze. Absolutnie wszyscy znają pierwsze prawo Okręgu. Wyjdź na ulicę w mundurze, policyjnym pancerzu albo błysnij odznaką. Daję ci dwie minuty, zanim zaginiesz. Nikt nie będzie pytał, czy jesteś „Panem Władzą”, czy może idziesz na bal przebierańców. Może wypłyniesz gdzieś za kilka miesięcy, może nie. Pograżona w smutku rodzina.

Uważnie obserwowałem auta. Poszczególne klany i gangi malują na swoich autach loga – Gangbangersi korzystają z różowej maski pokraka z zamkiem błyskawicznym na wysokości ust. Same cywile,

kilka wozów Rdzennych oraz Dżentelmenów, czyli dwu najsilniejszych ugrupowań przestępczych w Okręgu. Rdzenni kultywują indiańskie tradycje – jeśli nie jesteś Meksykaninem, to nie masz szans się dostać do Rodziny. Możesz co najwyżej dla nich pracować dorywczo. Dżentelmeni mają za to styl – to im trzeba przyznać. Wczesne lata dziewiętnastego wieku, epoka Clyde Barrow'a, Dona Corleone i Ala Capone. Garnitury, meloniki, stara broń. Z samym gangiem nie mam żadnych stosunków, ale znam dobrze kilku ludzi z ich szeregów. Kumple od kielicha, można też od nich taniej kupić amunicję niż w sklepach i na czarnym rynku.

Nareszcie w rewirze. Idąc ciemną, pustą uliczką usłyszałem krzyki i łoskot. Dobiegały z małego lombardu na parterze. Okna z żaluzjami – nic nie zobaczę z zewnątrz. Na szybie widniała duża naklejka przedstawiająca muterkę. Czyli, że obiekt jest pod opieką Cichych Cichaczy. I pod moją, bo dla nich właśnie pracuję. Kretyńska nazwa, swoją drogą.

Gdy rozległy się strzały, przyśpieszyłem kroku i położyłem lewą dłoń na klamce drzwi, prawą zaś dobyłem Lucy. Poczciwa dziewczynka dawno nie miała okazji splunąć na kogoś pogardliwie. Ktoś krzyknął przeraźliwie, ale jestem za stary na gęsią skórę na plecach. Moje nerwy są tak zszargane, że nie odczuwam stresu w praktycznie żadnej sytuacji. Przypomina mi się dzień, gdy zaatakowali moją jednostkę napalmem. Mieli przewagę pięciu na jednego. Przeżyłem ja, mój najlepszy do dziś przyjaciel i taki jeden bufon, którego i tak kropnąłem kilka lat później. A to, co się dzieje teraz?

Pierdoła.

Przywołałem na twarz mój markowy uśmiech sadysty. Nikt nie ma takiego talentu do mimowolnego pokazywania ubytków w uzębieniu, jak ja. Nacisnąłem na klamkę i wpadłem do zdewastowanego pomieszczenia. Rozbite szyby gablot, porozwalane klamoty i półki. Dwóch łebków – Gangbangerzy. Jeden trzymał właściciela tego interesu za bluzę i bił go kolbą pistoletu po twarzy. Drugi oglądał sprzęty na półkach. Właściwie to dzieci – po dwadzieścia lat każdy, szare dresy wyglądające jak piżamy, złote łańcuchy. Ten z pistoletem był łysy, drugi zaś miał długie, rzadkie dredy. Myjcie dzieci włosy, bo wam też tak się zrobi...

Byli kompletnie zdezorientowani. Nie zdążyli dobrze odwrócić głów w moją stronę, gdy wypaliłem z Lucy, celując w skroń uzbrojonego chuligana. Krwawa pecyna krwi i mózgu uderzyła w ścianę i opryskała twarz właściciela obiektu. Drugi był prawiczkim jeśli chodzi o poważniejsze porachunki gangsterskie. Jego wzrok mimo woli skierował się ku poległemu towarzyszowi. Nie miał szans. Wpadłem na niego i za pomocą łokcia wgniotłem go w posadzkę. Trzema szybkimi ciosami – w brzuch, szczękę i mostek obezwładniłem gnojka i sprawnie go przeszukałem. Miał przy sobie chiński nóż sprężynowy, stylizowany na włoskie stiletto i pistolet przypominający gaz pieprzowy z dyszą. Finellicci Safe 900 – broń do szeroko pojętej samoobrony. Po pociągnięciu za spust wypluwa pocisk z plastiku rozgrzanego do stanu ciekłego. Legalna, efektywna i wygodna zabawka. Celność do dwudziestu pięciu

metrów. W sam raz jeśli nie masz wystarczająco dużo jaj, by nosić ze sobą prawdziwą spluwę. Albo jesteś biednym, niewinnym cywilem i potrzebujesz czegoś, co da ci poczucie pewności po zmroku.

– Nic ci nie jest? – rzuciłem do poszkodowanego właściciela lombardu. Gość był blady. Opierał się o ladę prawą ręką i ciężko dyszał.

– Postrzelił mnie w r-r-ramię – wydukał. Biedak, tak ciężko oberwać. Zasłużył na Purpurowe Serce. Podrapałem się po zarośniętym policzku i wpadłem na ciekawy pomysł.

– Daj mi krzesło i jakiś sznurek. Mogą być kajdanki jednorazowe – rozkazałem głosem nieznanym sprzeciwu. Ma być i koniec.

Lichwiarz uwinął się całkiem szybko jak na postrzeloną ofiarę napadu. Zaciągnąłem powoli już odzyskującą świadomość Śpiącą Królową do kąta i posadziłem na krzesło, odpowiednio przywiązując do oparcia.

Podniosłem z ziemi większy kawałek szkła i chowając go za plecami rzekłem zimno do młodego:

– Kto wam to zlecił?

Spojrzał na mnie niespokojnie, ale milczał. Oho ho, twarde się znalazł. Rozwarłem mu przemocą szczękę, po czym położyłem kawałek szkła na języku. Zajęczał cicho, gdyż nagle dotarło do niego co chcę zrobić. Uderzyłem mocno w szczękę wierzchem dłoni. Z ust pociekła mu krew, którą natychmiast wypluł razem z kawałkami szkła.

– Więc? – uniosłem brwi. Moja twarz wręcz

błagała, aby odmówił składania zeznań. Jednak on milczał. – Słuchaj palancie. To jest kwestia rozgłosu. Nie pozwolimy, by jakiś tam frajer od was nasyłał innych, niżej położonych frajerów na nasze obiekty. Ja mam czas – to akurat było kłamstwo. – i dużo szkła. W końcu zmiekniesz. Pytanie brzmi tylko, czy chcesz stać się chodzącą ruiną? W imię czego?

Pokręcił głową. Jego problem. Ja nie mam czasu na byle płótkę. Wyłuskałem z rąk trupa pistolet. Finellicci Detective 9 mm – tani, niezbyt potężny gnat, za to łatwy w obsłudze i dość dyskretny. Wręczyłem go pracownikowi lombardu i lakonicznie nakazałem go pilnować, aż przyjedzie ktoś od nas. Wychodząc puściłem oczko do związanego gnojka. Spojrzał na mnie wzrokiem zaszczutego zwierza, a potem skierował wzrok na złowrogo uśmiechającego się właściciela, gładzącego lufę spluwy.

– Tommy the Hawk – rzekł głucho. No taaa. Prawa ręka, lewej ręki Jacka, czy jakoś tak. Gość od najbrudniejszej roboty. Przełożony tych najniżej położonych w hierarchii chuliganów, ulicznych sprzedawców prochów i meneli, którzy bacznie obserwują teren i są nieocenioną kopalnią informacji. Trzeba się Hawkowi dobrać do tyłka. Dobrze się składa, bo w Gwieździe Pecha już czeka na mnie Razor i Bergmann.

Knapa nie była daleko. Zanim wyszedłem na ulicę, uzupełniłem wystrzelony pocisk w Colcie. Kochana, stara Lucy. Z kompletem sześciu pocisków w mej maszynie do zabijania, przytwierdzonej do biodra

czułem się o wiele pewniej. Powiedziałby ktoś – czemu nosisz spluwę, z której możesz strzelić tylko sześć razy? – To proste. Jeśli nie dasz rady załatwić sprawy sześcioma pociskami .38 Special, to w ogóle nie wyciągaj spluwę. Schowałem pustą łuskę do kieszeni płaszcza i ruszyłem.

To lubię – tłok na chodniku, jadą sobie samochody, idą matki z dziećmi i nawet nie mają cienia podejrzenia, że jakiś zły człowiek zastrzelił innego złego człowieka i to kilkanaście metrów od nich. W tym rewirze nie wyróżniałem się aż tak z tłumu. Cały Okręg jest slumsem, okrążającym Nowy Jork niczym boa dusiciel, jednak Południowy Wschód Okręgu to właściwie przedsionek piekła. Spracowane dłonie wielkości bochnów schowałem do kieszeni płaszcza, postawiłem też kołnierz. Dodając do tego kapelusz, to teraz już nie wyglądam na Zakazaną Mordę, tylko Pana Nie Twój Interes.

Bar stał sobie na skrzyżowaniu dwu ulic, których nazw nie pamiętałem i pamiętać nie chciałem. Okupował calutki parter pięciopiętrowej kamienicy. Żółty neon przedstawiający połamaną Gwiazdę Betlejemską i różowy napis Gwiazda Pecha. Szyby uzbrojone były w rolety, możliwe że kuloodporne. Na co dzień chroniły klientów przed wścibskimi spojrzeniami przechodniów oraz zmniejszały potencjalną liczbę świadków, potencjalnego przestępstwa.

Gwieździe Pecha bliżej właściwie do typowej mordowni, jakich pełno było setki lat temu w miejscowościach nadmorskich. Tam właśnie zbierała się

sól tego świata. Przemysłowcy, marynarze, niewolnicy ze statków, cwaniacy, zabójcy, hazardziści i tak dalej, i tak dalej...

Pchnąłem ciężkie drzwi i wkroczyłem do środka.

– Szybciej tam! Zimne powietrze do środka piżdzi! – jakiś frajer, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak sterta szmat wynurzył mordę z kubła i wydierał się. Na mnie.

Trzasnąłem drzwiami i spokojnie, stukając podeszwami przemierzałem bar. Panowała tu swoista atmosfera – pod sufitem znajdowały się wręcz chmury tytoniu. Pod nimi zaś opary alkoholu. Nastolatkowi urwałby się tu film po dziesięciu minutach. Obudziłby się w rynsztoku z pustynią Mojave w gardle i kompletnie przetrzepanymi kieszeniami. Lokal był parszywy, ale miał pewne zasady. Co się dzieje w lokalu – zostaje w lokalu. To była pierwsza i najważniejsza zasada. Oprócz tego wstęp wzbroniony mają tu prostytutki, oczywiście gliniarze i panuje zakaz obrotu prochami. Tu zazwyczaj siedzieli tacy jak ja. Zmęczone stare pryki, jednak twarde jak stal – o przekrwionych oczach i zakazanych mordach. Jak w pewnej starej piosence, której tekst znam na pamięć – „Knajpa Morderców”. Tu nie było laserów, disco i kolorowych drinków. Surowe wnętrze, ogólny raban, przez który magicznie przebijał się dźwięk kojącej muzyki z szafy grającej. Gdy usłyszałem pierwsze nuty Franka Sinatry ze zdartej płyty, moje serce zmiękło, zaś w oczach pojawiły się łzy. Chwila słabości minęła tak szybko, jak się pojawiła, gdy ujrzałem Razora i Bergmanna.

Razor był tutejszy. Dwudziestoparolatek, który urodził się i dorósł na ulicy tego syfu. On to wszystko przeżył. Notowany był już w wieku siedmiu lat. Pierwszy raz odebrał komuś życie w wieku lat jedenastu. Potem? Jakoś samo poszło. Specjalista od noży i broni miotanej. Potrafił żonglować siedmioma nożami, które po kolei łapał i rzucał nimi w tarczę z odległości dziesięciu metrów. Nic nie wyszło poza dziewiątkę. Z wyglądu niepozorny – strasznie chudy, ubrany w zniszczoną skórzaną kurtkę z ćwiekami i zwisającymi łańcuchami. Nosi okulary „muchy”, nawet w tak ciemnym miejscu, gdyż ma zmodyfikowane oczy. Wyróżniał się fryzem – dziś mało który facet ma długie włosy, a o trwałej ondulacji to już chyba żaden z nich nawet nie pomyślał.

Bergmann był zupełnie inną bajką. Niemiec – samuraj. Wszędzie targał ze sobą katanę – pewnie jakaś replika z damastu. Mechaniczna część twarzy razem z okiem – dość stary model z termowizją i noktowizją, oraz zewnętrzna rama wzmacniająca budowę trzewioczaszki, przez którą jego twarz wyglądała na jeszcze bardziej kwadratową. Oprócz tego miał implant prawej ręki KZ-7000 w wersji Melee Combat. Trzy ostrza wysuwane spomiędzy kostek dawały mu namiastkę mocy Wolverine'a. Miał cosik koło czterdziestki na karku – łysy, niebieskawy na twarzy przez nanoboty. To jest właśnie ten typ gościa, którego jak zatniesz, to nie wiesz czy spodziewać się krwotoku, czy obfitego strumienia oleju. Ale tym się nie martw, bo go nie zatniesz. Bergmann jest pierońsko szybki w walce i macha tym swoim majchrem na prawo i lewo tak, że nawet nie

jesteś w stanie zauważyć miecza. Co innego taki ja. Bergmann jest słusznego wzrostu, ale i tak przewyższam go o głowę, a o szerokości bar to nawet nie będę wspominać, bo szkoda mi chłopaka kompromitować. Jestem pewien, że oprócz wyżej wymienionych ulepszeń, samuraj chowa coś jeszcze w zanadrzu. Z doświadczenia wiem, że takie niewinne sekreciki ratują życie.

Jeszcze się nie przysiadłem. Pokręciłem się chwilę przed ladą, pięć metrów przed ich nosami. Pili drinki i przyciszonym głosem o czymś rozmawiali. To są goście sporego kalibru. Razem stoją na czele Cichych. Razor odpowiadał za szeregowców, którzy robili na ulicach – informatorzy, kieszonkowcy i wandale. Komuś trzeba coś oklepać, bo nie zapłacił – wysłała się watahę młodych, gniewnych łebków z pałkami oraz nożami i po sprawie. Bergmann zajmował się rzeczami poważniejszymi, jednak występującymi rzadziej. Polityka, załatwianie, przydział i konserwacja broni, poważniejsze jednostki uderzeniowe.

Podszedłem do ich stolika i bez słowa zająłem miejsce obok Razora. Zignorowałem jego uśmiech oraz wyciągniętą dłoń. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Wy mi płacie, ja robię co do mnie należy.

– Dziś ostatni etap operacji – zacząłem – Wy macie kontrolę nad rewirem, ja zaś pełną kieszeń. - Uniosłem dłoń, skutecznie uniemożliwiając Bergmannowi przerwanie mojej wypowiedzi. Niech sobie gnojek nie pozwala - Nie spartolmy tego, będąc pół metra od mety. Obiekcje, pytania? - spojrzałem na

nich pytając. Czuję w kościach, że coś jest nie tak.

– Atak przeprowadzamy wcześniej – rzekł Bergmann swoim kanciastym głosem z niemieckim akcentem.

– A magazyn? – mieliśmy uderzyć na magazyn z bronią Gangbangerów, a później bezpośrednio na kwaterę the Star'a, która jest porządnie obsadzona ludźmi wroga. Mają tam mały garnizon. Gdybyśmy uderzyli, w mig wezwaliby posiłki i to uzbrojone po zęby. Zajęcie, ewentualnie wysadzenie magazynu pozwoliłoby podzielić siły Gangbangerów oraz odciąć ich od broni.

– Zajęty - rzekł Bergmann.

– Jak to? - nie mogłem uwierzyć. - Kiedy?

W tym momencie telefon Niemca zapikał trzykrotnie.

– Właśnie teraz – mówi. Czyli, że do ataku też idziemy właśnie teraz. Pewnie zgromadził ludzi na ekipę uderzeniową. Czyżby mi nie ufali? Wraziłem głośno swoją wątpliwość.

– Bez obrazy stary! - do dyskusji włączył się Razor.

– Chłopaki tak się rwali do akcji, że stwierdziliśmy iż im szybciej to odfajkujemy, tym mniej czasu będzie nam to na łbach ciążyć. – Taaa, jakby kilka godzin miało pod tym względem znaczenie...

Wstałem. Amator by nie zauważył, ale ja dostrzegłem, że Bergmann delikatnie zeszytywniał. Bał się. Coś przeczuwał. Cwany kojot. Razor nic nie dawał po sobie znać. Zawsze wyluzowany. Z drugiej strony jarał maryskę od trzynastego roku życia, nie wątpię, że teraz

też jest naćpany.

– Skoczę do kibelka i jedziemy – odpowiedziałem na nieme pytanie samuraja. Nie pluj ogniem gościu, bo jeszcze wszyscy przez ciebie wypłyniemy za jakiś czas ze ścieków, z brzydkimi dziurami w głowach, albo po prostu w kawałeczkach. Bergmann, z tego co się dowiedziałem, jest profesjonalnym mordercą i najemnikiem, ale nie musiał siedzieć na froncie. Nie tkwił po uszy w bagnie przez kilka miesięcy na terytorium wroga, pytając się Boga, losu czy innego tam Chaosu, czy dożyje jutra. Jednak bez wątplenia jest sprawnym zabijaką i lekceważenie go byłoby głupim posunięciem.

Nie kłamałem. Skoczyłem do kibelka, ale tylko by wykonać telefon.

– Roberts? Tu Króliczek. Prowadzę małe Alicje w głąb Króliczej Nory – szepnąłem konspiracyjnie do słuchawki.

– To jakieś żarty? – spytał kobiecy głos. Ashley Roberts nie miała za grosz poczucia humoru. Co się dziwić? Miała za to stresującą robotę. Ogólnie policja nie ma dziś lekko, szczególnie kiedy jesteś wysoko w hierarchii i dużo od ciebie zależy. Nie mówię już o tym ile osób chce twojej głowy...

– Tylko wisielcze – mruknąłem markotnie. – To ja. Obóz. Chłopcy już zajęli się arsenałem. Zaraz ruszamy do boju. Zbieraj oddział.

– Dobra. Dzięki za info. Pieniądze popłyną na twoje konto wieczorem. - Rozłączyła się. Roberts może i nie miała żylki do żartów, ale czuć było w jej głosie, iż

jest w doskonałym nastroju.

Właściwie to nie zdradzam Cichych, gdyż gliny zatrudniły mnie pierwsze. Wtedy jeszcze Razor i Bergmann byli płatnymi likwidatorami ze średniej półki. Przysłużyłem im się w ciężkich tarapatach, których sam byłem poniekąd przyczyną. Zatrudnili mnie i tak zaczęła się organizacja Cichych Cichaczy, której nazwę wymyślił Razor pod wpływem marihuany i alkoholu. W zdrobnieniu Cisi. Pasowało jak pięść do nosa, ale się przyjęło. Bergmann i Razor sądzą, że to dzięki ich zdolnościom przywódczym cała ta grupa wyszła z rynsztoka. Miałem dwie pensje, w międzyczasie różne inne zlecenia, jednak łapówki, układy i drobne przysługi, które były niezbędne, by gang się rozwijał, mocno uderzały mnie po kieszeni. Opłaci się. Dziś na arenie zostali już tylko Gangbangerzy, którzy upadną właśnie dziś. Część dołączy do nas. Ale wtedy nie będzie „nas”. Roberts pracuje sobie na awans i robi to dobrze. Oczyszczenie rewiru jest niemałym osiągnięciem. Plan prosty i zabójczy. Jack the Star jest zatwardziałym recydywistą, który przysporzył policji tyle kłopotów, że gdyby dostał się w łapy wymiaru sprawiedliwości, czapę miałby murowaną. Bergamann i Razor dopiero zaczynają, ale zostaną przechwyceni moment po morderstwie the Star'a. Pójdą na dożywocie. Miały być dwie pieczenie, a mamy trzy. I trzy setki tysięcy u mnie na koncie. Operacja trwa już ponad trzy lata i dziś będzie koniec. Może przejdę na emeryturę? Co jakiś czas poświerzbią mnie łapy, to złapię kontrakt od właściciela jakiegoś sklepu, któremu znudziło się płacenie haraczu

na rzecz gangu, który nie potrafi ochronić go przed innym gangiem, który też chce haracz... Oho, rozmarzyłem się. Rusz tyłek zgredzie i zarób na tę kasę. Ale chyba najpierw się odleję. Potem nie będę miał okazji.

– I jak było? – wyszczerzył się Razor na mój widok. Szczególny bystrzacha to z niego nie był... Uznałem, że odpowiadanie mu jest poniżej mojej godności i rzekłem tylko:

– Ruszajmy.

Zapakowaliśmy się do wozu Bergmanna – oczywiście on prowadził. Stare BMW z porysowanym, wiśniowym lakierem. W środku śmierdzi petami i mdłym odorem drzewka zapachowego, które wisiało na lusterku. Razor i Bergmann usiedli na przodzie, ja zaś z tyłu. Oparłem głowę na zagłówku i zacząłem się odprężyć.

Wtem przypomniałem sobie.

– Razor – odzywam się głucho. – masz telefon, dryndnij po chłopaków, kojarzysz może ten lombard na północnej granicy rewiru?

Razor obejrzał się i przytaknął.

– No to go właśnie napadli. Jednego kropnąłem, drugi tam jeszcze siedzi związany. Dałem właścicielowi spluwę, jakby co...

Chłopak sięgnął po telefon. Dodzwonił się za drugim razem, opieprzył podwładnego i w krótkich słowach nakazał wysłać watahę.

– Koniec pogaduch – mruknął markotnie Bergmann. A ten co? Lewą nogą wstał? – Ruszamy.

N 1

Wysiedliśmy z auta. Miasto jak miasto, przechodnie ganiają za swoimi sprawami. Na końcu uliczki stoi obiekt klasyfikowany do szeroko pojętej kategorii „klubów z noclegiem”. Burdel to burdel i żadna zmiana nazw tego nie zmieni. Zapaliłem papierosa.

– Poczęstujesz? – wyraził swą płonną nadzieję Razor.

– Ostatni – wzruszyłem ramionami.

Burdel był duży – cztery piętra. Czerwone firanki, neony w kształcie serduszek – the Star łączy pracę z rozrywką, kto by pomyślał? Nie był idiotą – mało kto wiedział, gdzie ukrywa się przywódca Gangbangerów, a nawet jeśli to, co miałby z tą wiedzą począć bez małej armii? Wiele mieszkań w blokach dookoła było z pewnością obsadzone. Jestem niemal pewien, że nawet teraz ktoś przygląda się nam przez celownik optyczny karabinu snajperskiego. Idziemy we trzech, czujemy na karkach podejrzliwe spojrzenia cywilów, menelów i całej rzeczy obecnych ludzi.

Wtedy spomiędzy dwóch budynków wypłynęła grupa tuzina ludzi. To nie są cywile – nie ma wątpliwości. Zdradzał ich sam sposób chodzenia. Nerwowe spojrzenia w boki, równy krok. Zbliżali się do nas. Subtelnym ruchem kciuka odpinam pasek zabezpieczający Lucy przed wypadnięciem z kabury. Odprężenie. Teraz mogą ich być nawet dwa tuziny. I tak dobiorę broń jako pierwszy. Pozostaje wypatrywać czegoś, co zdradzi ich zamiary...

Grupa zrównała się z nami tak, że wmieszaliśmy się w nich i szliśmy jako jedność. Nasi. W końcu we

trzech tej budy nie zdobędziemy.

– Działamy szybko. Będą zaskoczeni i zanim wywiąże się walka, połowa z nich pójdzie do piachu – szeptał Bergmann, maszerując w samym środku kolumny.

Nikt nie strzelał, nikt nas nie zatrzymywał. Pewnie myślą, że my w interesach, albo co... Rozglądam się dyskretnie, szukam wzrokiem jakichkolwiek glin. Roberts na pewno nie przegapi tak pięknej szansy, by ustrzelić głów Cichych, jak ta.

Rozdzieliliśmy się z grupą uderzeniową. Oni uderzają od frontu, nasza trójka idzie prosto do the Star'a.

Obeszliśmy budynek. W ciemnej uliczce stało dwóch gostków z pistoletami maszynowymi Kel-Tec, będącymi właściwie obrzynami karabinków M4. Zauważyli nas i bardzo zaciekawieni ruszyli w naszą stronę. Nie ruszając wargami wygłosiłem komendę i bez chwili zwłoki, za to z paskudnym uśmiechem Razor ciska we wrogów dwoma nożami do rzucania. Trafia bezbłędnie – obie kosy trafiają ich w mostki z głuchym stuknięciem. Jeden grzecznie, natychmiast odwalił kitę. Drugi właściwie też natychmiast, ale niekoniecznie grzecznie. Padając pociągnął kilkukrotnie za spust posyłając dwie krótkie serie Panu Bogu w okno. Jako że uliczka jest ciasna, pojawia się takie zjawisko jak echo, które potęguje huki wystrzałów. Cholernie niebezpieczne dla nas, gdyż ktoś mógł się zainteresować hałasem, a szczególnie takim. Ale na szczęście jesteśmy w Okręgu. Tu takie sprawy to codzienność, ludzie się

przywyczaili. Ot, pewnie znowu ktoś leczy złamane serce, karze zdradę, lub zapracowuje na górę złota. A my możemy spokojnie wrócić do naszych codziennych spraw i trosk.

Oni, ale nie my.

Razor wrywa noże z ciał poległych, przytrzymując ich truchła butem. Mnie za to zainteresowało ich uzbrojenie. Rzucam chłopakom po sztuce broni, każdy z zapasowym magazynkiem przytwierdzonym taśmą klejącą do tego załadowanego. Razor walczy nożami, ma też jakąś małą spluwę, Bergmann to szermierz i też trzyma tam przy boku jakąś automatyczną armatkę, ale gratisowe spluwy są po to by je brać. A te są gratisowe i dobre na dodatek.

– Możliwe, że nas usłyszeli. Jeśli tak, to zaczaili się za węglem i otworzą ogień, gdy tylko zobaczą nasze tyłki – szepnąłem do chłopaków. – Zaczekajcie tu.

Byli cicho. Nie ma sensu się spierać – ja przejmuję dowodzenie w terenie.

Przylgnąłem do ściany burdelu i ruszyłem do przodu cicho, jak kot. Za budynkiem znajdował się plac, właściwie parking z trzema garażami. Wychyliłem się lekko. Stało ich trzech przy koksowniku – rzeczywiście, czułem smród w uliczce, ale nie mogłem przypomnieć sobie co to za zapach. Kłócili się:

– Henry, no weź idź. Masz najgrubszą kurtkę – miauczał najmłodszy. Gołową, ledwo osiemnaście wiosen na koncie i już się zabiera za takie niegrzeczne rzeczy...

– Kurczę, Matt, on jako jedyny ma kurtkę! - poparł

go tysy kolega. – Idź zobacz. Pewnie i tak ci wariaci znowu strzelają do kotów...

Henry był spasiony jak świnia wietnamska. Szedł, a raczej człapał w moim kierunku, macając ścianę jedną ręką. Chyba jest pijany i potrzebuje podparcia. Cofnąłem się o krok i wyczekiwałem.

Grubas wyszedł zza węgła. Stanął jak wryty na mój widok. Alkohol zabija. Ale Henry ma dziś szczęście. Byłem już przy nim. Złapałem go za rękę, pociągnąłem do siebie tak, aby zniknął z zasięgu wzroku kolegów, a następnie gruchnąłem nim o ścianę. Osunął się na ziemię, ale to nie wystarczyło. Zanim zdążył krzyknąć, niezastąpiony cios kantem dłoni w szyję wyeliminował go z gry.

Gestem przyzwałem obserwujących akcję towarzyszy.

– Bergmann, twoja kolej – zdecydowałem. Wszystko miało przebiegać gładko, a on najszybciej z nas biega.

W krótkich słowach tłumaczę mu, jak ma przebiegać eliminacja tych dwóch zmarzlaków. Kiwa głową.

Chwyliłem nieprzytomnego grubasa za fraki i nabierając rozpędu rzuciłem nim od dołu. Pierońsko ciężki ten gość. Cholerne grubasy, żrą tylko i narzekają, że nie chudną. Takich powinno się leczyć, podwyższając im ceny biletów komunikacji miejskiej.

Kupa sadła odziana w kurtkę poleciała kilka metrów i głośno wylądowała na asfalcie. Gangbangerzy przy koksowniku zwrócili na niego uwagę natychmiast.

Wtedy wystartował Bergmann. W kilku susach dopadł gangsterów i zdekapitował obu jednym, zamaszystym cięciem. Głowa najmłodszego, zrządzeniem losu, wpadła do koksownika – zaraz będzie śmierdzieć palonym białkiem. Razem z Razorem podeszliśmy bliżej. Bergmann akurat czyścił miecz kurtką poległego przeciwnika.

– Dobra robota – pochwaliłem.

Nie zdążył mi odpowiedzieć. Rozlega się głośnie eksplozja, krzyki, strzały i przekleństwa. Cisi zabrali się do roboty i pracowali dosyć głośno. To była elita spośród żołnierzy Bergmanna – nazywali się chlubnie Dewastatorami. Goście byli ulepszani stosunkowo nowymi protezami nóg i rąk. Czarny rynek nie rezygnuje z protez, a wręcz przeciwnie. Podziemni spece ulepszają je do tego stopnia, by mogły dalej konkurować z nanoulepszeniami.

Zamek tylnych ulega pod siłą mojego kopniaka. Razor wrzuca tam flashbanga i wszyscy przyklejamy się do ścian.

Huknęło i błysnęło. „Nic nie widzę!”, „Jezu, oślepnę!” - takie krzyki wydobywały się z wnętrza. Razor i Bergmann wkroczyli do środka i otworzyli ogień do oślepionych i miotających się przeciwników. Drzwi były umiejscowione akurat obok schodów. Dwaj Gangbangerzy musieli biec po nich w dół, by wspomóc kamratów. Mieli pecha.

Zostawiając piętro Dewastatorom rzuciliśmy się pędem w górę.

– Star pewnie grzmoci jakąś panienkę na górze.

Informator zdradził mi, że ma swój pokój na ostatnim piętrze, z dużym tapczanem – wydyszał Razor. Resztę dopowiedzieliśmy sobie sami.

Zdjąłem jednym strzałem Gangbanger'a, który zdeorientowany otworzył drzwi. Najpewniej hałasy z dołu go obudziły. A ja go znów uśpiłem. Na dobre.

Do czwartego piętra dobiegliśmy bez przeszkód. Tam ktoś na nas czeka. Jest dość niski, na głowie ma kolorowy czub, nazywany popularnie „irokezem”. Jego nagi tors i twarz są pokryte tatuażami, które całkiem ładnie komponowały się z świecącymi na niebiesko żyłami i skórą o barwie kości słoniowej. Niezła muskulatura, aczkolwiek to wszystko wszczepę. Jego ręce są wręcz granatowe – to mięśnie z mikrowłókien prześwitują przez cienką skórę. Czarne gałki oczne – najnowocześniejszy model serii Black Eye. Nawet jeszcze na czarny rynek nie wkroczyły. Najprawdopodobniej procesor w jego bańce już przeliczył naszą wagę, zdolności bojowe i potencjalne zagrożenie, jakie stwarzamy.

– Tommy Hawk? Alias the Hawk? – rozpoznał Razor. Nie wiem, pierwszy raz gościa na oczy widzę.

– Ruszajcie po the Star'a. Ja się z nim pobawię – warknąłem. – Dołączę do was, jak skończę z tą kupą nanozłomu.

– Wytrzymaj aż wrócimy – wzruszył się Razor martwym głosem i położył mi dłoń na ramieniu. Wybuchnąłem śmiechem. Nawet the Hawk wyszczerzył czarne, lśniące zęby o wampirzych kłach. Ciota.

– Za mało mi płaciecie, żebym wystawiał się na

ryzyko śmierci w jakiejś stęchłej dziurze – parsknąłem. – Zapieprzajcie, bo ta chodząca gazeta zaraz poleje się w gacie ze strachu – dziwiło mnie, że chodząca gazeta się nie odzywał.

Chłopaki ruszyli korytarzem, a ja stałem twarzą w twarz ze zmechanizowanym zabójcą. To będzie walka wręcz. Gość nie ma przy sobie broni i jestem pewien, że znajdzie się przy mnie zanim dobędę Lucy. Kolejną kwestią jest fakt, że sześć kulek nie wystarczy na tego pana. Jeśli nie dasz rady załatwić sprawy sześcioma pociskami, to w ogóle nie wyciągaj spluwy.

Rzucił się pierwszy. Za dużo myślę. Na szczęście uważałem. Przeleciał ponad moją głową z wyciągniętą nogą. Odturlałem się. Tommy, gdy wylądował natychmiast wyprowadził kopnięcie hakowe z obrotem. Wycofuję się i zakładam gardę. Inicjatywa należy do niego. Najgorsze jest to, że franca się nie męczy. Ale ja go tu zaraz zmęczone.

Uchylając się i blokując serię wymyślnych kopniaków zdałem sobie sprawę, że jego nogi także są zmodyfikowane. Byłem w defensywie, Tommy zaś doskonale się bawił, wydawał dziwne dźwięki, piski, okrzyki typu „uaaaaa!”, machał łapami, jak wiatrakami i stosował kopniaki w locie. Jak dotąd ani razu mnie nie sięgnął. Chyba zorientował się, że to nic mu nie da.

Cofnął się trochę, wziął rozbieg i wyskoczył z nogą wysuniętą naprzód. Leciał bardzo szybko i zdążyłem się uchylić dosłownie w ostatniej chwili. Lekko otarł się o mnie lądując. Po uderzeniu w podłogę zachwiał się na sekundę. Musiał złapać równowagę. I ja to

wykorzystałem. Chwyciłem go w pasie i rzuciłem nim o ziemię, bo inaczej tego nie idzie określić. Nie zdążył się podnieść. Mój but uderzał z góry w jego głowę, dopóki nie dostrzegłem, że ciosy uderzają już tylko w podłogę uwalaną mózgiem, krwią i olejem. Odsunąłem nogą bezgłowe truchło i ruszyłem w stronę gabinetu the Star'a.

Pchnąłem dźwiękoszczelne drzwi. Pewnie już go załatwili, choć nic nie jest pewne.

Gabinet był dość duży. Ściany pomalowane na biało, na końcu pomieszczenia pod oknami stało duże biurko z krzesłem. Pod lewą ścianą kanapa, na środku dywan.

A na dywanie Razor.

Leżał i dygotał w konwulsjach. Skórzana kurtka na jego piersi była rozdarta. Dostał długą serię w klatkę piersiową. Agonia. Obok stali naprzeciw siebie dwaj pozszywańce. Bergmann ciężko dyszał. Krwawił z licznych ran postrzałowych. Miecz w jego prawej dłoni był złamany w połowie. Jack nie był w lepszym stanie. Jego prawa ręka zwisała smętnie – samuraj musiał ją uszkodzić w łokciu. Jednak to nic – gość strzela równie dobrze z lewej ręki, jak z prawej. Staliśmy tak przez kilka sekund. Jack wyciąga gwałtownie sprawną rękę z karabinkiem automatycznym w garści, w moim kierunku. Z satysfakcją zauważyłem, że Bergmann obciął mu większą część lufy. Celność Jack'a drastycznie spadła.

Odkoczyłem, padając na ziemię, ale część kul uderza mnie w ramię i klatkę piersiową. Draśnięcie,

choć bolesne. Na chwilę tracę dech. Na szczęście nie wypuściłem Lucy z garści.

Wtedy zaatakował Bergmann. Jack był szybszy i długą serią wytrącił miecz z dłoni samuraja. Bergmann jednak mimo wszystko rzucił się na gangstera, przewrócił go na ziemię i zaczął okładać pięściami.

Nie trwało to długo. Rany the Star'a były o wiele głębsze i w znacznie mniejszym stopniu redukowały jego zdolności bojowe. Po chwili to Jack był na wierzchu w plątaninie rąk i nóg. Przyłożył wylot karabinku do głowy Niemca i uśmiechnął się paskudnie.

Bardzo mnie to ucieszyło. Przeszali się ruszać i mogłem oddać czysty strzał. Kula trafiła przywódcę gangu w potylicę, jednak nie wyszła przez trzewioczaszkę. Zerwałem się, ignorując obite organy i nieznośny pisk w głowie. Nie umarł. Jeszcze nie.

Pistolet maszynowy pod wpływem mojego kopniaka przeleciał przez pokój i wpadł pod kanapę.

Chwyciłem the Star'a za włosy i wystrzeliłem pozostałe w bębieniu pięć kul w jego oko, robiąc mu z mózgu gulasz z elementami elektroniki.

Siadam ciężko na biurku. Bergmann wstaje powoli i siada obok mnie. Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia względem niego, czy Razora. Było mi to obojętne, więc skąd uczucie, że coś jest cholernie nie tak? Sumienie? Kasa?

A skoro o kasie mowa, przywódca gangu, który trząsł całym rewirem nie mógł łączyć bez grosza przy duszy.

Zacząłem przetrząsać jego kieszenie, gdy moje

serce nagle stanęło. Mam nadzieję, że to nie jest to o czym myślę. Znany kształt. Wyjąłem i przez chwilę naprawdę myślałem, że dostanę zawału. Pokrwawiona odznaka przypięta do skórzanego etui z legitymacją policyjną. Niech to szlag trafi!

Dureń, dureń, stary głupi debil! W przypiływie złości kopnąłem truchło Franka Kowalsky'ego – gliniarza pod przykrywką. Nie miałem wątpliwości, że to on. Już słyszałem o tym gościu. Mam znajomego, który jest korporacyjnym hakerem i kolekcjonuje dane, by potem je sprzedawać.

Bergmann był wstrząśnięty nie mniej niż ja.

– Co teraz? – spojrzał na mnie, jakby oczekując na rozkaz.

Podbiegłem do drzwi. Co teraz? Dobre pytanie. W tym momencie drzwi wypadły z zawiasów. Do pokoju wtargnął oddział antyterrorystyczny. Trzymali duże tarcze kuloodporne i automatyczne strzelby Jackhammer. Było ich pięciu. Ciężkie opancerzenie – kevlarowe hełmy i pancerze. Mam złe przeczucia.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że rumor z dołu dalej trwa. Dewastatorzy już dawno wyeliminowali Gangbangerów. Teraz walczą z gliniarzami.

Żandarmerzy wycelowali do nas ze strzelb.

– Bravo, tu Alfa 2 – rzucił do krótkofalówki. – Mamy tu dwóch zabitych i dwóch rannych.

– Afro, czy któryś ma afro? – z krótkofalówki odezwał się głos kobiety. Mimo trzasków i szumów rozpoznałem głos Roberts.

– Potwierdzam. Stan: zabity.

– To jest wysoko postawiony policjant. Nie podejmować próby pojmania morderców. Powtarzam, nie podejmować próby pojmania morderców. To wysoce niebezpieczni recydywiści, którzy zabili nanoulepszonego specjalistę. Rozkaz: niezwłocznie zlikwidować.

Ty szmaciaro. W mojej głowie zaczęły pojawiać się sceny tego, co planowałem jej zrobić. Będzie błagała o śmierć. Ale najpierw muszę stąd zwać. Nic prostszego. Pora rozpocząć zabawę po mojemu.

Zacisnąłem pięści. Nie zdążyli otworzyć ognia. Dowódcę, który rozmawiał z Roberts złapałem za łufę strzelby i pociągnąłem do siebie, nadziewając go na moją wyciągniętą nogę. Możliwe, że coś mu pękło w bebechach, gdyż z jego ust wytrysnął strumień krwi. Gdy zaczęli wreszcie do mnie strzelać, ja już byłem za zasłoną jego tarczy. Rozpędziłem się i przebiegłem przez pokój, potracając dwóch żandarmów. Koło uszu świstały mi kule. Bergmann siedział dalej, oszołomiony na biurku. Już po nim. W takim stanie nie ma szans. Puściłem tarczę i rzuciłem się naprzód, wybijając szybę. Czwarte piętro to nie mój limit. Na szczęście. Wylądowałem na środku drogi, robiąc, jak to nazywają te dzieciaki, co biegają po dachach, „roladę”, czyli rozmieściłem impet upadku równomiernie wzdłuż protezy kręgosłupa. Mam startą skórę na plecach. Muszę wymienić płaszcz, gdyż ten jest cały porwany – rzucam się w oczy. Impet powietrza zerwał mi z głowy kapelusz – nie ma sensu, by go teraz szukać.

Już nie ma żadnych wyborów. Pora udowodnić

komuś, że coś jeszcze jesteś wart. Do mieszkania nie mogę wrócić, pewnie już rozglądają się tam smutni. Publicznie też lepiej się nie pokazywać, polują na mnie w całym okręgu. Za zabicie wysoko postawionego gliniarza, bohatera, będą próbować wszystkiego, by mnie dorwać i pokazać innym, że nie ma z nimi żartów.

Zniknąłem wszystkim z oczu, zanurzając się w ciemną uliczkę. Trzeba się przebiec po mieście. Trzeba przepytąć informatorów i uruchomić dawne kontakty. Pora przycisnąć dłużników. A potem przyjdzie czas na zemstę. Nie mogę tego tak zostawić.

Ale najpierw trzeba się pozszywać. Zapłaciłem żulowi, żeby skoczył do apteki po drugiej stronie ulicy i kupił mi bandaż, zapalki, oraz butelkę spirytusu salicylowego. Gdy ruszył chwiejnym krokiem, siadłem na jego miejscu i dyskretnie przeładowałem Lucy. Trzeba cię, moja droga, zmienić lekko. Przeciw opancerzonym i zmodyfikowanym nie jesteś tak skuteczna, jak przeciw śmieciom z ulicy i szarym gangsterom. Potrzebuję adresu rusznikarza. Potrzebuję adresu Roberts. Potrzebowałem Chromatusa. Mój najlepszy przyjaciel z woja. Gdy odeszliśmy do cywila, nasze drogi rozeszły się. On znalazł zatrudnienie w jednej z korporacji, ja zaś otworzyłem interes. Prywatny detektyw, niestroniący od porwań, wymuszeń, morderstw, ochrony VIP'ów. Jestem najemnikiem, kwestia nazwy – ludzie chętniej przychodzą do „prywatnego detektywa” niż „płatnego siepacza”.

Żul uwinął się bardzo szybko. Dałem mu kilka groszy, po czym skierowałem się do najbliższej meliny.

„Pałac” - opuszczony blok przeznaczony do rozbiórki. Schron ćpunów, bezdomnych i meneli. Nikt mnie tu nie będzie szukał. Siadłem sobie w pustej kawalerce na trzecim piętrze i ściągnąłem górną część ubrania. Wokół rozlegały się krzyki ulicznych prostytutek, przyprawiające o dreszcze mamrotania naćpanych dzieciaków i charczenie awanturujących się żuli.

Naliczyłem siedem trafień w klatkę. Wszystkie pociski poodbijały się od żeber nie czyniąc szkody organom. Jedynie tkanka mięśniowa była trochę podziurkowana, ale to nic takiego. Gazik nasączony spirytusem, bandaże i do roboty. Gorzej z ręką. Pocisk utknął w bicepsie, trzeba go usunąć. Dezynfekuję nóż sprężynowy, zaciskam zęby i zaczynam powoli wyjmować kulę. Na filmach fajnie to wygląda – myk, myk, myk i koniec. Męczyłem się z tym cholerstwem pięć minut, zanim wydtubałem. Kulka kalibru 10 mm. Z rany obficie popłynęła krew, ale byłem przygotowany. Potarłem o draskę wcześniej przygotowany pęk zapalek i przypaliłem dziurę, tamując krwotok. Szczypało, jak cholera, ale bywałem już gorzej raniony. O wiele gorzej. Po tych wszystkich latach w wojsku jestem niekoronowanym królem opatrywania w ciężkich warunkach. Obwiązałem ramię resztką bandaża – ważne, żeby teraz to się nie paprało.

Pora ruszyć tyłek. Będą przetrząsać każdy kąt w tej ćwiartce Okręgu. Wychodząc z meliny, niezwłocznie wybrałem numer Chromatusa. Dał mi go kiedyś, na wypadek gdybym miał kłopoty, bądź chciał wyjść na kielicha i powspominać stare, gorsze czasy. Ja też mu

dałem mój numer. Do dziś się nie dzwoniłiśmy.

Wzdycham i wybieram numer. Odebrał natychmiast.

– Chromatus? Tu Obóz. Jesteś teraz w robocie? – spytałem.

– Ta. Przez pięć sekund się nie odzywaj, muszę się skupić – padła odpowiedź. Miał dziwny głos.

Po pięciu sekundach usłyszałem huk wystrzału wielkokalibrowego karabinu wyborowego. Wszędzie rozpoznam ten huk. Fajna praca.

– Trafieś? – zaciekałem się.

– No ba!

– Mam kłopoty. Mógłbyś mi pomóc?

– Jakich rozmiarów problem?

– Właściwie już jestem martwy, tylko zbyt uparty, by przestać wierzyć nogami – mruknąłem niezadowolony. Przytapałem się na paranoicznym rozglądaniu dookoła. Przestań, kretynie! Wiesz jak to zwraca uwagę?!

– Spotkajmy się za pół godziny w „Gwieździe Pecha” – rzekł Chromatus i rozłączył się.

Pełen optymizmu ruszyłem w stronę knajpy. Nie było problemu, którego nie moglibyśmy razem rozwiązać. Jak za starych, dobrych czasów. Niezniszczalna dwójka od zadań niemożliwych. Traper i zwiadowca. Jeden od walki w krótkim dystansie, specjalista od materiałów wybuchowych, fachowiec w dziedzinie różnej maści broni palnej, oraz przetrwania w dziczy – czyli ja. Chromatus był snajperem, mistrzem maskowania się i głównym taktykiem. On opracowywał

plany i wyznaczał kolejne cele.

Skręciłem w uliczkę. Surowy wyraz twarzy, dłoń na kolbie colta. Nie miałem ochoty na zabawy. Wyszedłem na skrzyżowanie, pomiędzy czterema budynkami. Usłyszałem kliknięcie i poczułem znajomy kształt lufy przyciśnięty do nerki.

– A teraz powolutku się obracamy. Nie chciałbym ustrzelić kogoś niewinnego – usłyszałem wysoki niemęski głos, należący jednak do mężczyzny. Jakiś frajer wyszedł w teren zarobić gruby szmal. Znałem takich. Siedzą sobie kilka lat w tej branży, załatwiają masę innych frajerów i wydaje im się, że są profesjonalistami. Później znajdują ich w uliczkach takich, jak ta.

Podnoszę ręce do góry i powoli się odwracam. Goguś ma na głowie więcej żelu niż włosów. Uśmiecha się perfidnie. Ubrany w dobrze skrojony, granatowy garniak. W łapie trzyma Browninga Super-Power. Za nim jakiś zakapior w czerwonym worku na głowie z dziurami na oczy. Nosił jakiś brudny sweter, powycierane jeansy, zaś w jego rękach spoczywał klon automatu Kałasznikowa, z jedną „drobniutką” zmianą – był na pociski śrutowe 12 Gauge.

– To chyba nasz gagatek! – zapiął radośnie ciotowaty elegancik, wymachując spluwą.

Uwielbiam płatnych zabójców, handlarzy prochami i facetami w czerni. Możesz robić z nimi co chcesz, bez żadnych wyrzutów sumienia.

Potężnym kopniakiem w klejnoty unieszkodliwiam gogusia, po czym łapię go lewą ręką za ramię i w ten sposób zyskuję żywą tarczą. Nie ma

cudów. Ten śmierzdel z pocisku śrutowego mnie nie trafi tak, by nie ranić gogusia. Ale ja nawet nie daję mu tej szansy. Wrywam Lucy z kabury i strzelam mu kilkukrotnie w brzuch, po czym uderzam kolbą pistoletu o skroń garniturowca. Gdy pada na ziemię, dobijam go kulą między oczy.

Powolnym krokiem podchodzę do śmierdziela, który bezskutecznie próbuje zatamować ranę brzucha dłońmi. Podnoszę jego automatyczną strzelbę. Nieźle cacko.

– Oddawaj mi swoje zapasowe magazynki do tej zabawki. Ruchy - rozkazuję.

– C-co? – patrzy na mnie w szoku. Nie posłuchał, więc strzelam mu w kolano. Jego krzyk idzie echem po uliczce. Zaraz będę musiał się zmywać.

– Magazynki. Nie chcę sobie brudzić rąk krwią, jak będę musiał przeszukiwać twoje truchło – powiedział, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

Jak na śmiertelnie postrzelonego, zaskakująco szybko powyjmował wszystkie magazynki z kieszeni. Wszystkie dwa.

– Kto wam to zlecił? – chciałem wiedzieć, oglądając mechanizm broni.

Powiedział. Odpowiedź mnie nie zadowoliła. Tablica najemników to całkiem przemyślana rzecz. Trafia tam twoja głowa, nie wiadomo kto zlecił. Znana jest tylko suma. I potrzeba dowodu zgonu pacjenta, wiadomo – cwaniaków nie brakuje.

I tak go zabiłem. Wiedział zbyt dużo. Ściągnąłem mu tylko ten worek z twarzy, ciekaw czemu go nosił.

Cała morda w szwach i świeżych bliznach. Wymiana czaszki. Jego łeb był kuloodporny, co nie znaczy, że nie groził mu wstrząs mózgu. Pewnie wziął kredyt na operację...

„Gwiazda Pecha” jakoś nie zmieniła się drastycznie przez te dwie godziny. Siadłem przy ladzie. W trymiga podchodzi do mnie barmanka - Norma. Transseksualistka. Chirurgia osiągnęła niesamowity poziom. Ma męża, dwójkę dzieci i prowadzi spokojne życie. Ciekawe tylko, czy gościu wie...

– Co podać? – uśmiechnęła się.

– Rum z colą iii... – dopiero teraz uświadomiłem sobie jak głodny jestem. - ...a dajże tego kebaba. Dodaj trochę ekstra cebuli – puściłem oko.

Gdy jadłem, obok mnie przysiadł się jakiś dziwny gość. Wyglądał jak pajak. Chodził zgarbiony, miał wątłe nogi, ramiona, ogólnie cały był chudy. Nie widziałem jego twarzy – nosił coś w rodzaju hełmu z lustrzaną przyłbicą. Miał na sobie grafitowy kombinezon, składający się z połączonych płyt różnej wielkości. Przypominało to ciężkie pancerze wspomagane, ale ich płytki mają grubość nawet sześciu centymetrów.

– Te płytki mają po siedem centymetrów i przylegają bezpośrednio do rur, które osłaniają moje kości ze szkła metalicznego oraz kable odpowiadające za przekaz impulsów nerwowych – odezwał się nieznajomy, nie swoim głosem, tylko za pomocą syntezatora.

Z wrażenia kawałek kapusty wypadł mi z ust i wylądował z powrotem w kebabie.

– Chromatus? – szepnąłem. Wszędzie rozpoznam ten bełkot. – Co oni ci...

– Zostałem ulepszony. Ze starego ciała został mi tylko mózg.

– Duch w skorupie – był kiedyś taki serial animowany o cyborgach, tylko oni wyglądali jak ludzie, nie jak obcy. – Masz stąd dostęp do swoich baz danych? – spytałem.

Chromatus odwrócił głowę w moją stronę i puknął się w miejsce, w którym ludzie mają skroń. Gdyby miał twarz, jestem pewien, że uśmiechałby się. Ale widziałem tylko własne, paskudne odbicie.

– Zawsze przy sobie.

– Wpierw oblukaj w sieci jakichś bieżących informacji na mój temat. Muszę wiedzieć jaką nagrodę za mnie wyznaczili, skoro tak szybko napotkałem pierwszych łowców głów. Haker pokroju Chromatusa załatwi taką pierdołę w kilka sekund.

– Łohoho – nijaki głos syntezatora sprawił, iż zabrzmiało to absurdalnie. Z trudem stłumiłem chichot. Mimo nieciekawej sytuacji byłem w niezłym humorze. - Calutkie dwadzieścia kawałków! Komuś wpadłeś w oko, czy coś...

Skracając jak tylko się da i jednocześnie wprowadzając jak najwięcej szczegółów opowiedziałem Chromatusowi jak się sprawy mają. Milczał chwilę, po czym rzucił:

– Spotykamy się tutaj, jutro rano. Będę miał adres i zabiorę sprzęt. Jak za starych dobrych czasów - teraz by się uśmiechnął. Nawet ja się uśmiechnąłem.

Rozpoczęliśmy luźniejszą rozmowę. Dziesięć lat to kupa czasu.

Spędziliśmy w knajpie dobre dwie godziny, mieliśmy co wspominać. Nagle Chromatus przypomniał sobie:

– Właśnie, dlaczego Obóz?

– Co, Obóz?

– No, zmieniłeś ksywkę – no, rzeczywiście, zmieniłem.

– Jakoś tak wyszło... Chciałem się odciąć od przeszłości. Poza tym, pamiętasz jeszcze Bideta? Tak, ten co jako jedyny z naszego oddziału przeżył pod Damaszkiem. Z wyjątkiem nas. Dostał na mnie zlecenie. Od tego czasu oficjalnie nie brałem udziału w żadnej wojnie. Allahy to wyjątkowo pamiętliwe gnoje...

– Zabiłeś go? - chciał wiedzieć Chromatus.

– A co miałem zrobić? – sam by tak zrobił, jestem tego pewien.

– No, ale dlaczego właśnie Obóz? – dobre pytanie.

– Dostawaliśmy od sierżanta Dockera oceny pisemne, gdy zakończyliśmy szkolenie. Napisał, że jestem niczym chodzący obóz śmierci. Wykopałem to gdzieś w kłopotach i wykorzystałem – wyjaśniłem. – A właśnie. Znasz może jakiegoś dobrego rusznikarza?

– Jak dobrego? – Chromatus nie kontynuował wątku. On był Chromatusem przez swojego sławnego, świecącego się jak psu jajca, chromowanego, skróconego Winchestera 1887, którego zabierał na każdą akcję zamiast przepisowego pistoletu. Ja wtedy jeszcze byłem Żulmisiem – nikt nie mógł mnie przepić.

Polskie korzenie – mawiali. Kretyńska ksywa przylgnęła.

– Powiedzmy... Takiego, u którego ty robisz. Nie ma miejsca na kichę.

Przyjaciół zapisał mi adres na serwetce.

– Robi drogo – zaśmiał się sztucznie.

Przybiliśmy grabę i każdy ruszył w swoją stronę. Musiałem zabrać pieniądze z mieszkania. Byłem na sto procent pewny, że ktoś tam wyzionie ducha.

Droga do domu przebiegła bez przeszkód. Szedłem najgorszymi melinami Okręgu. Jeśli szukasz guza, bądź potrzebujesz darmowego zabiegu rozcinalnia skóry pod żebrem – zapraszamy.

Zbadałem podłogę przed drzwiami mojego mieszkania. Na podłodze widniały dwie, równoległe linie, prowadzące do drzwi. Ślady butów, jakby ktoś był ciągnięty i stawiał opór.

Jestem zapobiegawczym człowiekiem. Mam dwie pary drzwi. Pierwsze – drzwi jak drzwi. Do klamki drugich podłączam akumulator. Gościa popieści i to będzie jego ostatni skok. Skok napięcia, śmiertelny w skutkach. Wyjąłem z kieszeni gumową rękawiczkę, którą zawsze otwierałem drzwi. Prawa dłoń zaciśnięta była na chwycie pistoletowym zdobycznej strzelby. Pchnąłem gwałtownie drugie drzwi.

Zabójca siedział na MOJEJ kanapie, sącząc MOJEGO Balantines'a i rysował MÓJ stół ciężkim, wytłumionym pistoletem Wolf Hunter III.

Zobaczył mnie natychmiast. Rzucił się po gnata, ale nie zdążył. Jednym strzałem strąciłem go ze stołu. Przy okazji zrobiłem kilka dziur w meblu.

N 1

Zabójca wstał powoli, unosząc ręce tak, bym je widział. Na dłoniach miał gumowe rękawiczki chirurgiczne, na obuwiu zaś założył foliowe ochraniacze. Otwiera usta, chce coś powiedzieć.

Strzelam dwa razy. Raz w okno za nim. Szybko roztrzaskuje się na kawałki, a druga porcja śrutu uderza zabójcę w tors, wypychając go na zewnątrz.

Po kilku sekundach słyszę trzask, którego nie można pomylić z niczym innym. Łomot stu kilogramów mięsa uderzający w asfalt po locie z piątego piętra.

Zamknąłem drzwi, odstawiłem strzelbę pod ścianę i z gotową Lucy przeszukuję mieszkanie. Tak jak sądziłem – było ich dwóch. Jednego załatwił akumulator. Jego towarzysz musiał przewlec zwłoki do łazienki i posadzić nieszczęśnika na kiblu. Ostrożnie podszedłem i podniosłem lufą nie jego, a jak się okazało jej głowę. Mucha. Muchy są zrzeszeniem płatnych morderczyń. Pojawiały się znikąd, likwidowały i zniknęły z ciałem. Krążą pogłoski, iż praktykują ludożerstwo. Ta była młoda. Młoda i nieopierzona. Krótkie pomarańczowe włosy postawione na żel, przeszczepione oczy na unikatowe modele o budowie gałek ocznych Much, kilka gniazdek od kabli na szyi. Hakerka. Pewnie jej pierwsze wyjście w teren. Bardzo możliwe, że ten zabójca – doktorek przyszedł dopiero później i sprzątnął zwłoki. Muchy nie współpracują z nikim spoza ich zakonu.

Strzeliłem jej kontrolnie w głowę, zachlapując sobie przy okazji kafelki. Życie ważniejsze. I respekt na dzielnicy. Wyniosłem ją z łazienki i po chwili Muszka

pofrunęła w ślad za doktorkiem. Pacnęła o ziemię i po raz ostatni zamachała rączkami na dwa metry kwadratowe.

Przekaz dla miejscowych kryminalistów jest prosty i nawet takie ułomy jak oni go rozumieją. Gdy rozpoznają Muchę, zapamiętają, że z takimi szajbusami jak ja się nie zadziera. I będą mieli cholerną rację.

Spakowałem kasę z ukrytego sejfu do torby. Zabierać kałacha, czy nie? Niech leży, nie potrzebuję dodatkowego balastu. Za to wrzuciłem do torby Wolfa, należącego do zabitego zabójcy. Poprawka – należącego do mnie. I przyda się jakieś okrycie. W szafie znalazłem tylko zakurzony prochowiec. Starczy.

Sprawdziłem jeszcze raz adres i ruszyłem na piechotę. Przejdę przez pół Okręgu. Dwie godziny lekko...

Nie ulegało wątpliwości, że zaminowali moje auto. Gorzej jeśli to mina reagująca na ciepło. No cóż – lepiej niewinny przechodzień niż ja. Już miałem przejść za róg, gdy palące uczucie niezłałatwionej sprawy zwyciężyło. Westchnąłem i rozejrzałem się. Było, jak być powinno. Z piątego piętra spadła para zwłok, mądrzy ludzie pochowali się do domów. Wycelowałem coltem w auto. Wystrzeliłem trzy razy w spód auta zanim trafiłem w bombę. Wóz w mgnieniu oka zmienił się w kulę ognia. To by było na tyle jeśli chodzi o tankowanie tego złoma.

Załadowałem broń, schowałem do kabury i rażnym krokiem ruszyłem przed siebie. Zatrzymałem się tylko w połowie drogi, by rozdać porcję solidnych

kopniaków dwóm gówniarzom znęcającym się nad szczeniakiem. W moim życiu widziałem wiele rzeczy. Martwe dzieci, ludzie umierający od głodu, ran, pragnienia, gwałcone kobiety i tyle wnętrzności, że powinienem zostać lekarzem. Nic mnie nie rusza. Ale co jak co, psa proszę mi nie ruszać.

Lokal rusznikarza był dość skromny. Parterowy sklepik na podwórku jakiejś kamienicy. Nacisnąłem na klamkę i wszedłem.

Pomieszczenie było ciasne. Białe ściany z zaciekami, kilka oszklonych gablot z przeróżnymi modelami broni palnej przemieszanych z częściami. Lufy, spusty, sprężyny – z samych części można złożyć sporą zbrojownię. Gościu chyba się znał na rzeczy – wszystko zadbane, wyczyszczone i naoliwione.

– Dzień dobry, ja chciałbym dostać zwrot pieniędzy za to... – jakiś gołowąs stał przed ladą nerwowo przekładając ciężki pistolet AMT Heavyballer z ręki do ręki. – Nie działa.

Za ladą stał mały, zasuszony człowieczek w dużym kapeluszu i wiszącej na nim bordowej koszuli w kratkę. Na oko w moim wieku, niedbały zarost i przydługie włosy do ramion z siwymi pasmami. Miał protezę oka – pierwszy raz widzę coś takiego, jakby mały teleskop.

Klient to typowy świeżak. Baddasowa skórzana kurtka, irokez i proteza prawej ręki. Seria NATO X – ciekawy wynalazek, może stanowić karabin automatyczny kalibru 5,56. Widziałem to u oficerów na froncie. Nadgarstek jakoś zwalnia i dłoń jest w stanie chwycić za przedramię i odblokowuje wylot lufy.

Kompatybilne magazynki od M4.

– Nie działa? – rusznikarz miał okropnie zgrzytający głos. Nie wyglądał na miłego typu. Dzieciak pewnie robi w gacie ze strachu.

Sprzedawca fachowo sprawdził magazynek, przeładował, po czym wychylił się i wycelował w klejnoty klienta.

– Na pewno nie działa? Chcesz sprawdzić? – uśmiechnął się jadownicie.

Młody zbłądł i wybiegł ze sklepu, potrącając mnie. A właściwie to odbijając się ode mnie. Rusznikarz wyglądał na zadowolonego.

– W czym mogę służyć? – spytał, wkładając pistolet gdzieś za ladę.

– Poleciał mi pana Chromatus – zacząłem, gdy rusznikarz oparł łokcie o ladę. – Potrzebuję większej siły ognia – położyłem rewolwer na ladę.

Rusznikarz zacmokał i delikatnie wziął pistolet do rąk. Tylko niech uważa na Lucy, bo mu gnaty poprzetrącam. Obserwuję go nerwowo. Bez tej spluwy przy boku czuję się jakoś tak nago i bezbronnie. Człowiek bez pistoletu jest człowiekiem nagim. Człowiek z pistoletem jest tylko bez ubrań.

– Piękna sztuka. Colt 1851 Navy. Wersja pośrednia, pomiędzy Pocketem a Dragoonem – odciągnął kurek i strzelił w ścianę po drugiej stronie drzwi. Odpadł kawał tynku. Sądząc po tylu dziurach, gościu traktował ten kawałek ściany jak tarczę do sprawdzania broni - konwersja, dość rzadka. Dziś spotyka się przeważnie wersje Richards'a i Masona, tą

bez dźwigni. Modyfikowana lufa, bębenek i zapewne coś jeszcze, by... – jego wzrok zatrzymał się na wygrawerowanej nagiej kobiecie na lufie i napisie „Lucy” – ...Lucy mogła korzystać z pocisków na proch bezdymny – wyciągnął jeden pocisk. – Trzydziestka ósemka...

No, to się nagała. Tyle to i ja wiem.

– Da się coś z tym zrobić, czy muszę kupić jakąś armatę? – niecierpliwiłem się.

Puknął kilkukrotnie w bębenek, po czym rzekł w zamyśleniu:

– Będziesz mógł strzelać tym – postawił na ladzie pocisk .357 Magnum – i swoimi dotychczasowymi. Nie będziesz marnował mocnych pocisków na byle płotki. Muszę wymienić lufę i bębenek. Dokonam kilku kosmetycznych poprawek...

– Ile? – mam dziwne wrażenie, że coś kręci.

– Dostaniesz rabat, że od Chromatusa, obniżę też koszt, bo nigdy tego modelu w łapie nie miałem i chętnie zrobię rysunki. To zajmie chwileczkę. Łącznie – okrążył tysiąc. Cena nie obejmuje amunicji - mrugnął do mnie. - Rano będzie gotowa.

– Co!? – kurczę, myślałem, że już teraz się uwinie! Trzeba po staremu...

Wyjąłem z torby tysiąc dolarów w zwitkach i położyłem na ladzie razem ze zdobyczną spluwą.

– A to za amunicję. Daj dwie paczki po pięćdziesiąt pocisków.

Rusznikarz sprawnie zgarnął fanty.

– Ja się zabieram do roboty. Prześpij się. W

magazynku masz fotel. Nie ruszaj niczego. Możesz się napić whisky.

Whisky miał ostrą i załatującą bimbrem. Nie takie rzeczy piłem w mundurze. Fotel wydawał się niewygodny, ale spałem jak dziecko...

– Wstawaj, skończyłem! – rusznikarz wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego z siebie. W dłoniach trzymał Lucy, ale to już nie była stara Lucy! Nie była już szara, tylko grafitowa. Na lufie nie było już kobietki. Została przeniesiona na rękojeść. Teraz będę z nią w stałym kontakcie przy każdej strzelaninie. Drżącymi dłońmi sięgnąłem po broń. Wstałem, poprawiając prochowiec i nie czekając na rusznikarza wkroczyłem do pokoju z ladą. Kurek chodził gładko, jak złoto.

– Teraz jest dwutaktowy, nie musisz cały czas go napinać – rzekł uśmiechnięty rusznikarz. Nie ma bardziej wzruszającej sceny niż mężczyzna witający się z ukochaną bronią.

Pociągnąłem za spust. Delikatnie i powoli. Odrzut był nieco większy niż poprzednio, ale widok dziury wybitej przez pocisk przebijający .357 Magnum całkowicie to wynagrodził.

– Dziękuję. Teraz będzie w sam raz – dziura w ścianie była prawie trzy razy większa.

– Jak coś, to do usług – ukłonił się rusznikarz. – Tak swoją drogą, wołają na mnie Suchy Joe – podał mi dłoń, którą ucisnąłem. Miał twardy i pewny chwyt. Jak kowboj.

Zapakowałem amunicję do kieszeni, zarzuciłem o wiele lżejszą torbę na ramię, pożegnałem rusznikarza i

wyszedłem.

Było wcześniej rano. Ludzi niewiele, bo i po co się włączyć, jak jeszcze słońeczko dobrze nie wstało?

Dziś jest ten dzień. Dzień zapłaty. Czułem to w wąpiach. Czułem to w powietrzu. Maszerując w stronę Gwiazdy Pecha, zatrzymałem się w dwudziesto-czterogodzinnym, by kupić sobie coś do żarcia.

Z Chromatusem spotkałem się koło siódmej w umówionym miejscu. Na plecach miał przymocowany karabin snajperski, niewiele krótszy od jego własnego wzrostu. Nie miałem pojęcia, co to za broń, gdyż pierwszy raz widziałem ją na oczy.

– To prototyp. Bez odrzutu, celność do dziesięciu kilometrów. Strzela przerabianymi pociskami myśliwskimi .700 Nitro Express. Od firmy dostałem - wyjaśnił Chromatus. U boku miał też swoją ukochaną strzelbę Winchestera.

Zapakowaliśmy się do jego auta – czarne Audi, które musiało kosztować tyle, ile moje roczne zarobki.

– Mam dla ciebie granaty – rzucił mi ciężką torbę.

– Gdzie jedziemy? – spytałem, przymocowując je do paska.

– Udało mi się do niej dotrzeć. Komenda północnej ćwiartki okręgu – spodziewałem się, że to będzie jakaś twierdza.

– Jak bardzo obsadzone? – mruknąłem, sprawdzając płynność obrotu bębena Lucy.

– Bardzo. Wiesz w ogóle, co zamierzasz zrobić? Gdy tam wejdziemy, nie będzie już odwrotu – martwił się Chromatus.

– Spokojna marchewka. Ty tam się lepiej zajmij prowadzeniem, bo nas w drzewo wpakujesz.

– Autopilot – dopiero teraz zauważyłem, że cyborg przeładowuje karabin. Wzdrygnąłem się.

Zajechaliśmy na miejsce po dłuższym czasie. Podczas jazdy przedstawiłem kompanowi mój niezbyt skomplikowany plan.

Chromatus jeszcze raz sprawdził zamocowanie bagnetu długości miecza na swoim karabinie snajperskim. W razie czego może nim się posługiwać niczym berdyszem.

Komenda była właściwie bazą. Drapacz chmur z lądowiskiem dla helikopterów i całkiem sporym aresztem, w którym siedzieli przestępcy w oczekiwaniu na sprawy sądowe. Dziewięćdziesiąt procent z nich kończyło się krzesłem. Reszta to dożywocia i dwudziestki piątki.

Pchnąłem drzwi. Duży, przestronny hol, marmurowe kolumny. Czerwony dywan prowadził do windy, jednak w połowie druga część pokoju była odgradzona metrowej wielkości barierką. Dalej stało dwóch żandarmów w hełmach i pancerzach. Stali sztywno i trzymali pistolety maszynowe. Chromatus został z tyłu, ja zaś rozpędziłem się i ruszyłem sprintem w stronę barierki. Pierwszy żandarm mówi coś, ale do mikrofonu w hełmie, nie do mnie. Przeskakuję przez barierkę i kieruję się w stronę windy. Słyszę odgłos wystrzałów. Obaj „macają” mnie długimi seriami po plecach. Przewróciłem się i upadłem na brzuch. Bolało jak cholera. Słyszę kroki z tyłu. Jest ich o wiele więcej niż

dwóch.

Czuję czyjś świszczący oddech. Zebrali się wokół mnie. Klamki w ich dłoniach wycelowane w mój tyłek nawet nie drgną. Ci goście mają nerwy ze stali.

Znudziło mnie to czekanie w kałuży własnej krwi. Gwałtownie obracam się na plecy i otwieram ogień do oszołomionych przeciwników. Z prawej ręki grzmi Lucy, z lewej zaś klasyczny Derringer Model 1, z doczepioną karteczką – „Zapraszam ponownie – Suchy Joe Rusznikarz”. Strzelam praktycznie na oślep. Oddaję osiem strzałów – sześć od Lucy i dwa z Derringera. Mój nowy nabytek jest małym, dwulufowym pistoletem na pociski pistoletowe .45 ACP.

Resztę żołnierzy wroga załatwił mój kompan, zakradając się od tyłu i orząc ich niczym rolnik zboża. Stał zadowolony, ściągając bagnet z karabinu. Gdyby miał twarz to pewnie by się wyszczerzył. Byłem rad, że kule przebiły osłony antyterrorystów, lecz nie były w stanie spenetrować tylnej warstwy ochronnej. To dobrze. Byłoby trochę głupio, gdybym postrzelił Chromatusa.

Dźwignąłem się z ziemi. Wszystkie kule poodbijały się od żeber, ale pozostawały w mojej imponującej warstwie mięśniowej. No nic, potem je wydłubię. Policzyłem ciała. Siedmiu padło od moich kul, siedmiu wybebeszył Chromatus.

Uzupełniłem pociski w bębenku Lucy i lufach Derringera.

– Pamiętasz, które to było piętro? – stęknąłem. Ból powoli mijał.

– Siódme – mruknął Chromatus przywołując

windę. – To było głupie.

– Nie głupsze niż zdobycie czołgu, będąc uzbrojonym jedynie w szpadel – przypomniałem mu stare dzieje na wojnie. Zaśmialiśmy się razem. No, nie było.

Winda przyjechała. Drzwi się rozsunęły i gwałtownie rzuciliśmy się w boki. W środku było sześciu żandarmów. Wychyliłem się i szybko wrzuciłem do środka odbezpieczony granat. Chromatus wcisnął byle jaki przycisk na tablicy. Winda zamknęła się i pojechała w górę, jednak dwóch antyterrorystów zdążyło wyjść.

Cyborg poderwał karabin wyborowy do ramienia i natychmiast pociągnął za spust. Kula .700 Nitro Express przeszła przez głowy obu żandarmów, jak przez arbuzy i wbiła się w ścianę, powodując pęknięcie marmurowej płyty. W uszach mi gwizdało, huk był nieziemski, za to na Chromatusie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Jakby strzelił sobie z wiatrówki w plastikową butelkę.

Nagle mnie olśniło.

– Ty, a windy przypadkiem nie mogą być sterowane przez głównego informatyka albo komputer? – spytałem Chromatusa.

– Mogą. Całe przedostatnie piętro jest pracownią komputerową. Stamtąd można kontrolować cały budynek. Także kamery – mruknął kompan.

– Ale?

– Ale nie mają kontroli ani obrazu. Wszystko zblokowałem. Działają tylko krótkofalówki w hełmach antyterrorki – cwaniak, tak właśnie podejrzewałem.

Wezwaliśmy windę. Przyjechała szybko,

wypełniona gulaszem flaków, nóg i rąk. Jak na złość wszystkie hełmy były uszkodzone. Wyciągnęliśmy te części ciała, które się dało i wkroczyliśmy do windy.

– Gdzie teraz, panie mądry? – ściągnąłem zębami osłonkę igły i zrobiłem sobie zastrzyk w przedramię. Stimpak – łagodzi ból, wspomaga krzepnięcie krwi i nie otumania. Tak przynajmniej mówiłyby reklamy telewizyjne.

– Przedostatnie piętro – poinformował Chromatus i wcisnął przycisk.

– Ale mówiłeś... – nie do końca rozumiem co się dzieje.

– Roberts tam jest.

Nie spytałem skąd wie. Jestem pewien, że wie, co robi. Po niecałej minucie winda wydała ciche piknięcie. Byliśmy na miejscu. Dobrze, akurat zaczynało tu nieludzko śmierdzieć.

Wyszliśmy, zostawiając na podłodze ślady krwi. Ostatni krótki hol. Likwidujemy dwóch czekających już na nas strażników. Nie zwalniamy, nie wyciągamy broni. Załatwiamy sprawę gołymi dłońmi. Ostatnie drzwi. Lucy jest gotowa i spragniona krwi.

Sala była duża i nieoświetlona. Dwa szeregi monstrualnych procesorów pospiny kablami. Były wielkości półek bibliotecznych. A za nimi... Moje serce zagrało mocniej. Tak być nie może! To nie fair! Czyżby to wszystko mogłem sobie rozbić o kant tyłka?

W końcu sali, pod ścianą, stał ogromny monitor, wyświetlający twarz młodej, może trzydziestoletniej kobiety. Ashley Roberts. Raz widziałem ją podczas

pierwszej rozmowy, gdy proponowała mi to zlecenie. Przez komunikator internetowy.

– Przełamywanie zabezpieczeń satelity wrogiego hakera. Stan, piętnaście procent – mówiła. Była nawet ładna. Jasna karnacja, trójkątna twarz, postrzępione blond włosy, dziwnie błyszczące oczy o obracających się tęczęwkach. Gdybym miał o te dwadzieścia lat mniej, to kto wie... Teraz mogłaby być moją córką.

– Moich zabezpieczeń nie przełamie – mruknął kwaśno Chromatus. – Może to cię pocieszy.

Niech to szlag! Kopnąłem ze złości jeden z procesorów. Coś zaiskrzyło, ekran zamigotał, ale nic się więcej nie stało.

– Przełamywanie zabezpieczeń satelity wrogiego hakera. Stan, szesnaście procent – nawijała dalej Roberts. Nie wytrzymałem i serią pocisków rozwalilem ekran. Ale nie głośniki. Kotłowało się we mnie. Zaraz coś rozwalę. Wysadzę w cholerę cały ten budynek.

– Tak jak myślałem, nie pocieszy. Ale może pocieszy cię fakt, że jednak Roberts nie jest superkomputerem. – Chromatus oparł się o procesor i skrzyżował ramiona na piersi – To wszystko jest oszustwem.

Prima Aprilis!

– Chromatus! Nie tak się u-u-umawialiśmy! – dobiegł histeryczny głos z głośników. Ale mój kompan nie zwracał na nią uwagi. Podeszedł do pozornie zwyczajnej ściany i opukał ją dokładnie. Gdy dźwięk zasugerował, iż coś jest nie tak, odpiął od pasa swoją strzelbę i pociągnął za spust.

Rozszerzyłem dziurę i otworzyłem drzwi. W ciasnej klitce, oświetlonej jarzeniówką, na fotelu siedziała Roberts. Zdejmowała właśnie z głowy hełm podłączony do monitora.

– Niepotrzebnie ze mną zadzierałaś, szmaciaro – warknąłem i łapałem ją za kark. – Idziemy.

Nie trzęsa się. Może pogodziła się z porażką. Może wiedziała, że nie ma żadnych szans. Zapakowaliśmy się we trójkę do windy.

– Wiesz czemu? – odezwała się. Czemu co? Nie rozluźniałem chwytu. – To było pomysłem wręcz genialnym w swej prostocie. Załatwiłabym cztery kurki na jednym ogniu.

– Czemu także gliniarza? – nie wytrzymałem.

– Zgwałcił mnie. Szantażował. Wymusił na mnie, bym ustąpiła dla niego z posady. Zrobiłam to, co robisz teraz ty. Zemściłam się. Plan zakładał także eliminację dwóch groźnych gangsterów i jednego naiwnego najemnika, który odwalił za mnie większość roboty - mimo mojej dłoni na swoim karku odwróciła głowę. Spojrzała mi w oczy i wycodziła: – Niczym się nie różnimy.

– Różnimy – rzekłem sucho. – Ty spaprałeś, ja nie – po czym strzelam jej w kolano.

Wrzasnęła z bólu. Spełniają się twoje najgorsze koszmary maleńka. Oglądaj, wyciągaj wnioski i ciesz się spektaklem. Póki możesz.

– O to ci chodzi? – wystękała. – Zabicie mnie sprawi ci przyjemność? – naiwniara.

– Nie, bo cię nie zabiję. Ale przyznam, że to co

stanie się zaraz sprawi mi wielką przyjemność. Ogromną – uśmiechnąłem się tak jak ja to mam w zwyczaju. Roberts dopiero teraz przestała zgrywać hardą.

– Chromatus, to jest to, o czym ci mówiłam. Ostatni punkt kontraktu. Ten cel. Zastrzel go, błagam – jej oczy zapętniają się łzami, ale nic mnie to obchodzi.

Patrzę na kompana. I ten okazał się zdrajcą? Niemożliwe. Nie czułem złości. Zalała mnie fala smutku. Zemsta to droga rzecz. Tracisz wrogów, ale jak się okazuje, także przyjaciół.

– Widzisz, ona jest moim mocodawcą. Komenda jest pod kontrolą jednej z korporacji dla której pracuję – Chromatus opuścił głowę.

Coś ścisnęło się w moim żołądku. Walka z nim nie będzie należała do łatwych. Nie mam wielkich szans – Oni ofiarowali mi pracę, ciało, kontakty... Miałem z nimi skończyć. Zostało mi tylko jedno zadanie. Tak się składa, że Roberts jest moją przełożoną. To ona mnie odnalazła i poparła moją kandydaturę, na czołowego zabójcę i hakera firmy. I dlatego... – umilkł. Wiedziałem, że jest mu wstyd. Było mu zwyczajnie głupio, ale nawet nie w połowie tak jak mi.

Puściłem Roberts i błyskawicznie sięgnąłem po rewolwer. Chromatus był szybszy. Padł strzał z jego strzelby. Ledwo zdążyłem musnąć ręką Lucy. Nagle poczułem się bardzo staro.

Ashley Roberts upadła na zakrwawioną podłogę. Pocisk breneka, wystrzelony przez Winchestera Chromatusa nie przebił jej kolana tak, jak moja magnumka. Po prostu oderwał nogę. Tę zdrową.

– I dlatego składałem wypowiedzenie – kiwnąłem do niego głową. Zrobił to samo. Wiedziałem, że się uśmiecha, mimo iż nie miał ust.

Powróciła moja wiara w ten świat. Winda już dawno dobiła do celu, ale dopiero teraz to zauważyliśmy. -2. Piwnica. Areszt. Do -1 trafiają ci w miarę normalni; złodzieje, zabójcy, najemnicy. Do -2 trafiali najgorsi. Seryjni mordercy małych dziewczynek, nekrofile, kanibale, zwierzęta, którzy podniecają się dopiero gdy widzą krew i działające organy jeszcze żywych ofiar. Ktoś kiedyś powiedział, że więzienie jest dla ludzi, zaś wściekłe psy należy usypiać.

Chromatus niósł ją w ramionach, a ja idąc pomiędzy celami zwyroli poszukiwałem wzrokiem strażnika. Roberts narobiła takiego hałasu, że obudziłaby zmarłych. Głupia krowa, skazała gościa na śmierć. Przybiegło trzech.

– Co się... – nigdy nie było im dane dowiedzieć się, co się dzieje, przez złe ołowiane kule w sercach.

Najgorsi z najgorszych byli trzymani w jednej, ogromnej celi. Było ich tam z dwudziestu. Postukałem gnatem o kratki. Oni doskonale wiedzieli, że ich śmierć to tylko kwestia czasu. I trzeba ten czas radośnie wykorzystać.

Wszyscy biegali po celi praktycznie na golasa. Chude, powykręcane ciała. Smród krwi, fekaliiów i potu. Rozbiegane oczy, zakrwawione palce. Sadystyczne uśmiechy. Brrrr.

– W rzędku mi się ustawić, pod ścianą – rzuciłem. Jeden z nich podleciał do kratki przed nami tak ochotczo,

że zderzył się z nią. Krew ciekła mu ciurkiem po czole, ale na nim nie robiło to wrażenia. Gdyby ich wychować odpowiednio, byłaby to niezła armia zabijaków.

Ale to śmieci niezastępujące by żyć. Strzeliłem do ochotczego psychopaty dwa razy. Padł na ziemię w drgawkach. Śmierć im nie straszna.

– Będziecie grzeczni, to coś dostaniecie – ogłosiłem. Jakbym obiecywał psu smakołyk. Albo dziecku cukierka.

Ustawili się równiutko. Jeden nie chciał się podporządkować, więc duży włochaty więzień o wyglądzie małpoluda skrzyknął mu kark.

Chromatus podłubał chwilę w magnetycznym zamku i po chwili drzwi celi stały otworem. Szybko wrzuciliśmy tam wydzierającą się Roberts i zablokowaliśmy zamek. Będzie się za chwilę działo.

– Ona stoi za waszymi aresztowaniami. Za waszą śmiercią. Nie mogę was wypuścić, ale dam wam sposobność do zemsty... – nie mogłem wiedzieć, czy to ona, choć szczerze w to wątpiłem. Czubki jednak tykały to bez przeszkód. – I do rozrywki. Bawcie się dobrze, bo to może wasza ostatnia zabawa w życiu! – Uśmiechnąłem się niczym dobroduszny ojciec. – I pamiętajcie, ona nie może opuścić tej celi żywa – dodałem na koniec jadowicie.

Przysunąłem sobie krzesło. Noga na nogę i oglądamy spektakl. Chromatus wyszedł zniesmaczony po dziesięciu minutach. Kręcił głową. Zobaczył bardzo dużo, ale to i tak nic w porównaniu ze scenami, które działy się pod koniec. Te obrazy zostaną w jego pamięci

na długo. Dwadzieścia lat na wojnie, dziesięć lat jako płatny zabójca, jednak to przekraczało wszelkie wyobrażenia. Sam nie mogłem się nadziwić jak pomysłowa jest wyobraźnia tych popaprańców.

Siedziałem i oglądałem. Do końca. Nie mogę powiedzieć, że sprawiało mi to przyjemność, ale musiałem. Taki był mój obowiązek. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby mnie to ominęło. Zemsta to zemsta. Moja się dopełniła.

Po Ashley Roberts została tylko plama krwi na betonie, sterta kości, papiery i wspomnienia. Zostanie uznana za zaginioną, gdyż nie doliczą się jej ciała w tym całym bajzlu, zaś więźniowie nie puszcza pary z ust.

– Już? – spytał Chromatus w holu. Kiwnąłem głową. Już po wszystkim.

Dostanie się na dach i włamanie się do odrzutowego helikoptera było tylko formalnością. Akurat gdy wchodziliśmy na podkład, zaczął grać alarm. W całym budynku pewnie się roiło jak w ulu. Pszczółki się wkurzyły nie na żarty. Chłopczykowi z kijem stanie się krzywda.

– Zdajesz sobie sprawę, że w tym mieście już nie ma dla nas miejsca, prawda? – spytał Chromatus, zdalnie pilotując helikopter, podłączając się do sterów za pomocą komputera w jego głowie.

Pokiwałem głową, obserwując miasto, które serdecznie kochałem i jednocześnie z całego serca nienawidziłem. Było jak szczeniak z biegunką. Zapaskudzi ci cały pokój, nawrzeszczysz na niego, dasz mu nawet kopniaka, ale mimo wszystko nie zmienisz go

na żadnego innego.

– Pora zmienić miejsce pobytu. Co powiesz na malowniczą miejscowość, położoną przy lazurowym morzu? Palmy, drinki z kokosa, cyncate tubylki, emerytura... – rozmarzyłem się.

– „Za młodzi na sen, za starzy na grzech” – wyrecytował Chromatus.

– Ale najpierw wymienimy ci, ten badziewny syntezytor. Co to za kompan, który nie pofatkuje z tobą szantów? – zaśmiałem się.

Lecimy do Juarez. Tam ponoć doceniają talent odbierania życia. Będziemy pracować w zespole. Jak za starych dobrych czasów. Zbijemy fortunę, może odnajdziemy zaginione złoto Juarez. Będzie dobrze.

Wylecieliśmy z przestrzeni powietrznej Okręgu. Moja noga nigdy tu więcej nie stanie. Granicę z Meksykiem pokonamy pieszo.

Gdy lecieliśmy, przyglądałem się smętnemu, szaremu krajobrazowi. Naturze zniszczonej przez fabryki i zanieczyszczenia. Coś sobie uświadomiłem:

– Wiesz, Chromatus? Właśnie zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu zrobiłem coś naprawdę dla siebie, nie dla pieniędzy.

Coś naprawdę dla mnie. Pierwszy raz. Oby nie ostatni.

THE END



To nie takie proste

Weronika Nowak



Całe zdarzenie miało miejsce kilka lat temu, chociaż ciężko to wyliczyć, bo działa się to na przestrzeni dwóch wieków. Skąd to wiem? No cóż. Byłem tam. A nazywam się John Adams.

Mamy rok 2189. Po wydarzeniach, które za chwile poznacie, przeszedłem na emeryturę. Opowiadam wam tą historię, bo według mojego psychologa pomoże mi to pogodzić się z przeszłością. Cztery lata temu pracowałem w CERNie w Szwajcarii, tam poznałem generała Andersa, którego zaciekała moja praca na temat czasoprzestrzeni. Zatrudnił mnie w tajnym laboratorium na Ziemi, a konkretnie na pustyni Gobi, gdzie miałem dostęp do najlepszego sprzętu i wiadomości jakich tylko chciałem. Po roku współpracy z najlepszymi naukowcami udało nam się stworzyć maszynę, która zaginała czas, potrafiła cofnąć nas do antyku lub przenieść w przyszłość. Testowaliśmy ją na zwierzętach. W końcu postanowiliśmy zrobić testy na ludziach. I to był największy błąd.

Wszyscy czekaliśmy na generała Andersa i jego świtę. Patrzyłem na doktora Kubricka. Stał przed maszyną tyłem do nas i wpatrywał się w zegarek założony na lewej ręce. W końcu drzwi otworzyły się i generał wszedł do środka.

– No to słucham. Jak działa ten wehikuł czasu? –

jak zwykle zero szacunku dla naukowców.

– Panie generale to jest maszyna nie wehikuł – mogę się założyć o 5\$, że spytałby co za różnica, gdyby nie Jane Toppan.

– Nazwa „wehikuł czasu” została opatentowana przez jedną z wytwórni filmowych, Maks. To znaczy panie generale – ona zawsze wiedziała co powiedzieć. Ach, piękna Jane. Szkoda, że była mężatką. Ale wróćmy do naszej historii. Wytłumaczyłem szybko Andersowi i jego ludziom, że maszyna zagina czasoprzestrzeń i przenosi osobę będącą w środku do daty (z dokładnością co do sekundy) i miejsca, które wystukane zostaną na monitorze. Aby wrócić wystarczy nacisnąć czerwony guziczek na zegarku. Należy również pamiętać żeby niczego nie zmienić w biegu zdarzeń, bo może się to źle skończyć. Jak? A no przyszłość zostanie zmieniona. Wielu ludzi, którzy mieli dokonać czegoś wielkiego, nie urodzi się i tym podobne.

– Więc Stanley, wiesz gdzie chcesz się udać? – spytałem stając przy klawiaturze.

– Tak. Ósmy stycznia 1894 roku, miasto Braunau nad Inn w Niemczech. Konkretna data, nie uważacie? – Wstukałem dane. Pomachałem na pożegnanie i wcisnąłem przycisk start. Po kilku sekundach maszyna rozbłysła czerwonym światłem (a mówiłem nie kupować czerwonych żarówek), zatrzęsła się i zgasła. Wszyscy usiedli czekając na powrót Kubricka. Czytali gazety,

rozmawiali jakby nic się nie stało. Tylko ja stałem i zastanawiałem się dlaczego ta data? Co takiego wydarzyło się w 1894 roku? Pewnie to jakiś ważny dzień dla Żydów. Stanley należał do zagorzałych wyznawców Jahwe (podobno jego wuj był rabinem). Musiałem się dowiedzieć. Wyszedłem z sali i udałem się do swojego gabinetu.

– Komputer, znajdź informacje na temat 08.01.1894 roku – wydałem polecenie i usiadłem w fotelu przed wielkim monitorem. DANE NIEDOSTĘPNE. Jak to niedostępne?! Trzeba obejść zabezpieczenia. To nie trudne jeśli zna się kilka hackerskich trików. Wysunąłem klawiaturę manualną i wpisałem kod deszyfrujący. 08.01.1894 rok – czteroletni Adolf Hitler zostaje uratowany przed utonięciem. Niemożliwe. Po jaką cholere Stanley chciał udać się właśnie tam? Pobiegłem do sali głównej. Kubrick właśnie wrócił.

– Powiedz, że tego nie zrobiłeś – złapałem go za frak i przycisnąłem do ściany. Ludzie myśleli, że zwariowałem. Próbowali mnie odciągnąć, a ja tylko krzyczałem i błagałem żeby to nie była prawda. Ale ten szatański uśmiech widniejący na twarzy Stanleya powiedział mi wszystko.

– Zabiłem go. Biedny chłopiec się utopił – patrzył mi prosto w oczy. Jeden z ludzi generała wykręcił mi rękę i odsunął na drugi koniec sali. Anders spojrzał wściekle na mnie, potem na doktora i zażądał wyjaśnień.

– Chcesz wyjaśnień? Proszę bardzo! Ten kretyn właśnie zabił Adolfa Hitlera zmieniając historię całego świata! Równowaga w czasoprzestrzeni została

zachwiana! – ten idiota zniszczył ziemię, bo chciał poprawić swoje samopoczucie – Sprawdźmy co się zmieniło na ziemi dobrze? – spojrzałem na Jane. Ta już wpisała coś do wyszukiwarki i z przerażenia otworzyła szerzej oczy.

– Mamy komunizm – ledwo przeszły jej te słowa przez gardło. – Spójrzcie na mapę. Cała Europa jest pod panowanie rosyjskim. Pół Azji należy do Japonii. A Stany Zjednoczone to ... cztery różne państwa. Ale jak to możliwe? – nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyli na Stanleya. A on miał minę jakby walnął w niego piorun. Dotarło do niego co zrobić. Musimy naprawić przeszłość, żeby uratować przyszłość. Ale jak? Proste. Cofniemy się do 1894 roku i powstrzymamy Kubricka, zanim on utopi Hitlera.

– Profesorze Adams, każdy chciałby śmierci tamtego nazisty, ale nie możemy pozwolić na komunizm. Proszę wystać w przeszłość kilku moich ludzi, a oni zrobią resztę – no proszę generał Anders zna słowo „proszę”, a ja myślałem, że ma serce z kamienia.

– To nie takie proste, jakby się mogło wydawać. Nazwijmy Stanleya z 1894 roku jako nr 1, a tego jako nr 2. Nie możemy zabić nr 1, bo nr 2 nie będzie miał prawa istnieć. Nie możemy też go tu sprowadzić, bo dwie te same osoby w jednym miejscu i czasie może wywołać wyrwę w czasoprzestrzeni, która pochłonie cały wszechświat – starałem się to wytłumaczyć jak najprościej, ale chyba mało kto mnie rozumiał. – Więc nie wiem co mamy zrobić – nie wierzę, że to powiedziałem. Ja. Wielki profesor, fizyk doświadczalny,

który skonstruował maszynę czasu, nie wiem co robić.

– A co jeśli pozbędziemy się nr 2 i przywieziemy nr 1? Co w tedy? – pytanie zadał jeden z żołnierzy.

– Zamknij się Josef – warknął na niego Anders.

– Nie, nie, mów. To właściwie może się udać – sięgnąłem do sejfu schowanego pod biurkiem. – Naprawdę dobry pomysł. No proszę generale, jednak się pomyliłem. – oh gdybyście widzieli jego minę, to zakłopotanie. Myślałem, że wybuchnę śmiechem – Twoi ludzie to nie taka banda tępych osiłków. Niektórzy nawet używają mózgów – podszedłem do człowieka nazwanego Josef i podałem mu małą słuchawkę – Jak cię zwą, młody człowieku?

– Josef Mengele, sir – stanął na baczność i zasalutował.

– Dobrze, a teraz wyznacz dwóch najbystrzejszych twoim zdaniem żołnierzy – spojrzał na generała, a Maks tylko kiwnął głową na tak. Potem kiwnął głową do dwóch, dobrze zbudowanych mężczyzn, a oni wyszli przed szereg i stanęli na baczność – Jak się nazywacie?

– Michael Swango i Harold Shipman, profesorze – im też wręczyłem słuchaweczki. – Pewnie się zastanawiacie co to. Nie, to nie komunikatory. To przenośne tłumacze. Przecież będziemy w Niemczech, a ja nie mówię w tym języku. Dzięki niemu będziemy rozumieć, co mówią ludzie, których spotkamy – pozwólcie, że pominę moment, w którym generał Maks Anders bez ostrzeżenia strzela w głowę Kubrickowi. Niewiarygodne, jak łatwo przychodzi mu odebranie życia. Nawet nie mrugnął. Kiedy to robił, ja

wprowadzałem dane do komputera, a reszta naukowców obserwowała jak do bazy zbliżają się samochody z zaczepionymi czerwonymi proporcami, a na nich widniały złote i skrzyżowane ze sobą sierp i młot. Teraźniejszość została zmieniona. Nie dobrze, bardzo nie dobrze. Do sali wbiegła moja asystentka, Veronic Demant, była przerażona.

– Komputery odmówiły posłuszeństwa. Działają tylko kamery. Broń automatyczna przestała działać. Co robimy? – jak zwykle zapatrzona w technologię. Jakoś nie mogłem ja przekonać do ksiąg, no ale w końcu wychowywała się w XXII wieku.

– Panowie, zapraszam do maszyny, nie mamy dużo czasu. Veronic zostaniesz tu i będziesz mnie informować o sytuacji. Na biurku znajdziesz komunikator ze specjalną kartą wykonaną z platyny i stopu miedzi z manganem potasu, jak maszyna. Do zobaczenia za parę minut – wszedłem do maszyny. Zapamiętać: powiększyć ją. Czułem się jakby zamknęli mnie w szafie i to nie samego. Po kilku sekundach poczułem łaskotanie i zacząłem się śmiać i nagle moją głowę przeszył ostry ból. Chyba nie tylko mnie, bo usłyszałem krzyk Shipmana. Ostre światło nie pozwoliło nam otworzyć oczu. Wynioskowałem, że unosiliśmy się, bo nie mogłem wyczuć podłoża. Po chwili poczułem mróz. Powoli otworzyłem oczy. Siedziałem na śniegu. Rozejrzałem się szybko żeby sprawdzić co z moimi towarzyszami.

– Następnym razem chcę wylądować na ziemi – usłyszałem Josefa, ale dźwięk dochodził z góry.

Spojrzałem na drzewo, wisiał na gałęzi. Roześmiałem się. Z drugiej strony lasu wyszli Michael i Harold. Byli cali mokrzy.

– Wylądowaliśmy w rzece. Znajdźmy lepiej tego profesora Kubeka.

– Kubricka – poprawiłem go. – Byliście przy rzece?

– kiwnęli głowami – Ten wypadek miał miejsce na rzece Inn. Prowadźcie.

Stanęliśmy na brzegu. Po lewej stronie widzieliśmy mury miasta Braunau. Po przeciwnej stronie bawili się dwaj chłopcy. A między drzewami widać było sylwetkę mężczyzny. To Stanley. Wskazałem w tamtym kierunku i weszliśmy na most. W tym momencie dostałem wiadomość od Veronic: Rosjanie dostali się do środka. Pospieszcie się! Świetnie, po prostu wspaniale. W ciągu dwóch minut znaleźliśmy się obok Kubricka. Błyskawicznie został obezwładniony.

– No dobrze, a teraz panowie poznajcie: Adolf Hitler – przyszedł dyktator i morderca, a to Johann Kuehberger ksiądz – wskazałem na dzieci. Chłopcy ślizgali się na lodzie. Słyszać było ich śmiech i wtedy rozległ się trzask łamanego lodu. Adolf zniknął pod wodą, ale Johann wcale nie skoczył go ratować. Przecież według historyków to właśnie on go wyciągnął. Odwróciłem się do Kubricka. Wyszeptałem zapłaciłem mu cukierkami. Michael słysząc to cały zbladł. W mgnieniu oka ściągnął z siebie kurtkę i zanurkował w przerębłę. Harold zabrał Johanna na brzeg, aby i on nie wpadł. Stanley zaczął wierzgać i krzyczeć, żebyśmy tego nie

robili, że on musi umrzeć, albo zginą miliony ludzi. John uderzył go płaską ręką w kark, tak że ten stracił przytomność. Ściągnąłem kurtkę z Johanna, potem podbiegłem do leżącego już na ziemi Adolfa, zdjąłem mokrą kurtkę oraz bluzę i przykryłem go. W tym samym czasie Harold oblał wodą oszołomionego Kuehbergera i rozkazał sprowadzić pomoc, ale miał powiedzieć, że to on skoczył do wody, a nas tu nie było.

– Mamy pięć minut zanim wróci – powiedział gdy chłopak znikł za drzewami. Zadzwoiłem do Veronic.

– Jak to jaka sytuacja?! Dopiero co wysłałam do Pana wiadomość!

– Veronic, tu minęło już prawie czterdzieści pięć minut – odpowiedziałem spokojnie.

– Dobrze, niech Pan zaczeka – słyszałem jak stawia kroki na betonowej podłodze, potem jak wchodzi po metalowych schodach i otwiera klapkę w stalowych drzwiach aby wyrzeć na zewnątrz.

– Udało się profesorze. Sowietci zniknęli – wszyscy się cieszyli. Wsluchiwałem się w tą radość. Kiwnąłem głową do żołnierzy, oni uśmiechnęli się do mnie. – Wracajcie szybko. Generał Anders nie może się was doczekać – Najpierw ustawiłem zegarek Kubricka, potem Michaela, Johna i Harolda, dopiero potem swój. Obserwowałem jak znikają w pętli czasowej, ale sam nie wcisnąłem czerwonego guzika. Musiałem się najpierw upewnić, że Hitler przeżyje. Wdrapałem się na drzewo i czekałem. Nie trwało to długo. Już po kilku minutach przybiegli pierwsi ludzie z kocami. Johann też wrócił. Rozglądał się, szukał nas. Jednym z mężczyzn był chyba

N 1

lekarz. Wiem jak rozpoznać doktora, wierzcie mi. Od dziecka byłem dość chorowity, a po za tym jestem też spostrzegawczy i dostrzegłem torbę lekarską i stetoskop, którym sprawdzał czy Adolf oddycha. Oczywiście, że oddycha, przecież John wykonał masaż serca pomyślałem. Kiedy położyli Hitlera na noszach wcisnąłem czerwony przycisk na zegarku.

Gdy wyszedłem z maszyny Kubrick miał już założone magnetyczne kajdanki, a generał Anders odczytywał mu jego prawa. Reszta żołnierzy świętowała, bo samochody radzieckie zniknęły tak samo szybko jak się pojawiły. Nie wiem o czym w tedy myślałem, nie wiem też czym się kierowałem. Pamiętam tylko, że chwyciłem nożyce i zacząłem przecinać kable w maszynie czasu. Nikt tego nie zauważył, ale gdy chwyciłem młotek, taki duży młotek, i uderzałem raz za razem niszcząc i wgniatając metalowe ścianki, podniósł się wielki krzyk naukowców. Wrzeszczeli coś, że niby oszalałem, kilku zbrojnych próbowało mnie odciągnąć, ale tylko dostali po głowach. Opanowałem się dopiero po kilku minutach (dobrze, że sam, bo już nieśli pociski usypiające).

– To moje dzieło, więc mogę z nim zrobić co tylko zechcę! – upuściłem młot na podłogę. Skierowałem się w stronę mojego gabinetu. Ludzie rozstępowali się przede mną, jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Następnym krokiem było zniszczenie całej dokumentacji na temat budowy maszyny czasu, żeby nie przyszło im na myśl ją odbudować. O nie, na to nie mogłem

pozwolić, żeby jakiś kolejny idiota zmienił bieg historii. Nie wiem jak wy, ale ja po mimo tak wielkiego rozwoju techniki (w końcu żyjemy w trzech różnych galaktykach, a teleport istnieje przeszło pięćdziesiąt lat) wciąż uważam, że nasz los zapisany jest gdzieś w gwiazdach.

Na emeryturze jestem już rok, ale wciąż mam problemy z adaptacją i tą całą starczą beczynnością. Mieszkam w galaktyce Cygnus A, w sektorze G. Chciałem być jak najdalej od generała Andersa i jego ludzi. Nie udało mi się to, bo Maks przychodzi na niedzielną herbatkę. Ale was to pewnie nie interesuje. Chcecie wiedzieć czy ktoś odbudował maszynę czasu. Ja to zrobiłem. Oczywiście ulepszyłem ją. Teraz mieści się w zegarku na rękę. I musicie wiedzieć, że dużo podróżuję (rzecz jasna, nie zmieniam biegu zdarzeń i nie angażuję się zanadto). Widziałem dinozaury, pomagałem przy budowie pierwszej piramidy, przyglądałem się wojnom, słuchałem wystąpień Lutra i koncertów Chopina, prawiełem komplementy Kleopatrze, przez co omal nie wylądowałem u krokodyli na obiedzie. Ale to już inna historia.



Zaginiony w akcji

Szymon Kalista



Wpis pierwszy

Pustka. Dookoła mnie nie ma żywej duszy, dryfuję już w próżni trzeci dzień, czekam na jakąkolwiek pomoc, niestety powoli przestaję wierzyć w to, że w ogóle się zjawi. Zacząłem pisać ten dziennik tylko po to, żeby zostawić po sobie jakiś ślad. Taka pierdoła jaką jest dziennik to niewiele, ale coś zrobić. Kiedy człowiek zostaje odcięty od całej tej technologii która oplata jego życie tam na dole, niczym zimne macki ośmiornicy, nachodzą go różne myśli, naprawdę najróżniejsze. Na Ziemi, mało kto ma czas na to, żeby zatrzymać się na chwilę i zastanowić nad swoim życiem, czy chociażby nad jakąkolwiek, najmniejszą nawet błahostką. Tutaj tego nie ma, tutaj czasu jest aż nadto. Czasami chciałbym nie mieć go tak wiele, myślę, że jestem za słaby na to, żeby przebywać sam na sam ze sobą tyle czasu, to naprawdę trudne zajęcie. Przynajmniej widok jest przyjemny, nie ma tutaj wiele do zobaczenia, umysł odpoczywa, wzrok też, wszystkie zmysły mają spokój. Dźwięków też tutaj nie ma, jest się sam na sam ze swoimi demonami. Nie jest to zajęcie dla każdego, ale widok, ah, ten widok, czerń, ale nie taka zwykła, jest taka przejmująca i głęboka. W oddali świecą sobie małe punkciki, takie małe promienie nadziei na to, że jednak nie koniecznie jesteśmy tutaj sami, w tym gigantycznym bezkresie. Nie mam tutaj wiele do roboty,

w zasadzie pozostaje mi siedzieć i myśleć. Chyba dobrym wyjściem będzie wpisywanie tutaj moich pseudo filozoficznych przemyśleń, może komuś kiedyś się przydadzą. Przecież pomimo rozwoju technologii, wielu nadal nie zaznało duchowego spokoju, ciągle toczą się śmieszne wojny o podłożu religijnym. Jedni wierzą w Jahwe, inni w Allaha, inni w Wielki Absolut, jeszcze inni w Energię życiodajną. Są też tacy, którzy wierzą, że jesteśmy eksperymentem jakiejś pozaziemskiej cywilizacji i wszyscy walczą o to, kto ma rację. Zawsze zdawało mi się to bezsensu, po co tak? Najciekawszym aspektem tego wszystkiego jest zawsze to, że wyznania te, głoszą pokój, miłość, szacunek dla bliźniego, a co z tego jest wdrażane do życia codziennego? W dużej liczbie przypadków - nic, lub tylko niewiele. Cały czas postępuje wybiórczość zasad moralno-religijnych, tak żeby pasowało nam do sytuacji, tak żeby się dopasować do reszty, tak żeby grupa nas nie porzuciła. Rozwój technologii osłabił charakter ludzkości. Już Internet wprowadził możliwość selektywnego dobierania znajomych, co prawda wtedy opierało się to na czatowaniu, używaniu transmisji wideo, a teraz? Teraz możesz praktycznie obcować z drugą osobą będącą na krańcu świata, w każdym domu znajduję się portal do rozszerzonej rzeczywistości, zasiadasz sobie wygodnie, zakładasz szkiełka na oczy, do twojego ciała podpinają się sensory i od teraz możesz

podróżować po nieistniejącym świecie, odczuwając wszystko tak samo, jak w rzeczywistości. Dosłownie wszystko. Teraz mogę sobie wybrać znajomego i przebywać z nim w quasi-rzeczywistości, to całkowicie zaburzyło potrzebę bronięcia swojego „widzimisię” w grupie! Po co użerać się z kimkolwiek dyskutując o swoim zdaniu, skoro mogę odpalić wirtualny świat i tam przebywać tylko z tymi, którzy mi pasują i zgadzają się z moimi przekonaniami. Na świecie nie brakuje ludzi, ale ile zostało w nich człowieczeństwa? Ile zostało go we mnie? Codzienne interakcje z innymi, nawet tymi bardzo lubianymi powoli zanikają w rzeczywistości, ludzie oddają się szczerzemu pędowi, a potem przebywają w kółkach wzajemnej adoracji, łechtając się nawzajem, bo w końcu ból i stres jest nie przyjemny, i jeśli nie trzeba go odczuwać to lepiej się odgradzić. Ale czy odczuwanie samych pozytywnych emocji nie sprawi, że będą one puste i jałowe? Czy nie będzie czasem tak, że tracą one swój smak? Czymże wszak jest słodycz bez odrobiny goryczy? Tam, na Ziemi nigdy mnie to nie zastanawiało, także byłem zaślepiony przez technologiczny dobrobyt, ale tutaj? Odcięty od całego tego zgiełku, wyklarowałem swój umysł, zauważyłem znaczną zmianę w moim postrzeganiu, dookoła mnie ciągle cisza i spokój, myśli napływają niczym strumień a ja, mogę sobie przebierać w nich, wybierać te, które mnie zaintrygują i poświęcić im swój niepewny aktualnie czas. Piękne. Postaram się zapisywać wszystko, co uznaję za sensowne, a jeśli to nie wypali, to spróbuję chociaż zapisać stronę bądź dwie dziennie, to powinno

być całkiem rozsądne. Ciągle mam nadzieję, że ktoś mnie uratuje, w sumie pozostała mi tylko ona, teraz spróbuję się przespać i trochę uspokoić, jestem bardzo podenerwowany, muszę dojść do porozumienia z samym sobą, mam nadzieję, że w końcu mi się to uda.

Wpis drugi

Niedaleko mojego statku właśnie przeleciało kilka asteroid, piękny widok, bezwładnie dryfujące odłamy skalne, mknące do siebie tylko znanego celu. Niestety poza tym, że wyglądają one pięknie, stwarzają poważne zagrożenie dla mojego pojazdu, nie mogę manewrować, nie mogę przemieścić się w inne miejsce, a wystarczy jeden większy kawałek skały, by sprawić, aby moje istnienie przeszło w niebyt. Zauważyłem także uszczuplające się zapasy pigułek spowalniających metabolizm, oraz tych, które zastępuję mi pożywienie czy wodę. Nie napawa mnie to zbytnim optymizmem, ciągle liczę na to, że w końcu Ziemską jednostkę mnie znajdzie i zabierze stąd. Kręgosłup daje już o sobie znać, ciągłe siedzenie w jednej pozycji nie jest zbyt zdrowe, ani przyjemne, ból powoli się nasila, myślę, że dam radę jeszcze go przetrzymać, ale co zrobię później? To tylko kwestia czasu, aż stanie się nieznośny, a ja nie mam nawet możliwości się wyprostować. Nie stawia to mojej pozycji w dobrym świetle, chciałbym być już na Ziemi, brakuje mi tutaj ziemskiej fauny i flory, chociaż jest już bardzo zdegenerowana. Wygląda co prawda okropnie, ale nadal istnieją specjalnie wyznaczone fragmenty przestrzeni, które są zagospodarowane lasami, czy

łakami. Nie jest ich wiele, ale są bardzo piękne, jest to jeden z tych rodzajów widoków, które człowiek zapamiętuje na całe życie. Rozmarzyłem się, chciałbym już wrócić. Eh, spróbuję się przespać, mam nadzieję, że wreszcie po mnie przylecą.

Wpis trzeci

Ból bardzo daje mi się we znaki, zastanawiam się, czy jeśli przyjdzie mi tutaj czekać jeszcze kilka dni, będę w ogóle, w stanie chodzić po powrocie na Ziemię? Mam nadzieję, że tak. Powoli zaczynam popadać w apatię, smutek zaczyna powoli wślizgiwać się do mojego umysłu, wpęła tam niczym oślizgły wąż starający się spętać mój umysł. Muszę walczyć z tym stanem, nie mogę sobie pozwolić nawet na załówek depresji. Pierwsze myśli samobójcze będą krytyczną oznaką, nie mogę do tego dopuścić! Jednak mój umysł zaczął zachowywać się dziwnie, czasami zdaje mi się, że zasypiam, po czym przyłapuję się na tym, że tak naprawdę, wcale nie zasnąłem. W moim umyśle pojawiają się specyficzne dziury, zapominam czy dokonałem jakiegokolwiek wpisu do dziennika, czy połknąłem pigułki, to pewnie przez to, że nie ma tutaj zbyt wielu bodźców. Nie dobrze, muszę postarać się nad tym zapanować. Niech już po mnie przylecą, nie chcę zostawać tutaj dłużej. Pozostała mi ciągle płowa nadzieja, będę się jej trzymał do końca, nie pozwolę jej ulecieć.

Raport z misji zwiadowczej Q/32/4

Znaleźliśmy statek dryfujący w przestrzeni, elektronika była uszkodzona, pilota nie znaleziono. Dalszy los nie jest znany. Przeszukaliśmy statek, znaleźliśmy dziennik posiadający 3 wpisy, pilot znajdował się w dryfującym statku siedem dni, nie znaleziono żadnych oznak włamania do statku. Materiał zostanie wysłany do analizy.

Status Pilota: Zaginiony w akcji.

Koniec Raportu

